■Pierwsza bitwa morska w II wojnie światowej – str. 5
■Zwierzenia czołowych gwiazd Sopotu – str. 10
■W lochach klasztoru Św. Pawła – str. 12
■Rikszą, pociągiem i autobusem po Azji – str. 13

Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 37 (1485) ROK XXIX 13 WRZEŚNIA 1986 ROKU CENA 20 ZŁ

NASZ BEŁCHATÓW

Znamię węgla brutalnego

Foto: Grzegorz Gałasiński

Góra rośnie jak drożdżowy placek. Zębata łycha koparki wydziera płat żywej ziemi i ciska ją na szczyt martwego zwałowiska. Wysoko, coraz wyżej. Spychacze wypruwają korzenie drzew, niczym flaki z otwartej rany. Głęboko, coraz głębiej. Sto metrów w głąb ziemi.

— *Pięknie* — rzecze inżynier. — *Oto człowiek przenosi góry. Oto pomnik triumfującej techniki.*

— Źle — powiada chłop. — *Pomnikami narodu nie wykarmisz.*

Ci, którym góra wyrosła przed oknami chałup, posłaliby inżynierów do diabła. Do diabła, czyli nawet całkiem blisko, bo u stóp góry zieje mroczna otchłań dołu. Kopalnia węgla brunatnego.

Antoni nie pojmuje na co to wszystko. Na co robić piekło z ziemi, która była rajem. Był szmat żyznego pola, dom własny, murowany, studnia własna, synowie do pracy chętni. Wszystko było co trzeba. Rankiem gospodarz wychodził w pole, brał garść ziemi i wąchał. Miastowi myślą, że ziemia nie ma zapachu. A ona pachnie przecież. Dawniej pachniała wilgocią, teraz pachnie śmiercią. Bo ta ziemia aż po horyzont umiera. Człowiek umiera bez wody, a ziemia bez wilgoci.

Bierze Antoni grudę suchej jak popiół ziemi i płacze. Łzy życia nie wrócą, gdyż całego pola skropić łzami nie sposób. Studni też łzami nie napełni i zbolałego serca nie ukoi. Więc płacze: nad tą biedną suchą jak popiół ziemią, nad pustą studnią, nad parszywym losem, który mądrze pomyślany świat zamienia w żałosne cmentarzysko.

Chłop myśli po swojemu: pierwszy jest chleb. Jeśli go zabraknie, próżno dumać o kosmosie. A tu chleba nie będzie. Z tej wysuszonej, rozprutej ziemi nigdy już nie będzie chleba. Z tej ziemi będzie brunatny węgiel, z węgla tylko elektryczny prąd. Prąd to jest coś niby mgła. Niby jest, a ręką go nie zagarniesz, na stół nie wniesiesz. Jest i za chwilę nie ma. Raz na zawsze. Z ziemią całkiem inna sprawa. Ziemia rodzi stale. Człowiek, który niszczy ziemię, niszczy siebie. To jest bardzo biedny człowiek. I bardzo biedne będą jego dzieci.

Nazwiska swego Antoni nie powie. Swoi go znają, a obcym nie ufa jak wrednym psom. Ci obcy przychodzą zabierać. Najpierw zabrali wodę. Trzysta nawiercili dziur w polach i lasach, trzysta zapuścili pomp, by dniem i nocą kradły żywą wodę. Aż legło spragnione żyto, uwiędły grube jak pięść kartofle, aż w chłopskich studniach wylazło kamieniste dno. Bo woda nie szanuje granicznej miedzy. Jest niczyja. Wodę można odebrać i zmarnować. Wypompować z ziemi i zepchnąć w betonowy kanał. Pełno w okolicy takich betonowych kanałów, którymi woda spływa do betonowej rzeki Widawki. Żeby osuszyć brunatny węgiel.

Dużo wszędzie betonu i szczelnej folii. Folia grodzi rośliny od wilgoci, a człowieka od chleba. Betonowe żyły wysysają krew tej ziemi, z krwią odpływa nadzieja. Więc chłopi modlą się o deszcz. Patrzą w niebo i czekają. Gdy pada, to w chałupach gości radość, a w kopalni klną szpetnie. Bo rolnik powiada, że złotem jest każdy ocalony kłos, że na pustyni nie będzie złota. Górnik zaś powiada, że złoto jest pod ziemią, dlatego ziemię trzeba zamienić w pustynię. I robi swoje.

6

Był skandal, czy nie było?

JACEK GŁĘBSKI

„Na temat opustoszałego i zdewastowanego budynku Działu Pomocy Doraźnej przy al. Zwycięstwa w Gdańsku, będącego w gestii Zespołu Opieki Zdrowotnej nr 3, krąży wiele legend. Ostatnia z nich głosi, że nie remontuje się tego obiektu, ponieważ rozkradziono część materiałów" — tak głosi początek artykułu pod znamiennym tytułem *„Wysoka cena wandalizmu"*, opublikowanego w czerwcowym numerze jednego z dzienników ukazujących się na Wybrzeżu. Autorka tej publikacji pisze dalej:

„W poniedziałek, 10 czerwca br. usiłowaliśmy dociec, ile jest w tym prawdy i jaka będzie najbliższa przyszłość byłej siedziby gdańskiego pogotowia ratunkowego. Chociaż furtka wiodąca do obiektu przy al. Zwycięstwa jest stale zamknięta, na teren okalający go przedostać się można bez wysiłku, ponieważ wymontowano bramę, którą wjeżdżały samochody. O tym, że o posesji tej zapomniał gospodarz, świadczy bałagan i brud, jaki można dojrzeć przez powybijane szyby okienne. Remont zwiastuje jedynie sterta piachu, którą wysypano w ogrodzie, nadto poniewierająca się opodal stara muszla klozetowa. Na podwórzu krzątą się ekipa wykonawcy remontu, Przedsiębiorstwa Budownictwa Komunalnego nr 1. Buduje z desek barak, w którym przechowywane będą materiały. Dowiaduję się, że tego właśnie dnia ZOZ nr 3 zamierza przekazać opustoszały obiekt kierownictwu PBK 1. Niebawem nadjeżdża pojazd sanitarny. Wysiada zeń pielęgniarka przełożona ZOZ nr 3 z pękiem kluczy. Towarzyszy jej kilka kobiet w białych fartuchach, niosących ścierki i szczotki. Personel ZOZ zamierza sprzątać. Korzystam z okazji i wchodzę do budynku. To co widzę sprawia, że włos jeży mi się na głowie. Na korytarzach wszystkich kondygnacji kawałki potłuczonego szkła, papiery, szmaty oraz inne śmieci. W pobliżu kilku sal poniewierają się wyrwane z zawiasów i pozbawione klamek drzwi. W kilkunastu pomieszczeniach sterty powyrywanych płytek parkietowych. W jednej z łazienek ślady po rozbitych kafelkach"..

MINĄŁ JAKIŚ CZAS

i oto jestem przed opisywanym wyżej budynkiem. Przed nim — tak jak w cytowanym opisie — sterta piasku, a także pryzma poniszczonych deszczułek, które po bliższych oględzinach okazują się być parkietem. Nie opodal stoi długi, solidny barak i pakamera. Kierownika budowlanego z PBK nr 1 otoczonego grupką robotników dostrzegam w oknie na parterze. Kierownik nie może teraz rozmawiać, bo przecież pracuje, ma pełne ręce roboty i ani chwili czasu, ale być może o czternastej znajdzie kilka chwil na rozmowę, podczas godzin urzędowania. Kierownik zgadza się na oględziny wnętrza remontowanego budynku, lecz nie bez zastrzeżeń:

— *Ja tu nie mam nic do ukrycia* — mówi — *choć nie ukrywam także, że niezbyt chętnie widzę tu redaktorów.*

Widok we wnętrzu należy do tych, które zapierają dech w piersiach. Za każdymi drzwiami (jeśli nie są akurat wyrwane) to samo: pozrywane kafelki, przewody elektryczne, smętnie dyndające z dziur po gniazdkach i kontaktach, wyrwy w podłogach, przez które przeświturją pomieszczenia o piętro niżej, pozrywane deski parkietowe, zwały cementu, kawałki muru, brud, zawiesina kurzu, papiery... Obraz straszliwego bałaganu, nieomal kataklizmu, który dotknął siedzibę gdańskiego pogotowia. Po prostu ruina. Nie ma ani jednego urządzenia należącego do armatury, niczego oprócz strzępów kafelków, parkietu i odłupanego tynku.

KTO TO ZROBIŁ?

„Pytania moje dotyczące sprawców i przyczyn dewastacji kierowane do krzątającego się w budynku personelu medycznego pozostają bez odpowiedzi — pisze cytowana już autorka. — *Jedna zaledwie z indagowanych przeze mnie osób godzi się przekazać informacje pod warunkiem wszakże, iż nie ujawnię jej imienia i nazwiska:*

— *Ludzie (czytaj: przygodni złodzieje, a także ekipa ZOZ, której polecono zdemontować kaloryfery, część instalacji elektrycznej oraz urządzenia sanitarne), rzucili się na wszystko niczym sępy — słyszę. — Zaczęło się od żarówek, kloszy od lamp, gniazdek elektrycznych i armatury w łazienkach, a skończyło się na klamkach, parkiecie i kafelkach. Najgorsze zaś było to, że wymontowane żeliwne kaloryfery zrzucano ze schodów, dewastując klatki schodowe. Zrzucano ze schodów również meble, które można było odstąpić internatom lub domom dziecka. Kto za to odpowie? Kilka faktów: w drugiej połowie marca bieżącego roku z gmachu byłego pogotowia ratunkowego wyprowadził się personel. Nie nadzorowana odpowiednio ekipa ZOZ zdemontowała część urządzeń oraz zabezpieczyła je — jak twierdzi dyrektor techniczny Jerzy Bytniewski pracujący na swym stanowisku od maja br. — w magazynie i warsztacie.*

6

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2 dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch"; 3 prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139 11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc., dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2716. B-2.

Przegląd prasy

Nie wszyscy chyba wiedzą, że szefem słynnej Cze-ka (Ogólnorosyjska Komisja Nadzwyczajna do Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem), a potem także NKWD (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych) był Polak, Feliks Dzierżyński. Na temat jego życia i działalności warto przeczytać interesującą rozmowę Piotra Grochmalskiego z historykiem, prof. dr. hab. Jerzym Ochmańskim, którą zamieścił tygodnik poznański „WPROST" (nr 36).

Feliks Dzierżyński pochodził ze średnio zamożnej szlachty kresowej. Rodzina ta była znana na Białorusi już w XVII stuleciu, lecz jej członkowie nie pełnili nigdy nawet drugorzędnych funkcji. W wieku młodzieńczym Feliks był

GŁĘBOKO WIERZĄCYM KATOLIKIEM

i zamierzał zostać księdzem. *„Dziś wiemy też — mówi historyk — że w gimnazjum przez kilka lat należał do katolickiej organizacji patriotycznej «Serce Jezusowe». Później jednak, pod wpływem lektur różnych broszur o treści socjalistycznej, zaczął przechodzić na pozycje lewicowe".* Ukończył do tego samego gimnazjum wileńskiego, które wcześniej ukończył Józef Piłsudski, ale nie należał do wybijających się uczniów. Miał tak duże kłopoty z opanowaniem języka rosyjskiego, że musiał powtarzać pierwszą klasę.

Już od dzieciństwa był chorowity i lekarze dawali mu nie więcej jak 7 lat życia. A później żył jakby ze świadomością bliskiej śmierci. Z powodu słabego zdrowia ciągle się spieszył i nieomal spalał w gorączkowych działaniach. Umarł przedwcześnie (20 lipca 1926 r.) na atak serca, mając zaledwie 49 lat. Jego żona, Zofia, przeżyła go aż o 42 lata.

W grudniu 1917 r. na wniosek Lenina powierzono Dzierżyńskiemu funkcję przewodniczącego WCzK. Dlaczego właśnie on został szefem tak ważnej instytucji? Jerzy Ochmański wyjaśnia: *„Lenin ufał Dzierżyńskiemu chyba głównie dlatego, że od samego początku, niezmiennie, stali oni na jednych pozycjach politycznych. Swoją wymowę miał też i fakt, że niewielu było takich, którzy lepiej poznali carskie więzienie i metody pracy Ochrany. A ponadto Dzierżyński posiadał tę cechę, którą w tym najtrudniejszym okresie Lenin szczególnie wysoko cenił u ludzi — poczucie praworządności. Chociaż trzeba przyznać, że i w tym punkcie dochodziło między nimi do sporów, ponieważ Dzierżyński był skłonny do karania, a Lenin był zwolennikiem bardziej umiarkowanych metod działania. Aż do czasu, kiedy zaszła konieczność odpowiedzenia na biały terror daleko posuniętą stanowczością".*

Feliks Dzierżyński stworzył w Rosji Radzieckiej nie tylko służbę bezpieczeństwa, lecz także milicję, straż graniczną, wywiad i kontrwywiad. W organach WCzK i NKWD, dzięki jego poparciu, pracowało sporo polskich rewolucjonistów. Polak pochodzenia żydowskiego, Józef Unszlicht, był zastępcą Dzierżyńskiego, a po jego śmierci objął stanowisko przewodniczącego WCzK.

Wciąż mało wiemy na temat życia osobistego i rodziny Dzierżyńskiego. Jego najmłodszy brat, Władysław, należał do endecji. Feliks pomógł mu ewakuować się z Rosji Radzieckiej do Polski. Władysław przez wiele lat mieszkał w Poznaniu i tutaj Dzierżyńscy żyją do dziś. Jacyś krewni Dzierżyńskiego mieszkają też za granicą.

Od śmierci Feliksa Dzierżyńskiego upłynęło już 60 lat. Współcześni działacze komunistyczni zmagają się z innymi problemami. W naszym kraju ważnym zadaniem jest realizacja perspektywicznego Programu PZPR, który niedawno został opublikowany. W związku z tym redakcja „SZTANDARU MŁODYCH" (nr 173) zorganizowała dyskusję o sposobach upowszechniania i urzeczywistniania programu.

Zbigniew Gajewski, kierownik Wydziału Instruktorskiego w Głównej Kwaterze ZHP, mówił między innymi: *„Aby ten program realizować, trzeba najpierw stworzyć*

ODPOWIEDNI KLIMAT,

dać nowy impuls, który spowoduje, że nam wszystkim będzie się chciało wdrażać treści zjazdu w życie. Program bazuje na haśle socjalistycznej odnowy, które jakoby ma być czynnikiem nośnym i sprawczym w społeczeństwie, obawiam się, że to hasło, bardzo aktualne i pożyteczne w swoim czasie, obecnie przestało już być nośne... Dziś musimy przełamywać bariery świadomościowe, irracjonalizm młodzieży. Program nie trafia do młodych dlatego, że oni nie potrafią czytać tego typu tekstów. Trzeba używać zupełnie nowego języka w dyskusji z młodzieżą. To bardzo trudne, ale możliwe do wykonania".

Z kolei Paweł Soroka, przewodniczący Zespołu Robotniczych Stowarzyszeń Twórców Kultury przy Narodowej Radzie Kultury, podkreślił w swej wypowiedzi, że nie zrealizujemy programu bez uruchomienia sił społecznych, czyli zmobilizowania szerokich mas. Ogromną wagę przywiązuje on do wychowywania i wyłaniania odpowiednich liderów w środowiskach robotniczych. Chodzi przede wszystkim o to, żeby autorytety nieformalne pokrywały się z formalnymi, żeby sekretarzami czy brygadzistami zostawały osoby naprawdę szanowane i lubiane. RSTK propaguje tzw. grupy partnerskie (zob. „Odgłosy", nr 33, str. 3), które mają dużą autonomię i same wybierając swoich liderów. Zdaniem Pawła Soroki, wśród robotników nadal jest dużo nieufności. Wielu z nich akceptuje program partii i wierzy w dobrą wolę władzy centralnej, ale równocześnie dostrzega zagrożenia na średnim szczeblu zarządzania. W celu przezwyciężenia konserwatyzmu „środka" (administracja zakładowa, pracownicy zrzeszeń i ministerstw) potrzebny jest sojusz proinnowacyjnych sił centrum z siłami oddolnymi.

Pod koniec omawianej dyskusji Zbigniew Gajewski wskazał na konieczność pewnych zmian w modelu organizacji młodzieżowych. Albowiem współczesne młode pokolenie stroni od struktur sformalizowanych. Młodzież — czytamy — *„ucieka w sferę prywatności, skupia się w małych grupach. Wobec tego ruch młodzieżowy powinien otworzyć się na małe grupy, na niewielkie organizacje o mało sformalizowanych strukturach. Powinny to być organizacje hobbistyczne lub tzw. jednej potrzeby".* Nie znaczy to, że należy przekreślić istniejące związki o charakterze politycznym, które winny patronować małym grupom zainteresowań. I w ten sposób powstałaby *„infrastruktura dla innowacyjności"* — jeden z elementów sprzyjających realizacji Programu PZPR. Upowszechnienie perspektywicznego programu partii w znacznym stopniu zależy, rzecz jasna, od funkcjonowania systemu propagandy. Istotna jest nie tylko wiarygodność informacji, lecz również pozycja i prestiż zawodu dziennikarskiego. Pisze o tym w miesięczniku „PRASA POLSKA" (nr 8) Elżbieta Wójcik. Z relacjonowanych przez nią badań socjologicznych wynika, że zdecydowana

WIĘKSZOŚĆ SPOŁECZEŃSTWA

darzy nasz zawód szacunkiem. Na pytanie — *„Czy zawód dziennikarza cieszy się Pana(i) uznaniem i poważaniem?"* — uzyskano następujący rozkład odpowiedzi: zdecydowanie i raczej tak — 74,7 proc., zdecydowanie i raczej nie — 14,3 proc. nie mam zdania — 10,5 proc., brak danych — 0,5 procent.

W grupie 14 zawodów inteligenckich o podobnych cechach (adwokat, lekarz, nauczyciel, inżynier, ksiądz, ekonomista, oficer WP, architekt, literat, dziennikarz, naukowiec, plastyk, muzyk, aktor) zawód dziennikarza znalazł się na 7 miejscu pod względem poważania społecznego. Największym szacunkiem obdarzani są: lekarz, ksiądz, naukowiec i nauczyciel.

Podsumowując Elżbieta Wójcik pisze: *„Badani nadają dziennikarstwu wysoką rangę jako zawodowi niezbędnemu dla społeczeństwa. Natomiast zaufanie do ludzi zawód ten wykonujących jest już trochę niższe, nie jest to jednak różnica znacząca. Ankietowani nie negują ważności dziennikarstwa, zgłaszają jednak konkretne postulaty pod adresem ludzi zawód ten wykonujących".*

Kto jest w Polsce najbardziej znanym i kontrowersyjnym dziennikarzem. Nietrudno zgadnąć. Jest nim, oczywiście, rzecznik prasowy naszego rządu

JERZY URBAN

Wystąpienia jego budzą uczucia zdecydowanie negatywne (gniew, wściekłość, oburzenie, sprzeciw) u 28,3 proc. respondentów oraz zdecydowanie pozytywne (solidarność, sympatię, uznanie, podziw) u 34,9 proc. respondentów. Innymi słowy, co trzecia osoba jest „za", a co czwarta „przeciw". Pozostali zaś są obojętni bądź rozczarowani. Takie dane z badań CBOS ujawnił dyrektor Biura Prasowego Rządu, Adam Dunalewicz. Rozmowę z nim dla „PRZEGLĄDU TYGODNIOWEGO" (nr 36) przeprowadził Jan Rurański.

Dyrektor Adam Dunalewicz zarzucił redakcjom, że nie zabiegają o uzyskanie odpowiedzi na krytyczne publikacje. *„Zbyt rzadko* — stwierdził — *rozsyłacie krytykowanym instytucjom i osobom publikacje z żądaniem odpowiedzi, a jest to przecież obowiązek redakcji, by odpowiedź uzyskać. Z przeprowadzonej kontroli wynika, że redakcje wysyłają do różnych ogniw administracji zaledwie 5 procent wszystkich krytycznych publikacji, które wymagają odpowiedzi. Skutek jest taki, że krytyka się ukazuje, a odpowiedzi na krytykę nie drukujecie... Jeśli dziennikarz uważa, że poruszył ważny społecznie temat, a skoro krytykował, to należy sądzić, że sprawa wymaga napiętnowania i naprawy, to nie może poprzestać na biernym oczekiwaniu na reakcję".*

Dyrektor Biura Prasowego Rządu ma ponadto pretensje do dziennikarzy, że często ograniczają przepływ informacji od władzy do społeczeństwa. Zdarzało się bowiem, że komunikat o ważnych decyzjach rządowych był przemilczany w środkach masowego przekazu. Natomiast ludzie poszukiwali na własną rękę dodatkowych informacji: dzwonili do urzędów, pisali listy, dopytywali się.

Na koniec dzisiejszego przeglądu prasy podaję — za „POLITYKĄ" (nr 36) — najnowsze dane o wynagrodzeniach osób zajmujących

NAJWYŻSZE STANOWISKA

państwowe. Otóż od 1 października otrzymywać będą: marszałek Sejmu, przewodniczący Rady Państwa i prezes Rady Ministrów — po 88 tys. zł; wicemarszałkowie Sejmu, zastępcy przewodniczącego Rady Państwa, prezes Najwyższej Izby Kontroli, wiceprezesi Rady Ministrów i przewodniczący Komisji Planowania przy Radzie Ministrów — po 79 tys. zł; sekretarz i członkowie Rady Państwa, prezes Trybunału Konstytucyjnego, ministrowie, prezes Narodowego Banku Polskiego i szef Kancelarii Sejmu — po 71 tys. złotych.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Diabelskie sprawki

Bardzo podbudował moje patriotyczne samopoczucie artykuł w łódzkim „Expressie", z którego dowiedziałem się, że w tak znamienitym mieście zachodniej Europy, jak włoski Turyn, aż roi się od wszelkiej maści opętańców i szarlatanów, którzy oddają się przeróżnego rodzaju praktykom czarnoksięskim i magicznym. Samych czcicieli szatana liczy się tam na kopy, a gorliwi księża nie mogą nadążyć z obsługą interesantów, składających obstalunek na egzorcyzmy w celu wypędzenia diabła, który upodobał sobie zamieszkiwać grzeszne ciało jakiejś bliskiej im osoby.

A samopoczucie poprawił mi sam fakt, że mentalność mieszkańców sławnej i dumnej stolicy Piemontu (a pewnie i innych włoskich miejscowości) jest jeszcze bardziej opłakana niż u nas. Bo jednak to niemała pociecha, że w tak pobożnym katolickim kraju, niejako na samych przedprożach Watykanu, pleni się wiara w diabły, o których u nas człowiek jako tako oświecony nie wspomni inaczej, jak z przymrużeniem oka. Być może reaguje tak na zasadzie, że, owszem, wierzyć można w to czy tamto, ale z umiarem i bez zbytniego zagłębiania się w szczegóły.

Ale po chwili zastanowienia zacząłem jednak brać stronę Włochów, bo może za naszym pozornym dystansem kryje się zwyczajne lenistwo i brak konsekwencji. Bo może wiara w diabły jest prostą konsekwencją wiary w anioły? Czyż nie są to pojęcia lub istoty o takim samym stopniu „realności" i czy nie powinno się ich zaliczyć do tej samej kategorii lub klasy pojęć. Jakież bowiem logiczne uzasadnienie dla odrzucenia wiary w istnienie diabła mają ci, co wierzą w anioła? Czy tylko takie, że jeden jest dobry i opiekuńczy, może więc dzięki swemu wstawiennictwu u Boga być nam „ku pomocy", a drugi, jako siła nieczysta i potępiona, ściągać nas w przepaść grzechu?

Byłoby to dość u nas nagminnym niedomyśleniem sprawy do końca, akurat może błahym w tej materii, ale groźnym jako zjawisko ogólne. Czyżby tak mało religijni (wbrew pozorom) byli moi rodacy, że im te sprawy, jak to się mówi, zwisają?

Nie mam oczywiście intencji przekonywać kogokolwiek, że diabły (czy też anioły) istnieją naprawdę, że są czymś więcej niż upostaciowaniem dobra i zła, którego rodowód sięga czasów przedchrześcijańskich, tym bardziej nie namawiam nikogo do oddawania czci diabłu, ale korci mnie, żeby przypomnieć, iż najwięksi teologowie poświęcali uwagę pozazmysłowym bytom, a nauka o nich — demonologia stanowiła ważną dziedzinę chrześcijańskiej wiary. Warto więc może wiedzieć w naszym katolickim kraju, że św. Tomasz z Akwinu, który rozbudował zwłaszcza angelologię — naukę o świecie aniołów, wyznawał hierarchiczną koncepcję świata jako drabiny coraz to doskonalszych bytów, uznając anioły (duchy wolne, które wybrały same drogę dobra) za istoty pośrednie między człowiekiem a Bogiem. Na samym dole dziewięciostopniowej drabiny był najzwyklejszy „szeregowy" anioł, bez specjalnej nazwy, opiekujący się jednostką jako „Anioł Stróż", a Archanioł stał tylko o szczebel wyżej. Najważniejsi byli Serafinowie znajdujący się bezpośrednio obok Boga, a o szczebel niżej stali Cherubini.

Czy aż tak usystematyzowane wyobrażenie o świecie duchów złych („upadłych aniołów"), czyli diabłów stworzył ktokolwiek z teologów, tego nie wiem, ale wydaje mi się znamienne (przez swą nielogiczność i niekonsekwencję), że w polskim katolicyzmie z dawnej satanologii, nie pozostało prawie nic, że, chociaż często przyzywa się u nas modlitwą anioła, to chyba niesłychanie rzadko (chwała Bogu!) wypędza się z człowieka diabła za pomocą nabożnych egzorcyzmów.

Nie dane mi było nigdy poznać osobiście nikogo z „czcicieli szatana", ale podejrzewam, że są to albo grzesznicy tchórzliwi z natury, poszukujący diabelskiego „moralnego" wsparcia dla swoich czynów, albo osobnicy, którzy lubią swoimi ekstrawagancjami szokować otoczenie, innymi słowy pozerzy, chociaż ten mistyczny zapaszek wokół całej sprawy nie pozwala jej lekceważyć. Diabli wiedzą, co może nakazać nawiedzonemu szatan!

Ale tak w głębi duszy przypuszczam, że kontakt z miłośnikiem diabła przyniósłby rewelacje banalne i prymitywne na pewno w złym guście dla ludzi nawykłych do komfortu myślenia racjonalistycznego.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów"

W najbliższych numerach „Odgłosów" można i warto będzie przeczytać:

— sensacyjny reportaż **Andrzeja Makowieckiego**, naszego specjalnego wysłannika do Meksyku, na temat nielegalnego przekraczania granicznej rzeki Rio Bravo przez niektórych naszych rodaków;

— **Mirosława Kulisia** o mało znanych faktach dotyczących życia i losów Żydów z łódzkiego getta;

— relację **Wiesława Opackiego** o skomplikowanych stosunkach międzypaństwowych NRD i RFN;

— artykuł **Mariana Podlaszewskiego**, w którym odpowiada na ważne pytanie, czy można żyć bez głupoty.

— reportaż **Anny Krzyżanowskiej** o wprowadzonych w ZSRR ograniczeniach spożycia alkoholu i ostrych sankcjach dla pijaków;

— szkic **Stanisława Kawczyńskiego** na temat rzekomych objawień Matki Boskiej w Hercegowinie i fenomenu cudów nad Wisłą;

— reportaż **Marka Koprowskiego** z miasta, gdzie nie ma kolejek w sklepach mięsnych, a obsługa jest uprzejma i sprawna;

a ponadto, jak zwykle, ciekawe opowiadania, wiersze, felietony, recenzje, listy.

PAWEŁ SAMUŚ

Równość, ale wobec czego?

Twórcy polskiej myśli społecznej i politycznej z ostatnich dziesięcioleci XIX i pierwszych XX wieku poszukując idealnego modelu ustroju przyszłości, wiele uwagi poświęcali sprawie zabezpieczenia przyszłego społeczeństwa przed możliwością przetrwania starych lub zrodzenia się nowych zjawisk patologii społecznej, upatrując takie zagrożenia zwłaszcza w tworzeniu się elit politycznych i biurokratyzacji aparatu władzy. Wątek takich obaw i niepokojów znajdujemy zarówno w twórczości pisarzy socjalistycznych, jak i tych, którzy krytykowali marksizm.

Nie były wolne od takich trosk już **pierwsze polskie programy robotnicze opublikowane w Galicji w latach 1879—1881.** Autorzy tych dokumentów, a byli to Ludwik Inlaendr, Bolesław Czerwieński, Iwan Franko, Antoni Mańkowski, Józef Daniluk, rysowali wizję społeczeństwa przyszłości, w którym należy „zapobiec tworzeniu się sztucznej nierówności między ludźmi" i nowych zależności wynikających z podziału na pracowników fizycznych i umysłowych, toteż „wychowanie powinno być tak urządzone, aby o ile możności każdy zostawał robotnikiem zarazem fizycznym i umysłowym". Ich zdaniem problem nierówności na tle politycznym zostanie rozwiązany, kiedy powstanie społeczeństwo bezpaństwowe, w którym tradycyjny aparat władzy państwowej zostanie zastąpiony przez „administrację utworów społecznych" wyłonioną w drodze wyborów powszechnych, zaś dzięki urzeczywistnieniu idei „jak najobszerniejszego samorządu" wszyscy obywatele będą brali bezpośredni udział w kierowaniu ową społecznością i decydowaniu o jej losie.

Kazimierz Kelles-Krauz, socjolog i teoretyk **PPS,** dwadzieścia lat później pisząc o kształcie społeczeństwa socjalistycznego, twierdził, że będzie ono egalitarne. Dowodził, że ustrój socjalistyczny zapewni obywatelom równouprawnienie, nie tylko w sferze ekonomicznej, ale także umożliwi im równe prawa w decydowaniu o losach nowej społeczności. W przyszłościowym bezklasowym społeczeństwie wraz z zanikaniem antagonizmów klasowych stracą rację bytu „przymus prawny" i władza państwowa". Dzięki rozwojowi różnorodnych form demokracji i upowszechnieniu nowej, socjalistycznej kultury politycznej zostanie wyeliminowane, jak sądził Kelles-Krauz, niebezpieczeństwo tworzenia się rządzących elit biurokratycznych.

Na temat egalitaryzmu społeczeństwa przyszłości i możliwości tworzenia się elit politycznych pisała również **Róża Luksemburg,** wybitny teoretyk socjalizmu. W swoich pracach podkreślała ona, że istotą ustroju socjalistycznego będzie nowego typu demokratyczna kultura polityczna.

W jednym z artykułów opublikowanych na kilka lat przed I wojną światową przypominała, że zgodnie ze słowami „Manifestu komunistycznego" wyzwolenie klasy robotniczej mogło być dziełem tylko samego proletariatu. Podkreślała przy tym, że pod pojęciem tym rozumie nie centralne, kilku lub kilkunastoosobowe kierownictwo partii rewolucyjnej, lecz uświadomione masy proletariackie. Wraz z postępami w walce o wyzwolenie społeczne nastąpi wzrost świadomości i usamodzielnienia duchowego mas robotniczych, ich aktywności i inicjatywy, ukształtuje się owy typ kultury politycznej.

W głośnej kontrowersyjnej pracy pt. „Rewolucja rosyjska", napisanej w 1918 r. Róża Luksemburg dowodziła istnienia zasadniczej sprzeczności między fundamentalnymi założeniami ustroju socjalistycznego a zjawiskiem powstawania elit politycznych. Była ona przekonana, że budowa społeczeństwa socjalistycznego będzie odbywała się w toku procesu nieustannych poszukiwań, odwoływania się do doświadczeń historycznych i rewolucyjnej twórczości mas robotniczych, które skorygują znane lub wskażą nowe drogi przekształcania rzeczywistości.

Aby masy robotnicze mogły wpływać na polityczne instytucje państwa, uzdrawiać „wszystkie przyrodzone niedoskonałości instytucji społecznych" należy stworzyć różnorodne instrumenty i mechanizmy demokratyczne. Państwo proletariackie powinno zagwarantować, zdaniem R. Luksemburg, funkcjonowanie takich zasad życia politycznego jak wolność prasy, zgromadzeń i wyborów powszechnych, ponieważ bez tych oraz innych swobód demokratycznych i możliwości nieskrępowanego wyrażania opinii szerokich mas robotniczych jest „nie do pomyślenia". Wszystkie te instytucje i mechanizmy są dla dyktatury proletariatu „elementem życia, powietrzem, bez którego nie może ona istnieć". Będą one również spełniały rolę szkoły życia politycznego, a proletariat w toku publicznego działania i sprawowania władzy nauczy się także jak z niej korzystać. Klasa robotnicza kreując rzeczywistość będzie również przekształcała samą siebie w sferze świadomości, albowiem socjalizm wymaga, aby zmieniły się „instynkty społeczne w miejsce instynktów egoistycznych, inicjatywa mas w miejsce bezwładu, idealizm przezwyciężający wszystkie dolegliwości".

Jak najszersze masy ludowe muszą brać aktywny udział w przemianach zachodzących w dziedzinie politycznej, gospodarczej i społecznej, ponieważ inaczej „socjalizm będzie wprowadzany dekretami, oktrojowany zza zielonego stolika przez tuzin intelektualistów". Róża Luksemburg uznawała za rzecz konieczną wprowadzenie różnorodnych elementów kontroli publicznej „inaczej wymiana doświadczeń ograniczy się do zamkniętego kręgu urzędników nowego rządu. Korupcja będzie nieunikniona".

Przeświadczona głęboko o tym, że dyktatura proletariatu „musi być dziełem klasy, a nie małej przodującej mniejszości występującej w imieniu klasy", przestrzegała przed niebezpieczeństwem wyrodzenia się jej we władzę biurokracji lub elit, wąskiej grupy ludzi typu dyktatury jakobińskiej. Bez zachowania wspomnianych norm i zasad demokratycznych, jak ostrzegała, „życie publiczne powoli zasypia, kilkudziesięciu przywódców partyjnych o niewyczerpanej energii i bezgranicznym idealizmie dyryguje i rządzi, a w rzeczywistości przewodzi spośród nich tuzin wybitnych głów, a elitę robotniczą co pewien czas zwołuje się na zgromadzenia, aby oklaskiwała mowy przywódców i wyrażała jednomyślną zgodę na przedłożone rezolucje". Tak więc negacja elit politycznych, podyktowana obawą przed możliwością podjęcia przez nie manipulacji mas, to jedna z istotnych cech postulowanego przez rewolucjonistkę modelu socjalistycznej kultury politycznej.

Ideałami egalitarnymi nasycił głęboko swą wizję społeczeństwa przyszłości **Edward Abramowski,** wybitny socjolog, filozof i psycholog, działacz społeczny i teoretyk spółdzielczości. Początkowo aktywny w polskim ruchu socjalistycznym, autor nie przyjętego przez zjazd paryski **PPS** projektu programu, w którym opowiadał się za ustanowieniem rządów proletariatu po zwycięstwie rewolucji międzynarodowej, wkrótce potem odsunął się od czynnej działalności rewolucyjnej. Odszedł od marksizmu, ale uważał się nadal za socjalistę i rozpoczął poszukiwania własnej koncepcji urzeczywistnienia ideału socjalistycznego. Stworzył oryginalną teorię socjalizmu bezpaństwowego, którą nierzadko interpretuje się jako odmianę idei anarchistycznej. Swoje poglądy na ten temat przedstawił w kilku pracach — „Zagadnienia socjalizmu", „Etyka rewolucji" (obie wydane w 1899 r.), „Socjalizm a państwo. Przyczynek do krytyki współczesnego socjalizmu" (1904), „Idee społeczne kooperatyzmu" (1907).

Abramowski dowodził, że instytucja państwa powinna być zniesiona, ponieważ cechą negatywną każdej państwowości jest biurokratyzacja władzy wyobcowanej od społeczeństwa i pochłaniającej poważną część efektów jego pracy. Atrybutem każdego typu państwa jest przemoc wobec obywateli, przy czym w historii nowożytnej, jego zdaniem, potęguje się dążenie władzy państwowej do uniformizacji całego społeczeństwa i ograniczenia wolności jednostki. Postulował zatem zburzenie państwa burżuazyjnego wraz z obaleniem ustroju kapitalistycznego. Poddał jednak także ostrej krytyce koncepcje państwa socjalistycznego, odrzucając zarówno koncepcję dyktatury proletariatu, jak i „socjalizacji" republiki demokratycznej".

Obawiał się Abramowski, że państwo proletariackie upodobni się do burżuazyjnego i zacznie stosować politykę przymusu wobec obywateli oraz ograniczać ich wolność, co doprowadzi do deprawacji społeczeństwa. Biurokratyczny aparat władzy państwowej może rozwinąć się do niespotykanych rozmiarów, ulegając w konsekwencji wyobcowaniu. Jego zdaniem przeprowadzone odgórnie reformy, poza klasą robotniczą, nie zmienią jej świadomości i moralności. Zwycięstwo socjalizmu będzie możliwe, jak sądził ten myśliciel, tylko dzięki uprzedniej rewolucji moralnej.

Abramowski uznał za idealną formę społeczeństwa przyszłości socjalizm bezpaństwowy, a jego wizję przedstawił w postaci modelu republiki kooperatywnej. Dowodził on, że elementy zalążkowe przyszłej społeczności istnieją w ustroju kapitalistycznym w różnorodnych instytucjach i stowarzyszeniach społecznych, jak kooperatywy, związki zawodowe i inne instytucje robotnicze, które rozwijając się przybierają samorodną formę walki klasowej proletariatu. Skupione w nich siły społeczne w przyszłości stopniowo doprowadzą, jak przewidywał, do uspołecznienia środków produkcji, opanowania i zdemokratyzowania pozostałych dziedzin życia takich jak kultura, oświata, opieka zdrowotna.

W wyniku równoległych procesów społecznych, jak zakładał Abramowski, ulegnie zmianie struktura społeczeństwa, stopniowo znikną klasy posiadające i powstanie demokratyczne społeczeństwo bezklasowe. Biurokratyczny aparat państwa, zrutynizowany i mało elastyczny, wypierany przez owe instytucje społeczne i bojkotowany przez całe społeczeństwo, a jego wysiłki będzie koordynowało stronnictwo socjalistyczne, zostanie osłabiony i jego organy będą obumierały. Państwo nie zniknie jednak natychmiast, ponieważ przez pewien czas będzie spełniało istotne funkcje w sferze polityki zagranicznej, bezpieczeństwa wewnętrznego i obrony granic. Jednakże system rozwijających się stowarzyszeń społecznych, antagonistycznych wobec państwa, doprowadzi do maksymalnego ograniczenia jego zasięgu. Przemiany ustrojowe muszą jednak poprzedzić rewolucja moralna, konieczne będzie zatem podejmowanie różnorodnych działań wytwarzających poczucie potrzeby socjalizmu w podświadomości i świadomości człowieka, kształtujących socjalistyczną mentalność społeczeństwa.

Przedstawił też Edward Abramowski szkic organizacji bezpaństwowego systemu społecznego rzeczypospolitej spółdzielczej. Miała to być federacja kooperatyw, czyli małych zbiorowości ludzi łączących się dobrowolnie, zgodnie z naturalną skłonnością człowieka do kolektywizmu, na zasadzie wspólnoty interesów i równouprawnienia. Kooperatywy uznawał za idealną formę organizacji życia gospodarczego i społecznego, ponieważ są one, jego zdaniem, operatywne i łatwo przystosowują się do zmiennych potrzeb i sytuacji, a ponadto stwarzają najlepsze warunki dla urzeczywistnienia ideałów socjalizmu — pełnego wyzwolenia człowieka, jego maksymalnej wolności i rozwoju osobowości. Republika kooperatywna, jak dowodził, wobec braku antagonizmów klasowych zagwarantuje idealną demokrację dzięki rządom większości spełniającym rzeczywistą wolę powszechną, a także wskutek odrzucenia przymusowych norm prawnych i wprowadzenia w ich miejsce zasady dobrowolnego podporządkowania się prawu, szerokiej tolerancji przekonań z pozostawieniem jednostce możliwości swobodnego urządzenia życia zgodnie z założeniami etyki braterstwa i przyjaźni ludzkiej.

Abramowski idealizował zasady ruchu kooperatystycznego i przedstawił model społeczeństwa przyszłości sprzeczny z obiektywnymi prawami rozwoju społecznego. Swoją teorię bezpaństwowego socjalizmu, wychodzącą poza ramy marksizmu, nasycił głęboko ideałami egalitarnymi, aby to społeczeństwo ustrzec przed niebezpiecznymi skutkami zjawiska patologii społecznej. Obawiał się, że mogą one zrodzić i pogłębiać wraz z przetrwaniem starych i powstaniem nowych elit politycznych, albo w konsekwencji biurokratyzacji i wyobcowania aparatu władzy sprawowanej przez mniejszość. Był przekonany, że mimo szlachetnych ideałów wolności i dobra ogółu przyświecających poczynaniom rządzącej mniejszości, zacznie ona zmierzać przy pomocy instrumentów przymusu państwowego do przekształcenia społeczeństwa poza jego świadomością i wolą.

Zarys wizji społeczeństwa bez elit, w pełni egalitarnego przedstawił **Jan Wacław Machajski,** działacz polskiego i rosyjskiego ruchu robotniczego, publicysta polityczny, teoretyk bliski anarchosyndykalizmowi. Koncepcję swoją, unikalną ze względu na zawarte w niej pierwiastki antyinteligenckie, przedłożył w kilku pracach opublikowanych w języku rosyjskim, jak „Robotnik umysłowy" (1905), „Bankructwo socjalizmu XIX stulecia" (1905).

Machajski krytykował marksizm i następnie odrzucił uznając, że jest to doktryna oportunistyczna, służąca nie klasie robotniczej i sprawie obalenia kapitalizmu, lecz rozwojowi społeczeństwa burżuazyjnego. Powodowany uprzedzeniami wobec inteligencji uważał, że to właśnie ona stworzyła ową teorię dla przedłużenia swego panowania nad proletariatem, zgodnie ze swoimi potrzebami zawężając cele i ideały rewolucji socjalistycznej do uspołecznienia środków produkcji z perspektywą budowy socjalizmu państwowego. Zdaniem Machajskiego uspołecznienie środków produkcji nie rozwiązuje kwestii robotniczej, albowiem oznacza ono tylko przesunięcie własności z rąk prywatnych w społeczne władanie, a w istocie w ręce inteligencji, bowiem to ona właśnie wyłoni nową władzę, a proletariusz pozostanie niewolnikiem zmuszonym do sprzedaży swej siły roboczej nowym panom, czyli inteligencji.

Posiadła ona, wedle Machajskiego, monopol wiedzy i dzięki temu stała się faktycznym władcą całej cywilizacji i kultury ludzkości, zaś wiedza to kapitał dziedziczony rodzinnie z pokolenia na pokolenie w zamkniętym kręgu wykształconych warstw społeczeństwa, które utrzymują w niewolniczym jarzmie pracy milionowe masy nie wykształconych robotników fizycznych. Inteligencja zajmująca uprzywilejowaną pozycję w epoce kapitalistycznej nie może być sojusznikiem proletariatu, ponieważ także po zwycięskiej rewolucji sama niepodzielnie będzie sprawowała władzę, do czego jest przygotowana z racji swego wykształcenia i doświadczenia.

Zadaniem przyszłej światowej rewolucji proletariackiej, którą Machajski nazywał „zmową robotniczą", będzie nie tylko uspołecznienie środków produkcji, ale także urzeczywistnienie egalitaryzmu ekonomicznego poprzez wprowadzenie takiego systemu podziału dochodów, w którym zostanie zrównane wynagrodzenie za pracę robotników fizycznych i pracowników umysłowych. Rewolucja proletariacka powinna także przeprowadzić wywłaszczenie inteligencji, która posiada kapitał wiedzy i dokonać jego uspołecznienia, zapewnić pełną równość robotników z inteligencją poprzez stworzenie każdemu człowiekowi takiego samego dostępu do kultury i oświaty, jednakowych warunków wychowania i wykształcenia. Powstanie wówczas, jak wierzył Machajski, możliwość przełamania monopolu inteligenckiej mniejszości na władzę, urzeczywistnienia egalitaryzmu w sferze ekonomicznej i politycznej, zbudowania społeczności bez elit.

Machajski był przekonany, że taka społeczność uniknie zbyt daleko idącej instytucjonalizacji życia publicznego, wiodącej zdradliwie do wyobcowania władzy. Odnosił się krytycznie do wszelkiej władzy, w tym także dyktatury proletariatu, choć początkowo akceptował taką koncepcję w swoim pisarstwie, uznając ją za antagonistyczną wobec rzeczywistych dążeń proletariatu. Jego zdaniem tylko w społeczeństwie egalitarnym, bez elit mogą urzeczywistnić się pragnienia klasy robotniczej.

Koncepcje teoretyczne Machajskiego, wyjątkowe ze względu na antyinteligenckie fobie, krzywdzące także inteligencję socjalistyczną jednostronnymi ocenami, nie znalazły na gruncie polskim równie wybitnych naśladowców. W ruchu robotniczym przeważał zdecydowanie pogląd, że **bez inteligencji niemożliwe jest zbudowanie socjalizmu.**

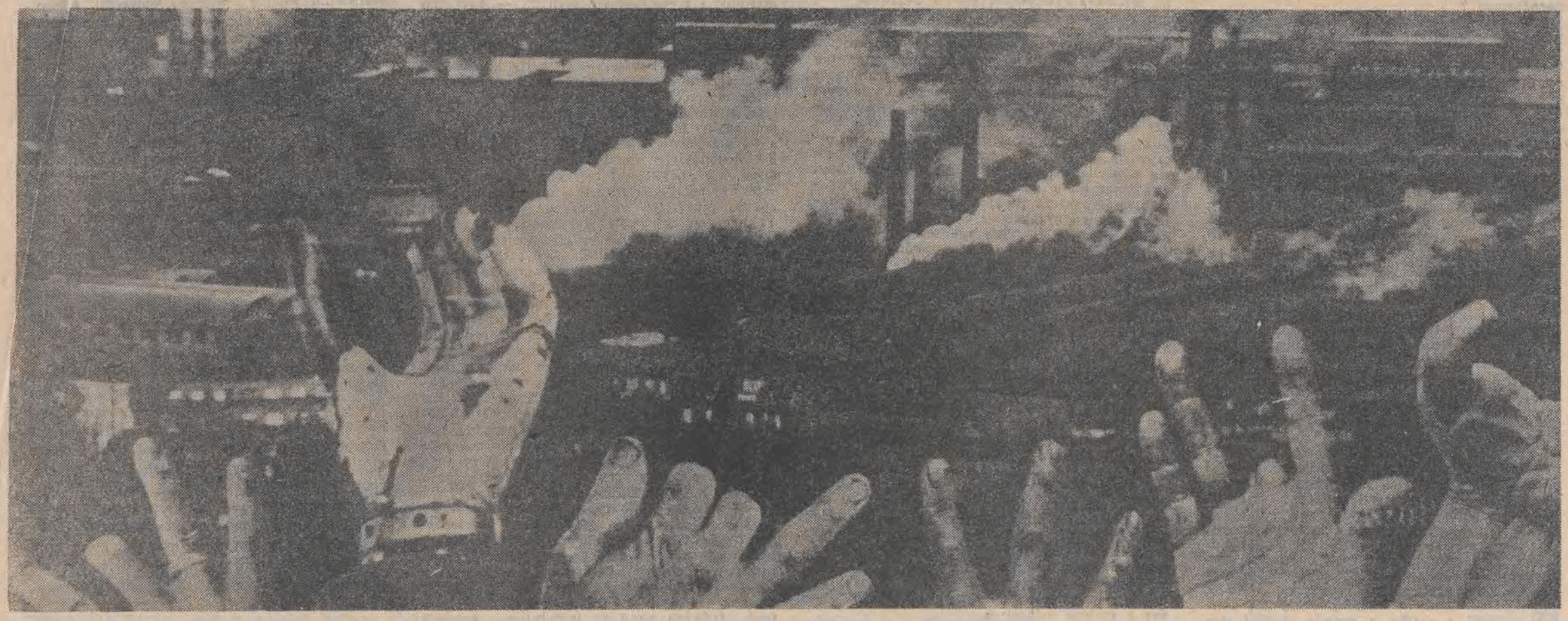

Czasy nadziei i rozczarowań (17)

Są granice, których przekraczać nie wolno

MIECZYSŁAW F. RAKOWSKI

— Powiedziałeś, że co mądrzejsi doradcy i eksperci późną jesienią wiedzieli już, że „Solidarność" znalazła się w ślepej uliczce. Czy dysponujesz w tej sprawie przekonującymi dowodami.

Sporo takich dowodów dostarcza dyskusja, jaka w minionych dwóch-trzech latach toczyła się w gronie byłych ekspertów i doradców na temat przyczyn upadku „Solidarności". Ale nie chciałbym zanadto wybiegać w przyszłość, ograniczę się więc do zrelacjonowania pewnej rozmowy. Otóż 27 listopada zgłosił się do Cioska jeden z głównych doradców „Wałęsy", który w dwugodzinnej rozmowie powiedział m. in., że widzi nieuchronność konfrontacji, ponieważ jego zdaniem istnienie „Solidarności" z jej politycznym programem jest nie do pogodzenia z realnym socjalizmem. Było to cenne wyznanie potwierdzające moją ocenę. Można jedynie żałować, że ów doradca doszedł do tego wniosku tak późno. Rozmówca Cioska przedstawił także swoją ocenę sytuacji politycznej kraju. Warto chyba przypomnieć niektóre jej elementy, ponieważ uzyskamy w ten sposób wgląd w sposób myślenia niektórych doradców. Wychodząc z założenia, że z powodu pogarszających się warunków życia następuje radykalizacja mas, której partia nie będzie mogła przeciwstawiać się metodami politycznymi, a „Solidarność" będąc niewolnikiem swej bazy społecznej też nie jest w stanie tego uczynić, uznał, że użycie siły będzie nieuchronne. Doradca dostrzegał jednak jeszcze jakąś szansę powstrzymania takiego biegu zdarzeń pod warunkiem, że rząd zmieni swą politykę wobec „Solidarności". Kierownictwo „Solidarności", dowodził, odnosi wrażenie, że władza odrzuciła ideę porozumienia i za dymną zasłoną, jaką jest Front Porozumienia Narodowego, dąży do konfrontacji. Swój punkt widzenia oparł na ustawicznym — jego zdaniem — atakowaniu „Solidarności" w środkach masowego przekazu, a także odrzucaniu przez władze propozycji Związku, na podejmowaniu decyzji cenowych bez konsultacji społecznych itp. No cóż, teza o ustawicznym atakowaniu nie była nową, pojawiała się w licznych rozmowach z przedstawicielami „Solidarności", w prasie Związku itp. Czy miała ona swoje uzasadnienie w rzeczywistości? Trzeba tę sprawę wyjaśnić, ponieważ zajmuje ona także poważne miejsce w opracowaniach apologetów „Solidarności". Przede wszystkim należy stwierdzić, że zespoły przywódcze „Solidarności" nie znosiły krytyki, a każdą nawet najbardziej uzasadnioną określały jako atak na Związek. A więc święta krowa, której nie wolno było ruszyć. Nie mogliśmy przyjąć takich reguł gry. (...)

Z rozmowy, na którą się powołuję, jeszcze jeden szczegół wymaga odnotowania. Otóż zarówno Wałęsa, jak i inni członkowie kierownictwa Związku jesienią 1981 roku zaczęli wszem i wobec głosić, że „Solidarność" ma przyobiecane przez Zachód środki finansowe w takiej wysokości, w jakiej to będzie potrzebne. Najczęściej mówiono o kwocie 5 miliardów dolarów. Rozmówca Cioska także wymienił tę sumę zapewniając, że pomoc może być okazana natychmiast, ale pod jednym warunkiem: oparcia wewnętrznej stabilizacji na narodowym porozumieniu trzech głównych sił politycznych w Polsce. Czyli mówiąc wyraźnie: jeśli przyjmiecie warunki podyktowane przez „Solidarność", a więc zgodzicie się na otwarcie drogi do zmian ustrojowych bo, o to przecież chodziło, to otrzymacie dolary. Tyle, ile potrzeba. Wprost trudno uwierzyć, że zarówno w zespole przywódczym „Solidarności", jak i wśród doradców, byli tacy, którzy z całą powagą traktowali realność takiego rozwiązania polskiego konfliktu. To już było z pogranicza aberracji. Sądzę, że poważni ludzie na Zachodzie uśmiechali się ironicznie, gdy słyszeli bajdurzenia o 5 miliardach dolarów. Gdy Wałęsa dowodził, że te pięć miliardów znajduje się w zasięgu ręki, można było tylko wzruszyć ramionami, ale jak należało zareagować na te szczyty naiwności, jakie zaprezentował jeden z głównych doradców przewodniczącego? Kiedy Ciosek zrelacjonował przebieg rozmowy, powiedziałem o doradcy, że zaczął mądrze, a skończył głupio.

— Rozpatrujemy różne aspekty porozumienia narodowego. Stwierdzasz, że przywódcy „Solidarności" faktycznie nie byli zainteresowani w zmaterializowaniu się tej idei. Przyjmujemy takie założenie, ale czy na przykład usunięcie siłą strajkujących podchorążych z budynku Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarnictwa było działaniem na rzecz porozumienia narodowego ?

Jeśli ktoś zechciałby rozpatrywać ten przypadek w całkowitym oderwaniu od rzeczywistości, to rzecz jasna, że mógłby dojść do takiego wniosku, ale nas obowiązuje uwzględnianie realiów, i tylko realiów. Przypomnijmy więc fakty. W nocy z 24 na 25 listopada, podczas wiecu zorganizowanego w szkole, proklamowany został przez studentów-podchorążych strajk okupacyjny. Był to pierwszy tego rodzaju strajk ogłoszony w budynku stanowiącym własność Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Organizatorzy strajku wystąpili przeciwko projektowi ustawy o szkołach wyższych przygotowanemu przez komisję prof. Z. Resicha, która zakładała wyłączenie z niej WOSP i usytuowanie jej w systemie szkolnictwa MSW. Straż Pożarna, jak wiadomo, podporządkowana jest właśnie temu resortowi. Zatem spór o to, czy WOSP powinna być traktowana jako jednostka paramilitarna, czy nie, był w istocie rzeczy bezprzedmiotowy. Oczywiście nie dla tych, którzy strajk zorganizowali, i tych, którzy za nimi stali. Krajowa Sekcja Pożarnictwa „Solidarności" w pełni poparła strajkujących studentów. W uchwale z 23 listopada, kierownictwo Sekcji domagało się, by uczelnia była w pełni „samorządną, niezależną i demokratyczną szkołą wyższą", nadzorowaną w sprawach naukowo-dydaktycznych przez ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki, a pod względem organizacyjno-finansowym przez ministra nadzorującego ochronę przeciwpożarową. Inaczej mówiąc: wy, tj. MSW, będziecie nas utrzymywać, a resztę to już my, to znaczy „Solidarność", załatwimy.

Strajk okupacyjny w WOSP z miejsca wyszedł poza mury uczelni. Komitet Strajkowy zwrócił się do Komisji Zakładowych NSZZ „Solidarność" Huty Warszawa, FSO, ZM „Ursus" i MZK z prośbą o wzięcie strajku studentów WOSP w opiekę i ochronę („Uważamy za konieczne wprowadzenie na teren uczelni straży robotniczej"). Wezwanie nie pozostało bez echa. Od pierwszego dnia strajku na terenie szkoły przebywała „straż robotnicza" z kilku warszawskich zakładów pracy. 29 listopada na teren uczelni wszedł Seweryn Jaworski, wiceprzewodniczący Regionu Mazowsze, który pozostał tam do dnia 2 grudnia. Zastępca komendanta WOSP, pułkownik pożarnictwa Józef Groba, w wystąpieniu telewizyjnym w dniu 2 grudnia oświadczył, że Jaworski w towarzystwie kilku pracowników naukowych uczelni wszedł do gabinetu komendanta i powiedział dosłownie: „Aresztuję Was, Macie tu siedzieć".

W pierwszych dniach trwania strajku okupacyjnego, kierownictwo MSW dążyło do wygaszenia powstałego konfliktu na drodze rozmów i perswazji, lecz napotkało na opór Komitetu Strajkowego popieranego przez działaczy Zarządu Regionu. Powstała więc sytuacja, której dłużej nie można było tolerować, chyba że władza sama chciałaby się ośmieszyć. 30 listopada, Rada Ministrów PRL na wniosek ministra spraw wewnętrznych przyjęła decyzję o rozwiązaniu szkoły. Nadal jednak trwała okupacja budynku będącego, jak już powiedziałem, własnością MSW. Jaki więc mógł być następny krok? Jedynie oczyszczenie budynku z byłych podchorążych. Stwierdzam: byłych, ponieważ po rozwiązaniu szkoły przebywali w niej bezprawnie. No, ale nie chodziło przecież tylko o formalno-prawne aspekty sytuacji, jaka się wytworzyła. Należało przerwać to żenujące widowisko w stolicy 37-milionowego państwa, a jednocześnie przypomnieć wszelkiej maści awanturnikom, że są granice, których przekraczać nie wolno. W związku z tym zapadła decyzja o usunięciu siłą strajkujących. Termin operacji został wyznaczony na dzień 2 grudnia, godzina 10.00. Na godzinę przed operacją, premier zlecił Ciosk owi poinformowanie Wałęsy o zamierzonej akcji. Wałęsa przebywał w tym czasie w hotelu „Solec", gdzie dzień wcześniej odbyło się posiedzenie Prezydium Komisji Krajowej. Ciosek opowiedział mi o przebiegu rozmowy z Wałęsą. Na przekazaną przez Cioska informację, przewodniczący Związku zareagował niezwykle gwałtownie. Zaczął wykrzykiwać, że teraz to już koniec, że trzeba się rozliczyć z władzą i skończyć z nią. Elokwentny Ciosek, który w każdej sytuacji potrafił znaleźć właściwe słowo, tym razem był tak zaszokowany, że w milczeniu podszedł do drzwi i sięgnął po klamkę. I w tym momencie usłyszał od Wałęsy: „Panie Ciosek, jest pan porządnym chłopem, znajdziemy dla pana pracę".

W środę, 2 grudnia, zgodnie z podjętą wcześniej decyzją, nad budynek szkoły nadleciał helikopter, z którego grupa desantowa specjalnej jednostki MO przedostała się na dach szkoły. Po nim nadleciał następny. Akcję przeprowadzono energicznie, szybko i sprawnie. Nikt nie odniósł obrażeń, nikt też nie stawiał oporu. Już pierwsze ustalenia wykazały, że część słuchaczy byłej WOSP brała udział w strajku okupacyjnym pod presją, wbrew własnej woli. Zatrzymane w toku operacji osoby spoza szkoły, łącznie z Jaworskim, zostały po przesłuchaniu zwolnione. Ruszyła także komunikacja miejska. Rzecz w tym, że przez 24 godziny została zablokowana komunikacja tramwajowa w ważnym dla normalnego funkcjonowania stolicy rejonie. Kilkanaście wozów tramwajowych tarasowało ulicę Słowackiego, łączącą Bielany i Żoliborz z resztą miasta. Tysiące ludzi spóźniło się do pracy, część miasta została wytrącona z normalnego życia. Jest oczywiste, że blokada tramwajowa nie wzięła się z powietrza. Był to przejaw „opieki" nad strajkującymi w gmachu szkoły, zgodnie z wezwaniem Komitetu Strajkowego. I na tym właściwie można by zakończyć relację z przebiegu konfliktu w WOSP. Ale nie można, bowiem ów konflikt zmusza do poczynienia kilku uwag ogólniejszej natury. Przede wszystkim musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, jaki mógł być wydźwięk polityczny tego konfliktu? Nie można go ocenić inaczej niż jako wyzwania skierowanego pod adresem resortu spraw wewnętrznych. Kierownictwo MSW miało do wyboru tylko dwie możliwości. Przyjąć żądania strajkujących albo zastosować środki, które definitywnie przeciętyby świadomie zorganizowany konflikt. Ugięcie się pod żądaniami strajkujących nie oznaczałoby nic innego jak poważne osłabienie autorytetu MSW, i tak już nadwątlonego w wyniku stałych ataków różnych ogniw „Solidarności" na funkcjonariuszy SB i MO. Nietrudno też wyobrazić sobie, jak fatalny byłby wpływ takiego ustępstwa na morale tysięcy funkcjonariuszy. Można także z góry założyć, że wśród milionów obywateli spotkałoby się to z komentarzem: cóż to za władza, znowu ustąpiła. I to przed kim? Przed studentami? Proszę wziąć pod uwagę, że wcale nierzadko w tym okresie oskarżano władzę o zbytnie ustępstwa.

I wreszcie kolejna uwaga. Stawiacie pytanie, czy operacja dokonana przez specjalne oddziały MO nie zaszkodziła idei porozumienia. Odwróćmy więc pytanie. A czy ci, którzy postanowili stworzyć nowy punkt zapalny w stolicy kraju z myślą o wypróbowaniu, do jakiego miejsca można naciskać na władzę, nie powinni byli pomyśleć, że szkodzą idei porozumienia narodowego, że podnoszą temperaturę do punktu wrzenia, potęgują i tak już wysoki stopień nerwowości? Dramat polegał jednak na tym, że w tym czasie ekstremiści mieli już w większości przypadków głos decydujący w „Solidarności". Nie myśleli oni w kategoriach interesu narodowego. Parli do przodu, ponieważ gnała ich przemożna chęć wypróbowania swych sił w starciu z władzą.

— Brzmi to dramatycznie...

Bo też i każdy dzień zaostrzał dramatyzm sytuacji. Mówiliśmy już sporo o staraniach na rzecz zrealizowania idei porozumienia narodowego. Każdy, nawet najmniej zorientowany w polityce człowiek wiedział, że stworzenie struktury współżycia klas i grup społecznych, ludzi wyznających różniące się od siebie światopoglądy wymaga zaistnienia odpowiednich politycznych i psychologicznych warunków sprzyjających dialogowi. I oto 1 grudnia w Warszawie odbyła się w siedzibie Regionu Mazowsza konferencja prasowa z udziałem dziennikarzy zachodnich, na której przedstawiono „Deklarację założycielską Klubów Rzeczypospolitej Samorządnej — Wolność-Sprawiedliwość-Niepodległość". Ojcem tej koncepcji był Jacek Kuroń. O co w niej chodziło? Odpowiada na to fragment deklaracji: „Uważamy, że tworzenie formacji ideowo-politycznych jest dziś krokiem koniecznym. Stanowią one zalążki przyszłych partii politycznych demokratycznego państwa". Próba organizowania Klubów w oparciu o „Solidarność" była kolejnym wyzwaniem pod adresem PZPR, a szczególnie programu przyjętego na IX Zjeździe. Kuroń krokiem tym nie demonstrował niczego innego jak schizofrenię polityczną. Czy rzeczywiście wyobrażał sobie, że jawnie głoszona chęć podążania w kierunku kontrrewolucyjnego przewrotu zostanie przez nas potraktowana jedynie jako majaczenie człowieka, którego ogarnęła euforia?

W tym samym dniu Komisja Zakładowa „Solidarności" w Stoczni im. A. Warskiego ogłosiła deklarację, w której stwierdziła m. in. „Zdecydowanie odrzucamy koncepcję Frontu Porozumienia Narodowego, jako jeszcze jedną próbę utrzymania monopolu wąskiej elity partyjnej... domagamy się przeprowadzenia wolnych, demokratycznych wyborów do Sejmu i rad narodowych do 31 maja 1982 roku, w oparciu o prawdziwą demokratyczną ordynację wyborczą. Domagamy się również, by do momentu przeprowadzenia wolnych i demokratycznych wyborów do Sejmu i rad narodowych — najwyższym organem decyzyjno-kontrolnym w gospodarce była Społeczna Rada Gospodarki. Nadmieniamy jednocześnie, że jeśli władza nie przyjmie powyższych żądań, Związek w porozumieniu z innymi organizacjami społecznymi, będącymi rzeczywistymi reprezentantami określonych środowisk społecznych — powinien w terminie do 31 maja przeprowadzić demokratyczne wybory do Sejmu i rad narodowych. Po dokonaniu tych wyborów obecnie istniejąca władza utraci wszelkie atrybuty legalności".

Przytoczyłem obszerny fragment deklaracji, którą można by uznać za klasyczny przykład, trudno nawet powiedzieć czego, może paranoi, gdyby nie to, że stanowiła jeden z licznych przejawów złowieszczych procesów, jakie dokonywały się w „Solidarności". Nie wiem, kto podyktował członkom Komisji Zakładowej tekst oświadczenia, ale na pewno nie był to przyjaciel robotników. Nie chciałbym dotknąć stoczniowców warskiego, ale przecież osądzając oświadczenie w kategoriach politycznych, trzeba powiedzieć, że był to program kontrrewolucji. Pomijam już stanowcze i wręcz bezprzykładne odrzucenie idei utworzenia Frontu Porozumienia Narodowego, ale przecież deklaracja nawoływała wprost do przejęcia władzy. Czyż zawarte w niej żądania, podobnie jak te, które znalazły się w Deklaracji Założycielskiej Klubów, nie stawiały na porządku dnia konieczności zastanowienia się nad palącą potrzebą położenia kresu temu szaleństwu, w interesie zachowania państwa i zabezpieczenia podstawowych celów narodowych? Jeśli wśród uczonych doradców kierowniczego zespołu „Solidarności" byli ludzie, którzy tego nie rozumieli, to należy ograniczyć się jedynie do złożenia im wyrazów ubolewania. (...)

— 2 grudnia z Zarządu Regionu Mazowsze nadano do wszystkich zarządów regionów NSZZ „Solidarność" dalekopis o następującej treści: „Zarządzam ostre pogotowie w biurach zarządów regionów. Poczynić przygotowania do gotowości strajkowej. Bez dyspozycji ośrodka centralnego Związku nie podejmować żadnych akcji za wyjątkiem sytuacji przewidzianych w paragrafie 33 pkt. 4 statutu Związku — Lech Wałęsa". Co Twoim zdaniem oznaczał ten dalekopis?

Odpowiedź wymaga wglądu w to, co działo się w zespołach przywódczych „Solidarności" na przełomie listopada i grudnia. Jak już mówiliśmy, na 3 grudnia wyznaczono w Radomiu spotkanie Prezydium KK z przewodniczącymi zarządów regionalnych. Zostało ono poprzedzone obradami Prezydium KK w hotelu „Solec" w Warszawie w dniu 1 i 2 grudnia. W hotelu „Solec", jak pamiętamy, zatrzymywali się członkowie Prezydium KK, gdy zjawiali się w Warszawie. W obradach uczestniczyli członkowie ścisłego Prezydium i kilku zaproszonych doradców. Niewiele przeniknęło z tego posiedzenia, bo dzięki obrotności niektórych pracowników Biura ds. Związków Zawodowych, którzy miadali wcale niezłe kontakty z niektórymi członkami Prezydium, coś niecoś wiem o przebiegu obrad. W „Solcu" dyskutowano przede wszystkim nad taktyką działania Związku w aktualnej sytuacji społeczno-politycznej kraju. Członkowie Prezydium pozostawali pod silnym wrażeniem ewentualnego przyjęcia przez Sejm ustawy zakazującej organizowania strajków. O losach projektu tej ustawy już mówiliśmy. Stwierdzono, że Związek powinien uczynić wszystko, aby nie dopuścić do uchwalenia tych ustaw. Co to znaczy wszystko? No, przede wszystkim skuteczny strajk. Istniała zgoda co do tego, że jest to środek najskuteczniejszy, ale niektórzy uczestnicy obrad powątpiewali w skuteczność strajku generalnego, głównie ze względów atmosferycznych. Ich zdaniem, zima ograniczała powszechność takiego strajku, ponieważ należałoby wyłączyć z niego przemysł wydobywczy, energetykę, lekki, komunikację miejską itp. Wątpliwości wzbudzał także tzw. strajk czynny, głównie ze względu na słabości kadrowe Związku. Powątpiewano w możliwość zarządzania gospodarką narodową przez Związek, m. in. w dziedzinie importu. Strajk czynny miał polegać na tym, że odbywa się „normalna" praca, ale kierują nią członkowie „Solidarności", i to oni dokonują rozdziału produkcji. Mimo że zgodzono się co do tego, iż strajki nie gwarantują obalenia rządu, to jednak Prezydium KK ostatecznie opowiedziało się za celowością rozpatrzenia w Radomiu koncepcji ogłoszenia strajku powszechnego jako najskuteczniejszej formy odpowiedzi Związku na wypadek przyjęcia przez Sejm wspomnianych projektów ustaw.

Z uwagą wysłuchałem także rozważań o taktyce, jaką Związek powinien był zastosować wobec PZPR. Uczestnicy posiedzenia byli zdania, że w związku z inicjatywami partii w różnych dziedzinach życia społeczno-politycznego konieczne staje się podjęcie działań, które spowodowałyby zneutralizowanie tych inicjatyw. Jeden z uczestników dowodził, że trzeba niezwłocznie wypracować metody walki z partią, by faktami dokonanymi, bez rozlewu krwi, zepchnąć ją do defensywy. Inny dowodził, że trzeba zachęcić robotników, członków partii, do składania legitymacji partyjnych, tak aby PZPR stała się organizacją tylko urzędników i funkcjonariuszy. Akceptację uzyskała akcja wypierania komórek partyjnych z zakładów pracy.

Co się tyczy idei powołania do życia Frontu Porozumienia Narodowego, to uznano, że Związek powinien zdecydowanie odrzucić ją i żądać tzw. wolnych wyborów do Sejmu oraz rad narodowych. Zaproponowano także powołanie przez „Solidarność" Społecznego Trybunału Narodowego, trybunałów regionalnych i straży robotniczych. Wyrażano pogląd, że instytucje te powinny zająć się dyskredytowaniem dotychczasowych posłów uniemożliwiając przez to ponowny ich wybór.

Jednym z tematów dyskutowanych a posiedzeniu Prezydium była kwestia stosunku „Solidarności" do poczynań rządu w zakresie reformy gospodarczej. Stwierdzono, że Związek powinien kłaść nacisk na kolejność jej wdrażania według własnej koncepcji, a więc regulacja cen powinna być fazą kończącą reformy. Jeśli rząd, mówiono, podejmie działania sprzeczne ze stanowiskiem Związku, należy podjąć kontrakcje ze strajkiem generalnym włącznie. Jeden z uczestników dowodził, że trzeba podjąć walkę o zmianę układu politycznego, z zachowaniem — jak to określił — „pewnych bardzo ważnych sfer interesów dla Rosji". To mi przypomina, że późną jesienią kursował po kraju najbardziej nieprawdopodobne plotki na temat stosunku naszych radzieckich przyjaciół do „Solidarności". A więc, że Kuroń spotkał się w jakimś wagonie kolejowym z konsulem radzieckim, że już uzgodniono, iż PZPR zachowa trzy ministerstwa — MON, MSW i MSZ, a pozostałe zostaną oddane nowej sile, jaka wyrosła po sierpniu 1980 roku.

No, ale powróćmy do obrad Prezydium w „Solcu". Czy ktokolwiek może powiedzieć, że omawiana tam taktyka działania Związku miała cokolwiek wspólnego z traktowaniem PZPR i władz państwa jako sił partnerskich? Czy w tym, co mówiono, można było dostrzec ducha rozumnego kompromisu? Myślę, że nie. Nad hotelem „Solec" unosił się duch bezwzględnej walki z istniejącym socjalistycznym porządkiem społeczno-gospodarczym. Taka jest już dziś historyczna prawda, której nie jest w stanie wymazać najbardziej nawet intelektualnie sprawny chwalca „Solidarności".

C.D.N.

„Morze, nasze morze będziem ciebie wiernie strzec”

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Zawiadomione o tym dowództwo odwołało operację „Rurka” na noc 1 września 1939 roku. Ale wiadomość o tym nie dotarła do dowódcy ORP „Wicher” komandora porucznika Stefana de Waldena. „Wicher” wypłynął na morze, aby pełnić swoją powinność — osłaniać „Gryfa” stawiającego miny.

O wydarzeniach z nocy z 1 na 2 września 1939 roku musiało być na Helu głośno, gdyż Antoni Seroka opisał to dość barwnie. *„Sygnalista „Wichra” przez lornetę ogarnia szeroką przestrzeń wód Zatoki. Nic się jednak nie dzieje. (...) Naraz drgnął. W mglistym kręgu soczewek dostrzega jakieś dalekie niewyraźne cienie, po chwili nie ma już wątpliwości, to dwa okręty, ale jakie? (...)*

Po krótkiej chwili przy burcie zjawia się dowódca, komandor de Walden. „Wicher” z rozkazu dowódcy wchodzi na kurs równoległy i zachowując wszelkie środki ostrożności zbliża się na odległość 4.000 metrów”.

Były to dwa niszczyciele typu „Leberecht Maass”. Trafiła się nadzwyczajna okazja Można je było zaatakować torpedami. Ale wówczas zdradzono by pozycję „Gryfa”, stawiającego w pobliżu miny. Co ważniejsze? Bezpieczeństwo „Gryfa” i pola minowe, które będą stałą zaporą dla niemieckich okrętów, czy zatopienie jednego niszczyciela? Komandor Stefan de Walden uznał, że ważniejsze jest bezpieczeństwo „Gryfa”.

Po północy, a więc już 2 września 1939 roku, nadarzyła się druga okazja. „Wicher” był w odległości 3.500 metrów od niemieckiego okrętu wojennego. „Wicher” podpłynął niepostrzeżenie, załadowano torpedy i czekano na rozkaz ich odpalenia. Ale ten nie padł, ku rozpaczy załogi. Komandor Stefan de Walden znów uznał, że ważniejsze jest bezpieczeństwo „Gryfa” i pola minowe.

Dramat załogi i tragiczność tych decyzji wyszła na jaw rankiem, gdy ORP „Wicher” wpłynął do portu helskiego. Okazało się, że „Gryf” całą noc spędził w porcie i „Wicher” nikogo nie ochraniał. Nie było dylematu: odpalić torpedy czy nie, aby nie ujawnić położenia „Gryfa”. Należało tylko dać jeden rozkaz: — pal! Ale komandor Stefan de Walden o tym nie wiedział. Poza tym 2 września 1939 roku przyszedł rozkaz: wygasić kotły, broń podwodną wyokrętować. Dywizjon trałowców ma odpłynąć i stacjonować w Jastarni. W ten sposób „Wicher” i „Gryf” stały się stacjonarnymi punktami artyleryjskimi.

JAKĄ ROLĘ MIAŁA PEŁNIĆ FLOTA

na wypadek wojny? Odpowiedź na to pytanie znajduje się w wytycznych Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych z 26 lipca 1939 roku dla Armii „Pomorze” i Kierownictwa Marynarki Wojennej:

„a) bronić Helu jako zasadniczej bazy Marynarki Wojennej;

b) bronić rejonu Gdyni w ten sposób, by nie dopuścić do jego zaskoczenia, umożliwić mobilizację floty i przesunięcie na Hel wyposażenia znajdującego się w Gdyni, jak najdłużej uniemożliwiać nieprzyjacielowi swobodne korzystanie z szosy i linii kolejowej Wejherowo—Gdynia oraz nie dopuścić do umieszczenia artylerii dalekonośnej w rejonie Oksywia dla ostrzeliwania Helu”.

Poza tym celem operacji „Worek” było przeszkadzanie marynarce III Rzeszy w komunikacji między Rzeszą a Prusami Wschodnimi. Walki w rejonie Gdyni i walki w rejonie „korytarza” uniemożliwiały komunikację lądową, a Prusy Wschodnie potrzebowały zaopatrzenia z Rzeszy. Operację „Worek” realizowały okręty podwodne. Początkowo na pierwotnie wyznaczonych obszarach morskich, a po 7 września 1939 roku w nowych rejonach Bałtyku. Nim jednak taka decyzja zapadła okręty podwodne „Ryś”, „Wilk” i „Żbik” otrzymały w nocy z 2 na 3 września 1939 roku drogą radiową rozkaz dowócy dywizjonu okrętów podwodnych komandora porucznika Aleksandra Mohuczego postawienia zapory minowej w rejonie między cyplem Helu a ujściem Wisły. Każdy z nich mógł postawić 20 min.

ORP „Wilk” musiał przerwać stawianie min i schronić się w głębiny, gdyż nadpływały dwa nieprzyjacielskie okręty. Po powrocie do stawiania min zepsuł się silnik jednego z torów minowych i trzeba było resztę min... wypychać rękoma. ORP „Ryś” postawił miny 7 września 1939 roku — po opuszczeniu portu helskiego, do którego zawinął wbrew rozkazowi, aby naprawić uszkodzenia i dać wypocząć załodze. Postawiono tylko 10 min, gdyż rejon stawiania min patrolowały okręty niemieckie. ORP „Żbik” postawił miny w godzinach rannych 8 września 1939 roku.

Postawiono 20 min i 1 października 1939 roku na jednej z nich wyleciał w powietrze i zatonął trałowiec niemiecki „M-85” wraz z 24 marynarzami. W ten sposób okręty podwodne choć w części zrealizowały operację „Rurka”. Niemcy bali się min przez cały czas działań na Bałtyku, ciągle trałowali te rejony, w których spodziewali się polskich min.

Pierwsze dni wojny wykazały dobitnie, że największym zagrożeniem dla polskiej floty — tak zresztą jak i dla innych rodzajów wojsk, a i dla ludności cywilnej również — jest Luftwaffe. Jednakże Polska nie była przygotowana do zwalczania wrogich samolotów. Warto przy tym wspomnieć, że w 1934 roku ukazała się w Warszawie książka gen. Władysława Sikorskiego pt. „Przyszła wojna” — która znalazła uznanie wojskowych w innych państwach — w której autor zwracał uwagę na znaczenie obrony przeciwlotniczej. Obrona ta — jego zdaniem — powinna dysponować szeroko zakrojoną siecią obserwatorów łączności, jak też być nowocześnie wyposażona.

„...artyleria przeciwlotnicza — pisał gen. Władysław Sikorski — *zmusi zaatakowane przez siebie eskadry samolotów do wzniesienia się na duże wysokości i wykonania licznych, a bezużytecznych ewolucji oraz nie pozwoli im na dłuższe krążenie nad celem. Osłabi więc znacznie ewentualne skutki dokonanego napadu. Jeżeli zaś atakujące eskadry zostaną rozproszone, wówczas pojedyncze samoloty stać się mogą łatwo łupem kontratakującego je lotnictwa myśliwskiego obrony.*

Nowoczesna artyleria przeciwlotnicza działać będzie skutecznie w przyszłej wojnie zarówno w dzień, jak i w nocy, pod warunkiem że podsłuchowe aparaty ustalą dokładnie awiację przeciwnika, a współdziałające z nią reflektory uchwycą w czas i ścigać będą przy pomocy fal świetlnych podejmujące atak eskad[illegible]”.

Jednak polska

OBRONA PRZECIWLOTNICZA

nie była tak wyposażona, aby mogła skutecznie zwalczać Luftwaffe w jej atakach na cele nawodne czy naziemne. Planowano wprawdzie, że obrona przeciwlotnicza powinna dysponować na wypadek wojny: 896 najcięższymi karabinami maszynowymi, ale było ich około 50; działek kalibru 40 mm miało być 606 a było 306, nowoczesnych dział przeciwlotniczych kalibru 75 mm miało być 420, a było 44. Poza tym obrona przeciwlotnicza dysponowała 94 działami kalibru 75 mm starego typu i 14 działami tegoż kalibru wzór 24, których — i jednych i drugich — według planu miało już nie być wcale. Miało natomiast być 60 dział kalibru 90 mm, ale nie było ani jednego.

Na Wybrzeżu było natomiast 14 dział kalibru 75 mm i 12 działek kalibru 40 mm „Vickers”. Toteż lotnictwo dawało się dobrze we znaki obrońcom Gdyni, Oksywia i Helu.

Słabość polskiej obrony przeciwlotniczej pozwoliła Niemcom rozprawić się z polską flotą wojenną. Nim się to stało dowódca niemieckich sił morskich na wodach Zatoki Gdańskiej — kontradmirał Günther Lütjens skierował dwa niszczyciele w pobliże Helu. Były to „Leberecht Maass” i „Wolfgang Zenker”, które dysponowały 10 działami kalibru 127 mm. Helu oprócz dział okrętowych „Wichra” i „Gryfa” broniła bateria nadbrzeżna im. Heliodora Laskowskiego, dysponująca 4 działami kalibru 152 mm. Na salwy niemieckich niszczycieli odpowiedziały polskie działa.

„Siła niszczycielska i celność polskiego ognia już po paru minutach okazała się zgubna dla niemieckich okrętów — pisze Antoni Seroka. — *Po dziesięciu mniej więcej salwach wśród kontrtorpedowców zaczyna się coś dziać. Oba z niezwykłym pośpiechem nakrywają się zasłoną dymną. U naszych żołnierzy wywołuje to zrozumiałe napięcie. Nie zaprzestając ognia, z ukrytą nadzieją ludzie czekają na wynik akcji. W ciągu minuty wiatr przerzedza zasłonę, rozwiewa ją coraz bardziej, spoza niej ukazuje się tkwiący nieruchomo jeden z niemieckich okrętów”.*

Wymiana ognia artyleryjskiego trwała 13 minut. Dowódcy niemieccy stwierdzili później, że *„okręty polskie i bateria helska są dobrze przygotowane do strzelania”*, że *„najpierw dopuszczają przeciwnika w zasięg skutecznego ognia, a wówczas znienacka otwierają skuteczny ogień”*. Jeden z niszczycieli niemieckich został poważnie uszkodzony polskimi pociskami. Uczestnik walki — kpt. Zbigniew Przybyszewski opisał trafiony okręt jako taki, którego dziób *„był zanurzony, rufa trochę wzniesiona”*. W 3 godziny do trafionego niszczyciela podpłynęły z Gdańska 3 holowniki i go odholowały. Według niektórych relacji — przede wszystkim niemieckich — okręt ten miał zatonąć. Ale Edmund Kosiarz we wspomnianej książce „Flota Białego Orła” pisze, że *„po wojnie liczni autorzy zachodnioniemieccy zaprzeczali, jakoby niszczyciel hitlerowski zatonął 3 września 1939 r. w walce z jednostkami polskimi”*.

A zatem pozostało tylko lotnictwo. Zniszczenie floty polskiej stało się tym bardziej pilne, że 3 września 1939 roku Francja i Anglia wypowiedziały III Rzeszy wojnę i główne siły floty niemieckiej trzeba było skierować na Morze Północne. Tego samego dnia około godziny 15.00 samoloty Luftwaffe zaatakowały unieruchomione w porcie helskim dwa polskie okręty „Wicher” i „Gryf”. Ataki ponawiano kilkakrotnie, w rezultacie których rozbito zakotwiczone okręty, a przede wszystkim „Wicher”, „Gryf” — który palił się przez kilka dni — i kanonierkę „Generał Haller”.

Okręty kotwiczące w Jastarni używane były do minowania szlaków morskich i artylerią swoją wspomagały obrońców Gdyni i Kępy Oksywskiej. 14 września 1939 roku Luftwaffe podjęło akcję zlikwidowania ostatnich polskich okrętów wojennych. Tego dnia padła też Gdynia.

„Godzina dziewiąta — wspomina Antoni Soroka — *nalot jedenastu niemieckich bombowców „JU-87” na trałowce zakotwiczone w porcie w Jastarni. Nalot trwał krótko. Marne uzbrojenie portu i okrętów nie rokowało żadnych szans na skuteczne odparcie ataku”.*

Polskie okręty zostały zniszczone. Pozostały jeszcze na morzu ciągle czatujące na nieprzyjaciela polskie okręty podwodne. Od 7 września 1939 roku były one

Z DALA OD POLSKIEGO WYBRZEŻA

losu załogi były wyczerpane, okręty uszkodzone, żadnych szans na zmianę sytuacji. Łączność z nimi coraz bardziej się rwała. Zadania, jakie miały do spełnienia były coraz trudniejsze i niemal niewykonalne. Dowództwo Polskiej Marynarki Wojennej stało na stanowisku, że okręty podwodne muszą bezwzględnie przestrzegać międzynarodowych konwencji, a zatem nie wolno im atakować okrętów handlowych, płynących bez wojennej eskorty w sytuacji, gdy nie mogą załodze zapewnić możliwości ratunku. Przestrzegano tego solidnie, choć jak później pokazała praktyka Niemcy hitlerowskie postępowały wbrew wszelkim prawom, uprawiając piractwo morskie.

W rezultacie polskie okręty podwodne stały się ściganymi i atakowanymi. Już 3 września 1939 roku ORP „Żbik” został zaatakowany przez mały okręt podwodny Kriegsmarine U-14. Napastnik został nie dostrzeżony, a „Żbika” uratowała nadzwyczajna czułość zapalnika, który spowodował wybuch torpedy na 500 metrów przed okrętem polskim. Taka sytuacja powtórzyła się ze „Żbikiem” w nocy z 6 na 7 września 1939 roku. Atakował U-22. W nocy z 2 na 3 września doszło do przypadkowego spotkania „Sępa” z U-18.

ORP „Wilk” w nocy z 14 na 15 września przeszedł Sund i 20 września był już w Wielkiej Brytanii. Wcześniej, bo 17 września na wody neutralnej Szwecji wszedł ORP „Sęp” i po 24 godzinach został internowany. 24 września w Szwecji został internowany ORP „Ryś”, a 26 września — „Żbik”. Najdłużej na morzu pozostawał ORP „Orzeł”, bo do 7 października 1939 roku. W nocy z 8 na 9 października przeszedł cieśniny, a w Wielkiej Brytanii zameldował się 14 października 1939 roku. Polska była już pod okupacją. Rozpoczął się w kraju okres walki podziemnej

POLSKIE OKRĘTY WOJENNE

gdy tylko spadły pierwsze bomby na Puck i Hel, podniosły kotwice i ruszyły do Helu. Okręty podwodne popłynęły na swoje sektory działań: „Sęp” — na wysokości Rozewia, „Ryś” — na północny wschód od cypla półwyspu Hel, „Wilk”, „Orzeł” i „Żbik” w rejonie Zatoki Gdańskiej.

1 września 1939 roku o godzinie 13.50 rozpoczęło się bombardowanie portu w Gdyni. Na port nadleciało 30 samolotów Heinkel 111 HI i Junkers JU 87B. Nadlatywały falami, bombardowały, strzelały z karabinów maszynowych i działek pokładowych z lotu nurkującego. Polskich artylerzystów uczono strzelania do samolotów znajdujących się na pewnej wysokości. Jak wspomina dowódca 1 morskiego dywizjonu artylerii przeciwlotniczej major Stanisław Jabłoński, samoloty *„pikowały prawie pionowo, tak że myśleliśmy początkowo, że niektóre spadają od trafień naszej artylerii”*. A przecież mimo to artylerzyści z ORP „Mazur” uszkodzili jeden z samolotów, a artylerzyści z ORP „Generał Haller” zestrzelili. Mogli oni wszakże 30 samolotom przeciwstawić tylko 8 dział i 12 ciężkich karabinów maszynowych.

W porcie gdyńskim w czasie nalotu ładowano części zapasowe dla okrętów na ORP „Mazur” i amunicję na ORP „Nurek”. Tę ładunki miały spiesznie być przewiezione na Hel. Samoloty Luftwaffe zaatakowały oba okręty. Podczas ataku załoga „Nurka” — z wyjątkiem artylerzystów — nie przerwała załadunku amunicji. Bomba trafiła w wyładowany amunicją okręt. Pozostały z niego tylko skręty blachy. Z 22 osób załogi uratowało się tylko 6.

Zatopiony również został ORP „Mazur”. Bomba wybuchła na molo tuż przy burcie, uszkadzając dziób i nadbudówki. Okręt zaczął tonąć, jego załoga strzelała do ostatniej chwili, już stojąc po pas w wodzie.

Tego dnia rozegrała się też

PIERWSZA BITWA MORSKO-POWIETRZNA

drugiej wojny światowej. Jej przebieg z Helu obserwował Antoni Seroka, co później opisał w książce „32 dni obrony Helu”.

„Starszy marynarz sygnalizuje, że kursem na Hel dąży kontrtorpedowiec „Wicher” z dywizjonem trałowców. Mimo spóźnionej pory doskonała widoczność pozwala obserwować okręty nawet gołym okiem. Po paru minutach do kawalkady zbliża się od strony Jastarni ORP „Gryf”.(...)

W szyku okrętów dostrzegam zamieszanie, a uszy łowią znajomy dźwięk. Rój dźwięków... To samoloty niemieckie...

Wpatruję się w rozdygotaną przestrzeń. Oczy łzawią. Skośne promienie słońca rażą źrenice. Na krótką chwilę otrzymuję szkła. Nad okrętami jak rój os ugania się kilkadziesiąt samolotów... Okręty wykonują gwałtowne zwroty — „Cała wstecz!”. „Cała naprzód!”. „Lewa na burt!”. Rozkolebane morze raz w raz wyrzuca gejzery wody”.

Bitwa toczyła się w odległości 4 mil od Helu. Polskie trałowce płynęły na Hel, skąd w nocy w ramach operacji „Rurka” miały wyjść na minowanie wód przybrzeżnych i szlaków komunikacji morskiej. „Wicher” miał je osłaniać. Eskadry Luftwaffe zaatako-

Był skandal, czy nie było?

ze str. 1

Kradzieżom i dewastacji sprzyjał ostatni, blisko trzymiesięczny okres, w czasie którego nie doszło do przekazania (mimo kilkakrotnych prób) budynku ekipie PBK 1".

Ale 10 czerwca 1986 roku, ZOZ przekazał obiekt PBK 1. Umowa zawarta z PBK 1 ustanawia czas trwania robót remontowo-budowlanych na okres 18 miesięcy. Budowlani nie mają jednak pewności, czy zdołają uporać się ze wszystkimi robotami w terminie, jako że zwiększył się ich zakres.

PUKAM DO DRZWI

gabinetu dyrektora technicznego ZOZ nr 3, Jerzego Bytniewskiego. Gdy wyjaśniam cel wizyty i — mówiąc językiem dyplomatów — zakres rozmów, dyrektor nie jest zdziwiony moją obecnością. Wygląda na zmęczonego tą sprawą, choć sam przyznał później, że pracuje na swym stanowisku dopiero od maja. Ale nie czyni na mnie wrażenia człowieka niekompetentnego, wręcz przeciwnie.

— Czytał pan artykuł pod tytułem „Wysoka cena wandalizmu?"

— Proszę pana, tak nie można! To nie był rzetelny artykuł, to nie jest prawda. A przecież taki artykuł idzie w świat. Źle mówię? Nawet pan przyjechał z odległej Łodzi.

— Zacznijmy więc od początku. Jaka jest prawda?

— Dodam jeszcze tylko, że wysłałem pismo wyjaśniające i stanowiące zarazem odpowiedź na tę publikację do redakcji i do władz miasta. Zresztą wiceprezydent Gdańska osobiście zajmuje się sprawą remontu pogotowia i też wie, jaka jest prawda, nawet bez naszego pisma, często wizytuje remont.

— Czy pracownicy ZOZ rozkradli całe wyposażenie pogotowia?

— Oczywiście że nie. Po pierwsze: ZOZ cierpi na brak pracowników, jest sporo wolnych etatów. Tym bardziej nie ma u nas ludzi, którzy mogliby zdemontować czy rozkraść wyposażenie tak wielkiego budynku. Owszem, w czasie akcji było na miejscu kilku pracowników ZOZ, ale wykonywali oni tylko prace odpowiedzialne, jak np. nadzór nad ekipami demontującymi wyposażenie, czy selekcja dokumentów. Po drugie: niczego nie rozkradziono, materiały i urządzenia zdatne do ponownego wykorzystania znajdują się w naszych magazynach. Są tam i brakujące w remontowanym budynku gniazdka elektryczne i umywalki, wszystko.

— Kto więc zdewastował pogotowie?

— Zdewastował?! Przecież tam ma być generalny remont. Budowlani muszą mieć gołe ściany. Przecież i tak będą kuć tynki, zakładać nową instalację, rury, wszystko. Kto zatem zdemontował wyposażenie? Niestety, więźniowie i ci, którzy są zwolnieni z czynnej służby i „odrabiają" wojsko. Mówię „niestety", bo wpływ na tych ludzi ze strony nadzorujących pracowników ZOZ był raczej niewielki. Zresztą to byli ludzie, którzy pracowali z przymusu, nie z dobrej woli. No i stało się. Nadzorujący pracownik ZOZ nie upilnował i zaczęto zrzucać ze schodów kaloryfery. To jego wina, że nie dopilnował. Został za to dyscyplinarnie ukarany. Ale nieprawdą jest, jakoby z powodu zniszczenia schodów remont miałby się przedłużyć, a jego koszty wzrosnąć o 2 mln zł. To wyssana z palca bzdura. Schody przeznaczone były do rozkucia i przebudowy.

— Czemu więc ukarał pan swego pracownika?

— A co by było, gdyby schody nie były przeznaczone do rozkucia? Ja o tym wiedziałem, ale nadzorujący pracownik nie musiał. Kara ma charakter prewencyjny: nic takiego nie może się zdarzyć na przyszłość, żadnego niszczenia bez potrzeby.

— A parkiety, a kafelki?

— Zapewniam, że zabezpieczyliśmy to, co można wykorzystać. Kafelki były zniszczone i popękane, parkiety — też. Zresztą podczas prac remontowych zakrojonych na tak szeroką skalę wszystko co stare, zepsute i popękane będzie wymienione na nowe i całe.

— Dlaczego pracownicy pogotowia wyprowadzili się w marcu, a PBK 1 przejął remont dopiero w czerwcu?

— Musieliśmy przecież przygotować obiekt do remontu. Ale największy problem był z aktami zalegającymi całymi stosami w piwnicach i z wyposażeniem szpitalnym. Tego nie mogli robić więźniowie. Zresztą do tej pory przegląda się przewiezione stamtąd akta. Nie można przecież zlikwidować jakiegoś ważnego dokumentu. I znów muszę wspomnieć o braku kadry w ZOZ.

— Więc nie twierdzi pan, że trzymiesięczny okres nieprzekazania obiektu ekipom PBK 1 jest winą tego przedsiębiorstwa?

— Ja tak mówiłem?

INNA ROZMOWA

jest z kierownikiem budowlanym PBK nr 1, Stanisławem Humelem.

— Nikt nie rozmawiał ze mną oficjalnie na temat remontu, wywiadu nie udzielałem. Że parkiety są pozrywane? Że zdewastowano kafelki? Gdyby ci, co piszą o sprawach budowlanych orientowali się w temacie, wiedzieliby, że parkiety w pogotowiu nie tylko nie nadają się teraz do wykorzystania, to w dodatku klejone były „Subitem", substancją bardzo szkodliwą dla zdrowia! Kafelki zaś układane były na betonie i praktycznie nie ma możliwości ich odzyskania. Że we wnętrzu jest obraz nędzy i rozpaczy? Proszę pana, przyjmowałem wiele różnych budynków do remontu, a stan pogotowia wcale nie jest najgorszy. Ponieważ jednak zakres prac remontowych jest szeroki (remont, modernizacja, nadbudowa, zmiana funkcji pomieszczeń, kwestia poprawy stropów), wszystkie wnętrza muszą być nie tylko odnowione, ale także czasem przebudowane. Do tego kucie tynków, zakładanie instalacji elektrycznych, rur c.o., instalacji wodno-kanalizacyjnych.... Prawdą jest, że termin chyba nie będzie dotrzymany, przypomnę, że zobowiązaliśmy się wyremontować pogotowie w terminie 18 miesięcy, licząc od czerwca br. Prawda jest taka, że oprócz PBK 1, generalnego wykonawcy, są także i podwykonawcy: Gdańskie Przedsiębiorstwo Instalacji Elektrycznych i Gdańskie Przedsiębiorstwo Instalacji Sanitarnych. Termin oddania budynku zależy od tego, czy przedsiębiorstwa te zmieszczą się w harmonogramie prac. Nieprawdą jest też, że PBK 1 z premedytacją zwlekało z przejęciem obiektu i będzie „złośliwie" przedłużać prace: gdybyśmy nie chcieli remontować pogotowia — nie podpisalibyśmy umowy, a przecież podpisaliśmy.

Po wyjściu od kierownika, definitywnie zamknąłem notes. To wszystko. Ale nie potrafię zdecydowanie odpowiedzieć: był skandal, czy go nie było?

JACEK GŁĘBSKI

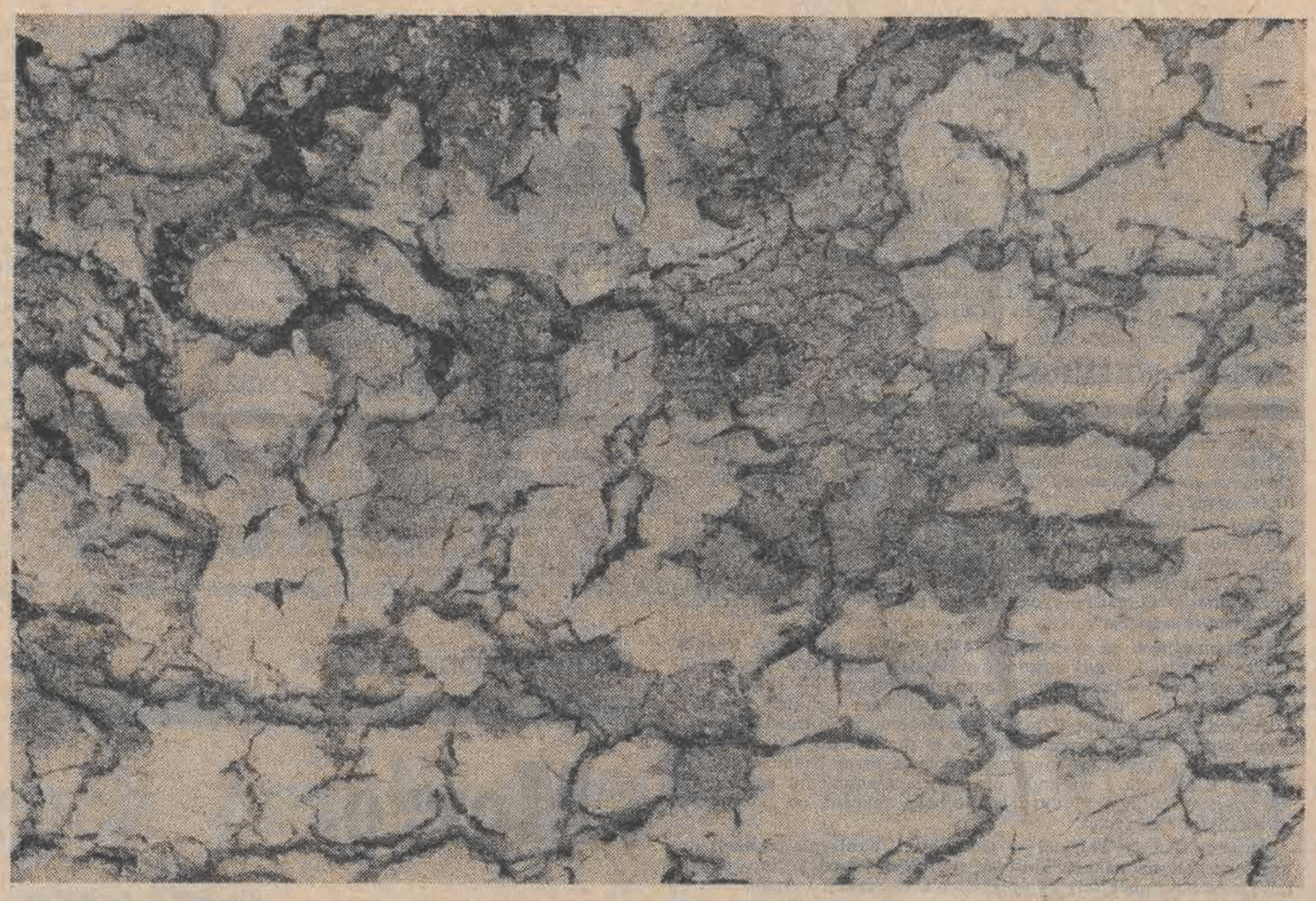

Fot. Grzegorz Gałasiński

Znamię węgla brutalnego

ze str. 1

Prawo jest z górnikami. Twarde, bezwzględne prawo znaczone zielonymi konstrukcjami odwadniających pomp. Prawo kroczy na stalowych gąsienicach spychaczy, wymachuje łychami koparek. Wczoraj prawo weszło do Pytowic. Drewniany dom Krzyżewskich jęknął cicho, ostatnie echo zadudniło w pustej studni i lemiesze zmiotły wypaloną słońcem łąkę. Krzyżewscy już nie czekają deszczu.

Czeka Antoni, czekają pod Kleszczowem, pod Kamieńskiem, Szpinalowem, Łękawą... Patrzą w niebo. Po niebie suną obłoki: białe, puszyste albo ciężkie granatowe. Albo żółte. Żółte obłoki wylatują z kominów elektrowni. Z żółtych obłoków pada żółty deszcz. Spływa po liściach buraków i parzy je okrutnie. Spływa po łodygach i truje ziemię. Zranione liście nie chcą się goić, zraniona ziemia nie chce rodzić. Bo z żółtych obłoków skapuje siarka, żrący kwas. Więc chłopi któryś już raz zbierają się i radzą: trzeba ratować chleb, jest sposób, ale sami nie podołają, niech pomoże ten co truje, niech nawiezie wapna na zakwaszoną glebę, niech naprawi szkody. Lecz chłop zostaje sam. Na swojej suchej, zakwaszonej ziemi. Bo jeszcze nie urodził się taki, który wygrał z dymiącym sąsiadem. Pięć gmin próbowało upomnieć się o swoje: Kluki, Wola Krzysztoporska, Kamieńsk, Bełchatów, Kleszczów. I nic. Potem radzili następni, co chcieli ratować chleb: ci z Gomunic, Dobroszyc, Lgoty Wielkiej, Rozprzy. I nic. Poszli pod kominy, żeby pokornie prosić. Tam nazywają ich „klientami". Klient to jest taki ktoś, za kim nie stoi nikt ważny. A za chłopem stoi tylko krzywda.. Więc klienci są sami.

Samemu można tłuc wiatraki albo klepać biedę. Nawet jak do kupy zbierze się stu takich, to jeszcze mało. Stu to jest zaścianek. A na prąd z Bełchatowa czekają miliony. Miliony liczą tak: tyle i tyle węgla, tyle prądu, tyle pieniędzy. Z tego wychodzą miliardy. Ludzie lubią, gdy w rachunkach jest dużo zer. A chłop rachuje inaczej. Chłopu świat kurczy się do rozmiarów własnego pola. Marne to jego rachowanie, jak wióry z rąbanego drwa.

Ratunek jest w kopalni. Ironiczny los sprawił, że ten, który niszczy, może zabliźnić rany. Gdyby chciał. Z głębin ziemi górnik wypruwa bryły nagiej kredy. Rolnik chętnie wziąłby tę kredę i rozsypał po polach. Bo w bryłach jest dużo wapna, które odkwasza glebę. Górnik ma kredę i wyrzuca ją w błoto. Ciska za siebie i przywala górą piachu. A kredy jest tyle, że wystarczy na pół Polski. Gdyby chcieć. Ale kopalnia nie chce kredy, tylko węgla. Węgiel to plan, plan to premie, premie to chleb górników. Dlatego chłop nie ocali chleba.

Zaścianek musi przegrać. Żeby nie wiem co. Wszystko przegrywa z elektrycznym prądem. Taka jest wola kraju, taki jest wyrok. Wola kraju wyważa drzwi chałup i z workami pakuje się na dębowe stoły. Potrząsa kiesą i kluczami do bloków. A chłop nie chce bloków. W betonowych klatkach nie pożyje, bo powietrze suche, serce boli i nogi puchną. Więc zwleka do ostatka, aż pod jego redutę zajadą wielkie spychacze. Do samego końca.

Za wsią był staw. Zeszłej wiosny w stawie migotała woda, uwijały się dorodne karpie. Zeszłej jesieni na dnie pustej czaszy zabulgotał szary muł. Każdy już wiedział, że to sprawka kopalnianych pomp. Każdy wiedział i milczał. Jeden tylko Tokarczyk za szpadel chwycił i pognał kopać rów głęboki, żeby znowu napełnić staw wodą, którą skradły pompy i wepchnęły w betonowy kanał. Ale jeden Tokarczyk nie poradzi trzem setkom pomp. Choćby tak jak one pracował nocą i dniem.

Więc za wsią był staw. Po dnie stawu chodzi chłop i sieje zboże. Dno jeszcze pachnie wilgocią, jeszcze może rodzić. Bo to jest ziemia upartych ludzi. Nad ludźmi upartymi walą się stropy domów, pękają targane wstrząsami mury stodół, skrzypią połamane płoty i zardzewiałe bramy. Nikt upartym nie da cementu na łatanie dziur, bo już nie warto łatać. Nikt nie da im nadziei, bo nadziei żadnej nie ma. A uparci sieją zboże. Na pustynnej glebie, na dnie stawu, na skazanej ziemi. Całe życie wychodzili w pola i siali. Siali, żeby zebrać. A dziś nie wiedzą czy zbiorą jutro. Czy zdążą przed spychaczami.

Ryby karmiły tu wiele rodzin. W Łękawie było sześćdziesiąt hektarów stawów, w Pytowicach dwieście pięćdziesiąt. Zabrała je kopalnia. Najpierw wyssała wodę, później przywaliła zwałowiskiem. Jeśli gdzieś jeszcze błyszczy tafla wody, to nie jest staw, tylko szczelny foliowy worek. W Kletni nie było folii, więc ku chmurom spozierają ślepe, rozdzielone groblą doły.

Nad foliowymi workami siedzą wędkarze i łowią. Żeby złowić coś w akwarium, trzeba coś do niego wpuścić. Dlatego sztucznie odchowane ryby przybywają tu gromadnie w plastykowych beczkach, by napełnić życiem sztuczne stawy. A potem pozwalają się złowić na japońskie wędki młodych rybaków, bo starzy jakoś nie kochają takich zabaw.

Stare odchodziło stąd niespiesznie. Rzeki, choć najstarsze, odeszły pierwsze. Przez wieki całe żłobiły kręte swe koryta wśród pól, łąk i lasów. Mądrzy ludzie bratali się z wodą, by systemem zmyślnych śluz i kanałów sprowadzić ją do zagród. W siedemdziesiątym szóstym zniknęła Świętojanka. Rzeka umierała w oczach. Szum głębinowych pomp z wolna brał górę nad pomrukami cichnącego nurtu. Aż nad kamienistym dnem bez sensu zawisły drewniane mosty.

Później zginęła wartka, mocno zwichrowana rzeczka słusznie nazywana Kręcicą, jeszcze później skonała Kamionka, Struga Janowska i Struga Aleksandrowska. I dziesiątki małych, bezimiennych strumyków, które przepadły na zawsze z ziemi i z pamięci ludzkiej, gdyż nie ma ich na nowych mapach, a dawne koryta porosły zielskiem.

W osiemdziesiątym drugim roku żarłoczne kopalniane pompy dopadły Jeziórki, a niedługo potem cynkowe wiadra głucho opadły na dna wysechniętych gospodarskich studni. I próżno stare studnie pogłębiać albo drążyć nowe, bo dwieście metrów w głąb ziemi odrobiny wody nie znajdziesz. A geolog w gminie powiada, że to wina depresyjnego leja.

Te dwa mądre słowa zrobiły karierę. Lej depresyjny. Każdy wie w czym rzecz i nikomu tłumaczyć nie trzeba. Ale co rolnikowi po takiej wiedzy, skoro mądrością bydła nie napoi, potu z ciała nie spłucze, koszuli nie przepierze. Bez prądu jakoś sobie poradzi, a bez wody nie. Więc ładuje chłop na wóz puste beczki i rusza szukać źródła. Jedzie wzdłuż betonowych kanałów. Kanałami płynie chłodna, czysta woda. Lecz nią beczek nie napełni, bo jest słona, do picia niezdatna. To jest zmarnowana woda.

Beczki i zbiorniki rozmaite na dobre wpisały się w tutejszy krajobraz. Beczki na kołach i beczki na podwórzach. Małe wiadra, z których nie wolno uronić ni drobiny. I nieme studnie, jak pomniki dawnych dostatnich czasów. A pomników takich coraz więcej. Gdy zerknąć na geologiczną mapę, to widać od razu, że trzecia część województwa piotrkowskiego straszy pustymi studniami. Siedemnaście gmin, tysiące zagród. Wszędzie beczki, beczki, beczki...

Studnie już nie ożyją. Nigdy. Dlatego kopalnia ma przykazane, żeby we wsiach budować wodociągi. Nie z łaski wielkopańskiej, lecz z prawnego obowiązku. W Wiewiórowie rok prawie czekali na wodę z kranu, w Krzywanicach dwa lata, w Łękawie prawie trzy. Zamiast wody płynęły obietnice. Z obietnic taki sam pożytek jak z pustej studni. Więc rada w radę zakasali chłopi rękawy i pokazali uczciwą robotę. I tak w obejściach wyrosły hydranty. W mieście mówią, że wodociąg to wygoda. Odkręcasz kran i cieknie. A chłop doświadczył inaczej. Raz woda jest, raz jej nie ma. Jakby dobrze policzyć, to częściej nie ma. Jak nie ma, to znaczy awaria. Jak awaria, to trzeba słać po fachowców. A o fachowców trudniej niż o wodę. Jak zjadą po tygodniu, to dobrze. Jak nie zjadą, to klęska. I tak w kółko, przez okrągły rok.

Ze szczytu sztucznej góry ziemia wygląda tak: tu biegną odwadniające kanały, tam nitki wodociągów. Tu woda ucieka, a tam wraca. Gigantyczna praca. Inżynier z kopalni wylicza, że sieć wodociągów będzie dłuższa niż w Łodzi.

Dawniej wodę zsyłał dobry Bóg i nie brał za nią złamanego grosza. A kopalnia wyciąga rękę. Wpierw wodę odbiera podstępnie, później szkodę naprawia leniwie i jeszcze każe płacić. A płacić każe słono: po osiemnaście złotych za sześcienny metr. Nie dziw przeto, że po wsiach zeźlili się mocno. Co innego, gdyby rolnik sam dopraszał się kranów. Ale nie. Więc za co płacić: od każdej głowy ludzkiej, każdej bydlęcej, od siwka i od traktora. Bo liczników żadnych przy kranach nie ma i urzędnik miarkuje na oko. Oko miarkuje, a ręka wyciąga tysiączki z chłopskiej kieszeni. Tego ludzie nie lubią. Nie chcą płacić za własną krzywdę. A to jest ziemia upartych ludzi.

Starzy trwają w uporze, młodzi machają ręką. Tutaj chleb niepewny, zaprawiony krzywdą. Jeden dzień od drugiego smutniejszy. Machają ręką i odchodzą do kopalni. Tam chleb lżejszy, głowa od trosk nie boli. Tak odeszli wszyscy młodzi, co jeździli na traktorach. Zabrała ich wielka kopalnia, która potrafi odbierać nadzieję.

Antoni powiada, że gdyby z tej biednej ziemi pozbierać całą ludzką krzywdę, to zaświeciłaby jaśniej niż lampy od elektrycznego prądu.

ROMAN KUBIAK

Na upał i na cały rok

TERESA JERZYKOWSKA

Powody zainteresowania się tym właśnie tematem były dwa: po pierwsze — panujące upały, co skłaniało do sukania nie tylko cienia, lecz także „zimnych" tematów do rozmowy, jak np. właśnie chłodnictwo, a po drugie..

Po drugie — w sklepach pojawiły się truskawki. Mrożone. W każdym sklepie handlującym mrożonkami i w ciągłej sprzedaży. Były także zimą i wiosną, ale nie zawsze i nie wszędzie. W lipcu natomiast amatorzy tych owoców — a któż ich nie lubi — mieli do wyboru truskawki mrożone po 240 zł za kilogram lub świeże w cenie od 60 do 100 zł, w zależności od ich urody i chęci sprzedawcy. Był to dość zabawny niemiar dóbr (a rzecz dotyczy nie tylko truskawek, lecz także porzeczek, fasolki szparagowej, innych owoców i warzyw), choć zdawać by się mogło, że z chwilą pojawienia się owoców z nowych zbiorów w chłodniach nie powinno już być po ich śladu, jedynie puste komory, czekające na nowe plony. Dlaczego tak się nie dzieje? Znalezienie odpowiedzi na to pytanie było właśnie drugim powodem zainteresowania chłodniami i mrożeniem żywności.

NAJLEPSZE NA ŚWIECIE

Trwa pełny ruch we wszystkich chłodniach. Najtrudniejszy, truskawkowy szczyt już co prawda przeszedł, lecz gorąca do zamrażania jest fasolka zielony groszek, a wkrótce będzie można już przygotowywać zimowe zapasy z pozostałych warzyw i owoców. Wszystko to jednak jest łatwiejsze od truskawek z wielu względów; inne owoce (za wyjątkiem malin) nie są aż tak wrażliwe na transport i przetrzymywanie, a ponadto ich zbiór trwa dłużej, pozwala więc uniknąć tak typowego dla truskawek spiętrzenia prac w chłodniach.

W bieżącym sezonie spiętrzenie to zresztą dało się szczególnie we znaki wszystkim chłodniom — sezon był bowiem bardzo udany, skupiono znacznie większe ilości owoców niż planowano, ale panujące upały i susze powodowały, że na wszystkich plantacjach truskawki dojrzewały niemal jednocześnie. Na szczęście tę „klęskę urodzaju" udało się jakoś przetrzymać.

Aby w jak największym stopniu wykorzystać plony pozostałych warzyw i owoców (co oczywiście jest zadaniem nie tylko chłodni, lecz w równym stopniu także zakładów przetwórczych, stosujących inne metody przygotowywania zimowych zapasów) w wielu chłodniach zatrudnia się dodatkowych pracowników sezonowych, dokonuje rozmaitych ulepszeń organizacyjnych, pracuje nad zmianami technologicznymi. Nie można jednak w najbliższym czasie liczyć na tę zmianę, która w sposób radykalny przyczyniłaby się do poprawy — łagodnie mówiąc nie najlepszej — sytuacji na budowę nowych chłodni lub znaczne powiększenie miejsca w istniejących.

Otóż bowiem wszystkie niemal pękają w szwach od rozmaitych — nie tylko owocowo-warzywnych — zapasów i jestto zapewne jeden z powodów że radosny fakt dobrych, większych niż przewidywano zbiorów, musimy nazywać „klęską urodzaju". Szukanie miejsca w przepełnionych komorach chłodniczych polega m.in. na opróżnianiu ich z zapasów z ubiegłego sezonu, nie tłumaczy jednak w pełni dziwnego zjawiska pojawiania się na rynku obfitości mrożonych truskawek łącznie ze świeżymi owocami.

Jednym z powodów jest tu... eksport. Truskawki czekają w chłodniach do ostatniej niemal chwili na zagranicznego nabywcę.

Trzeba bowiem wiedzieć, że te właśnie owoce są polską „sztandarową" mrożonką poszukiwaną przez odbiorców z krajów zachodnich, kupowaną chętnie i w dużych ilościach. Panuje bowiem — uzasadniona — opinia, że polskie truskawki, choć na wygląd mniej efektowne od uprawianych w innych krajach, są ze względu na walory smakowe najlepsze na świecie. Wpływa na to po prostu klimat — Polska jest najdalej na północ wysuniętym krajem, w którym uprawia się te owoce na skalę przemysłową, stąd ich powodzenie w całym niemal świecie.

Poza truskawkami na cudzoziemskich stołach pojawiają się przygotowane w polskich chłodniach także inne owoce, warzywa i ich mieszanki (choć tych nie sprzedaje się łatwo), do krajów socjalistycznych trafiają niewielkie ilości frytek, pyz i innych wyrobów kulinarnych, a jedna chłodnia w Toruniu eksportuje wyroby mięsne przygotowane z powierzonego surowca.

Eksport stanowi jednak niewielki procent — zdecydowana większość tego co przygotowuje się w chłodniach przeznaczona jest na rynek krajowy; przy czym są to produkty, bez których obecnie trudno wyobrazić sobie prowadzenie gospodarstwa domowego, zwłaszcza w mieście. A przecież...

ZACZĘŁO SIĘ TAK NIEDAWNO

Pierwszym produktem zamrażanym dla potrzeb gospodarstw domowych było mięso. Z dobrym skutkiem tę metodę utrwalania i przechowywania stosowano na skalę przemysłową jeszcze przed wojną.

Z pozostałymi produktami było gorzej. W skali laboratoryjnej próby zamrażania warzyw podejmowane były już w początkach wieku, jednak ich efekty nie były zadowalające. Po rozmrożeniu warzywa znacznie różniły się wyglądem i smakiem od świeżych, zmieniała się niekorzystnie także ich wartość odżywcza. Głównym problemem, jaki musieli rozwiązać naukowcy było opracowanie metod obróbki wstępnej, które zabezpieczałyby produkty przed niekorzystnymi zmianami, zachodzącymi w trakcie zamrażania.

Dopiero w latach sześćdziesiątych dopracowano się metod pozwalających na przygotowywanie w skali przemysłowej mrożonek owocowych. Pojawiły się na rynku śliwki wyglądem i smakiem niemal wcale nie różniące się od świeżych, następnie truskawki, porzeczki i inne owoce, które poprzednio mogliśmy jadać zimą jedynie w formie mocno przetworzonej — dżemów i kompotów.

Gdy mrożenie owoców stało się już sprawą prostą — przyszła kolej na warzywa. Zapotrzebowanie na ten produkt w formie mrożonej było mniejsze. Istniejące, znane od dawna i praktykowane do dziś sposoby utrwalania warzyw — jak kiszenie, solenie, suszenie itp. pozwalały przechowywać je przez cały okres między kolejnymi sezonami zbiorów, stąd i mniejsze było zainteresowanie poszukiwaniem nowych metod.

Jednak w połowie lat sześćdziesiątych także i mrożone warzywa w postaci jednostkowej lub wieloskładnikowych mieszanek pojawiły się na rynku.

Następnym produktem, wzbogacającym nasz zimowy jadłospis, tym razem w dziedzinie deserów, były lody. Poprzednio konieczność dość szybkiego ich zjadania po przygotowaniu powodowała, że lody były produktem sezonowym, letnim, a zimą można było dostać je wyłącznie w niektórych, wysokiej kategorii kawiarniach. Rozwojowi przemysłu chłodniczego, zaczynającemu od lodów „Śnieżka" dostępnych w sklepach spożywczych i do dziś mających swoich amatorów, zawdzięczamy lody przez cały rok.

Mrożonki dość szybko znalazły zwolenników w zakładach gastronomicznych i wśród kobiet, którym znacznie ułatwiały prace kuchenne, pozwalając jednocześnie na urozmaicenie jadłospisów zimą i wiosną.

Prawdziwy rozkwit chłodnictwa nastąpił jednak dopiero w latach siedemdziesiątych. Przybyło sporo nowych chłodni wyposażonych w najnowocześniejsze na owe czasy linie technologiczne. Poprawiła się jakość dotychczasowych mrożonek, a także — ponieważ okazało się, że nastąpił taki rozwój myśli naukowej i technologii, dzięki którym można zamrażać z dobrym skutkiem już wszystko — pojawiły się dziesiątki nowych wyrobów.

Pyzy, pierożki, kluski, wyroby garmażeryjne mięsne i warzywno-mięsne, kilkudaniowe zestawy obiadowe, ciasta, półprodukty i potrawy gotowe, wymagające jedynie odgrzania w opakowaniach dużych, dla zakładów gastronomicznych i mniejszych, przeznaczonych dla gospodarstw domowych — nowe produkty pojawiły się w takim tempie, że trudno było poznać wszystkie i wybrać swoje ulubione. Powstawały specjalistyczne sklepy z mrożonkami, lady chłodnicze i zamrażarki stanęły we wszystkich większych sklepach ogólnospożywczych.

W nadmiarze towarów przeciętnych klient pogubił się — zaopatrzenie wciąż rosło, przybywało wyrobów a popyt zaczął nieco spadać, w niektórych chłodniach gromadziły się nadmierne zapasy, w rezultacie trzeba było ograniczyć zarówno wielkość produkcji, jak i wycofać sporo produktów, głównie z grupy wyrobów kulinarnych, bowiem nie znajdowały one nabywców.

Obecnie dość urozmaicony, lecz nie tak ogromny asortyment wyrobów utrzymuje się na mniej więcej stałym poziomie — a chłodnie przeżywają te same kłopoty co zakłady innych branż: dekapitalizacja urządzeń, brak części i środków na nie, kłopoty kadrowe, a przede wszystkim — brak środków na konieczne inwestycje, na powiększenie bazy.

O tym, jaki nowy mrożony wyrób znajdzie się na naszych stołach, jaka będzie jakość mrożonek decyduje w dużej mierze łódzkie Centralne Laboratorium Chłodnictwa — jedyna tego rodzaju placówka naukowo-badawcza w kraju.

Tutaj powstają receptury nowych wyrobów, prowadzi się prace zmierzające do poprawy jakości już produkowanych, szuka rozmaitych rozwiązań, poprawiających efekty pracy chłodni w całym kraju, przygotowuje czasopisma specjalistyczne, zawierające informacje o postępie technicznym i nowościach w chłodnictwie naszym — i nie tylko. Tutaj także działa ośrodek informacji i normalizacji, z którego korzystają wszystkie chłodnie w kraju, a także najlepiej zaopatrzona biblioteka branżowa.

ARONIA I KREMOGEN Z PORZECZEK

— *Nasz podstawowy dylemat brzmi: doskonalić to, co już jest, czy przygotowywać nowości* — mówi zastępca dyrektora Centralnego Laboratorium Chłodnictwa dr inż. Zbigniew Kosmala. — *W ostatnich latach koncentrujemy prace głównie nad poprawą jakości wyrobów, wychodząc z założenia, że asortyment wyrobów mrożonych jest dostatecznie urozmaicony, natomiast ich jakość — nie zawsze najlepsza. Np. pierożki z różnymi farszami. Są smaczne, ale często pękają w czasie gotowania. Wynika to z zastosowanych surowców — mąki i grysu ziemniaczanego. Próbujemy więc dobrać takie ich rodzaje, aby wyeliminować tę wadę potrawy. Pracy mamy od początku istnienia sporo. Obecnie pracujemy nie-mal bez przerwy nad zmianami surowców i technologii wielu wyrobów znanych już na rynku, ponieważ chłodnie coraz częściej przechodzą na ciągłe metody produkcji.*

Ocena odmian, ich przydatności dla chłodnictwa, wprowadzanie nowych — to zawsze było jedno z głównych zadań, którym zajmowali się specjaliści od chłodnictwa. Podobne prace prowadzone są także m.in. przez „Hortex", „Igloopol". Bowiem linie technologiczne są dobre, metody obróbki wstępnej prowadzone właściwie, a gotowy wyrób — jego smak, wygląd, wartość odżywcza — zależą w dużej mierze od użytych do mrożenia odmian owoców i warzyw. Niewielki popyt odbiorców zagranicznych na nasze mrożonki warzywne wynika m.in. właśnie z faktu, że uprawiane u nas odmiany nie są najlepsze.

Chłodnie dysponują własną bazą surowcową, mają również możliwość, poprzez kontraktację wymusić na plantatorach uprawianie odpowiednich odmian warzyw. Należy w tej dziedzinie spodziewać się poprawy..

Rośliną propagowaną obecnie zarówno przez Laboratorium, jak i zakłady chłodnicze jest aronia czarnoowocowa. Ten krzew, o owocach podobnych do jarzębiny lecz w czarnym kolorze, ma przed sobą ogromną przyszłość w przetwórstwie spożywczym, bowiem, obok właściwości leczniczych, odżywczych i smakowych może być wykorzystany do barwienia produktów. Sprawa jest tym ważniejsza, że już wkrótce zacznie obowiązywać w Polsce zakaz stosowania do artykułów spożywczych jakichkolwiek sztucznych barwników.

Choć przygotowanie nowych wyrobów nie jest w tej chwili najważniejszym zadaniem CLCh, powstają jednak także nowe receptury. Ostatnio zaoferowano chłodniom np. kopytka domowe, a także (ta receptura już została sprzedana chłodni w Białymstoku — kremogen truskawkowy, dotychczas produkowany jedynie we własnym Zakładzie Mrożonej Żywności, a więc w ilościach niezbyt dużych.

Dobiegają końca prace nad recepturami kremogenów (jest to rodzaj mrożonego kremu z owoców i cukru) z porzeczek i jabłek.

Czeka na producenta także pizza — danie coraz bardziej popularne. Próbna partia już ukazała się na rynku, rozpoczęciu produkcji na większą skalę przeszkadza jednak brak odpowiednich opakowań.

Interesująco zapowiadają się próby — podejmowane wspólnie z Instytutem Matki i Dziecka oraz Instytutem Żywienia i Żywności — opracowania receptur żywności specjalnej i dietetycznej. Wśród niej m.in. zestawy obiadowe o określonym składzie i dużej kaloryczności, którymi bardzo interesuje się górnictwo.

Choć od czasu ukazania się na rynku pierwszych mrożonych śliwek upłynęło sporo lat nie wymyślono w tym czasie żadnej konkurencyjnej metody utrwalania i przechowywania żywności. Jak twierdzi dr Kosmala metody takiej, która mogłaby zagrozić chłodnictwu po prostu nie ma i nie będzie. Z jednej strony bowiem zamrażanie jest sposobem najtańszym, z drugiej — w stopniu znacznie większym niż pozostałe pozwala zachować wszystkie cechy produktu świeżego. Abyśmy jednak z mrożonek mogli korzystać bez żadnych ograniczeń i zawsze z zadowoleniem — musi zostać spełnionych jeszcze szereg warunków nie tylko w chłodniach, lecz przede wszystkim w transporcie i handlu. Zbyt często bowiem zdarza się, że zanim paczka ze szpinakiem czy pyzami dotrze do konsumenta jest wygnieciona, kilkakrotnie rozmrożona, co nie tylko powoduje nieapetyczny wygląd zawartości, ale może być szkodliwe dla zdrowia.

Do tego, aby wszystkie warunki zostały spełnione — brak jeszcze wiele, poczynając od odpowiedniej ilości i jakości urządzeń chłodniczych, poprzez opakowania, środki transportu aż po kulturę sprzedaży mrożonek. Być może jednak w ciągu najbliższych lat nastąpi w tym względzie widoczna poprawa. Od początku pięciolatki opracowywany jest kompleksowo w wielu instytutach naukowych, placówkach badawczych, zakładach różnych branż temat zamrażania i produkowania żywności, a jednym z koordynatorów prac jest właśnie łódzkie Laboratorium Chłodnictwa.

NA ZAKOŃCZENIE KILKA RAD

dla tych, którzy próbują urządzić minichłodnię w domu przy pomocy lodówki.

— *Nie do tego służy zamrażalnik lodówki domowej* — przestrzega dr Kosmala. — *Zamrażanie, zwłaszcza większych porcji, trwa w takich warunkach dość długo i w żywności mogą zajść niekorzystne procesy, odbijające się negatywnie na jej smaku i wyglądzie, a nawet szkodliwe dla zdrowia. Można natomiast zamrażać — i przechowywać nawet do roku — mięso, owoce i warzywa* (te ostatnie koniecznie przed zamrożeniem zblanszować, tj. wrzucić na krótki czas do wrzącej wody) *w domowych zamrażarkach. Przeznaczoną do tego celu żywność dobrze jest podzielić na niewielkie porcje, aby proces zamrażania przebiegał szybciej. Zawsze niebezpieczne może być natomiast zamrażanie domowym sposobem wyrobów kulinarnych. No i należy pamiętać o tym, że produktu rozmrożonego nie wolno zamrażać ponownie, bowiem w czasie rozmrażania bardzo szybko rozwijają się szkodliwe drobnoustroje.*

Foto: Grzegorz Galasiński

Janusz Leppek

Nie zima się śniła

„Miałem sen w Dreźnie 1832 r. marca 23, który ciemny i dla mnie niezrozumiany. Wstawszy zapisałem go wierszem. Teraz, 1840, przepisuję dla pamiątki".

Mickiewicz

Śni się puste pole
zimy nie ma
ani innej pory

Bez flagi bez broni
idę z gołą głową
płomień ściskam w dłoni

Wiele oczu patrzy
przesuwają się wolno
zamiast chmur spojrzenia

z każdym moim krokiem
Myśli myślą czy idę
oddać światło Bogu

Ja idę nie wątpię
kto i po co mnie wzywa
przed ciemne oblicze

(tu tekst się urywa
i następuje puenta
być może zupełnie
innego wiersza:)

Choć wszystko zagłusza
tej ciszy krzyk
„słyszałbym głos z Litwy".

— Idę, woła

nikt!

Krzysztof Jabłoński — laureat III nagrody ubiegłorocznego Konkursu Chopinowskiego w Warszawie
Foto: Marek Grotowski

Chopinowskie Duszniki

Przyczyna powrotu

— Napij się z tej rzeki! — powiedział

Usta przyłożyłem do nurtu
i napiłem się z innej rzeki
i z wielu rzek równocześnie.

— Czy nadal jesteś spragniony? — zapytał
gdy swoje i cudze oczy zwróciłem
ku wielu niejasnym księżycom.

I wróciliśmy do Efezu.

Nie jestem człowiekiem

nie jestem człowiekiem
gdyż nie zgadzam się
na tę swoją wielkość
i na tym właśnie
ona polega
więc
i
człowieczeństwo

Pomnik władcy

władca za uzdę
ściągnął rumaka
i tak skamieniał
w pomnik dla pokoleń
by nie zapomniały
że władca był
mądry
jeździł na koniu
krwi wybranej
i potrafił
skamienieć
na wieki wieków
kamień

Wiersze z tomiku „możecie", który wydał autor we własnym opracowaniu na prawach rękopisu w roku 1985.

Dziś najpoważniejszym i najbardziej znaczącym dla naszej kultury miejscem kultu Chopina obok Warszawy i Żelazowej Woli są Duszniki Zdrój. Od sierpniowych dni 1826 roku, kiedy to 17-letni kompozytor przebywał w uzdrowisku Bad Reinertz (niemiecka nazwa Dusznik) minęło już 150 lat. Ale w Dusznikach o Chopinie nigdy nie zapominano. W 1897 r. burmistrz miasteczka P. Dengler, zakochany w muzyce Chopina, dokonuje uroczystego odsłonięcia jego pomnika ufundowanego przez warszawskiego przemysłowca W. Magnusa. W 1926 r. setną rocznicę pobytu kompozytora uczczono w uzdrowisku m.in. koncertem, na którym B. Poźniak, polski pianista zamieszkały we Wrocławiu, wykonał kilka utworów Chopina.

Od 1946 roku miasto jest miejscem corocznych festiwali chopinowskich. Do Dusznik przyjeżdżają pianiści z całego świata. Wielu z nich jedynie w tym celu, aby posłuchać muzyki naszego wielkiego kompozytora w interpretacji innych pianistów.

Kierownik artystyczny poprzedniego Festiwalu Tadeusz Strugała, aby umożliwić udział w imprezie także wybitnym pianistom, ale nie zawsze najlepiej grającym Chopina — postanowił wprowadzić do programu festiwalu również muzykę innych kompozytorów. A to znakomicie uatrakcyjnia imprezę. Właśnie w tym roku z okazji 100 rocznicy śmierci Fr. Liszta, w Dusznikach wysłuchać można było wielu utworów tego kompozytora.

Muzykę Fr. Liszta prezentowali prawie wszyscy uczestnicy festiwalu. Bardzo ciekawy recital lisztowski przedstawił Waldemar Malicki. Niełatwe przecież w odbiorze, późne kompozycje Liszta. (Harmonies poétiques et religieuses nr 7. Saneta Dorothea, Walc „Mefisto" nr 8) dzięki temu wykonaniu i poprzedzającemu je słowu wstępnemu Jana Webera stały się słuchaczom bardziej bliskie.

Także i inni pianiści prezentowali na festiwalu dobry poziom wykonawczy. Krzysztof Jabłoński, laureat ostatniego konkursu chopinowskiego w Warszawie grał wyśmienicie. Jego interpretacja koncertu fortepianowego e-moll Chopina do złudzenia przypominała technikę wydobywania dźwięków jaką ongiś słyszeliśmy na konkursie chopinowskim u Marthy Argerich. Zaś Marek Drewnowski udowodnił, że jest pianistą nie tylko znakomitym, lecz i wszechstronnym. Jean Marc Luisada i Francois Kilian także nie zawiedli swoich wielbicieli, a po ich występach w Dusznikach można mieć pewność, że zyskali wiele nowych sympatyków swego talentu.

Niestety — naszym zdaniem — zupełnie zawiódł Edward Zilberkant (choć intensywność braw publiczności mogłaby świadczyć o czymś innym). Ewidentne „wpadki", nadużywanie forte i wiele innych niedostatków czyniło jego grę niedojrzałą i chaotyczną. Przed tym młodym pianistą jest więc jeszcze wiele, wiele mozolnej i solidnej pracy nad pogłębieniem wyobraźni estetycznej i udoskonaleniem techniki wykonawczej.

W tym roku na festiwalu z recitalem pieśni wystąpił Andrzej Hiolski. Artysta ten nie zawiódł nikogo. Jego baryton nadal brzmi pełnią blasku. Ogromna kultura muzyczna, wrodzona intuicja i doświadczenie pozwoliły mu podać wykonywane pieśni, niczym unikalne perły. Oprawy muzycznej przydał na fortepianie Maciej Paderewski.

Od ubiegłego roku festiwal wzbogacił się o nowe formy muzyczne. W tym roku wysłuchaliśmy dwóch koncertów oratoryjnych. Hymny Żałobne G. F. Haendla i motet J. S. Bacha „Jesu meine Freude" wykonała Capella Bydgostiensis pod kier. Włodzimierza Szymańskiego. Ten sam zespół i Mirosław Kulczyński (obój) wykonali jeszcze koncert d-moll na obój, smyczki i klawesyn Antonia Vivaldiego. Mszę Chóralną Fr. Liszta przywiozły do Dusznik chóry wrocławskie. Dobra akustyka i barokowy wystrój wnętrz kościoła św. Piotra i Pawła wzbogacały bogactwo przeżyć estetycznych.

Tradycją imprezy są również koncerty pod nazwą „Dusznickie debiuty". Przedstawiają więc tutaj publiczności swoje umiejętności pianistyczne młodzi artyści. Tego roku utwory Chopina wykonywało czworo młodych pianistów.

Od przeszło dwudziestu lat kulminacyjnym punktem festiwalu jest „Nokturn" — nocny koncert słowno-muzyczny z udziałem wszystkich pianistów uczestniczących w imprezie. Poezję J. Hordyńskiego i C. K. Norwida recytowali: Zofia Rysiówna i Mieczysław Voit. Obecność (po raz pierwszy) telewizji na sali wypłoszyła, niestety, nieco intymność i kameralny nastrój tego koncertu.

Podobnie jak w poprzednich latach pianistom towarzyszyły orkiestry filharmoniczne z Wrocławia i Wałbrzycha.

Od 10 lat festiwal poprzedzają mistrzowskie kursy pianistyczne organizowane przez wrocławski Oddział Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków. Tegoroczny kurs odbył się w dniach od 16 do 29 lipca i zgromadził ponad 40 uczestników. Zajęcia na kursie prowadzili wybitni pianiści i pedagodzy z kraju i zagranicy. Swoje doświadczenie i wiedzę muzyczną przekazywali m.in. Wiktor Mierżanow, Eugeniusz Mogilewski i Tatiana Szebanowa.

Muzyce Chopina w Dusznikach towarzyszą jak zwykle wystawy: malarstwa, grafiki, rzeźby, fotografii i kwiatów.

Do pejzażu muzycznego festiwalu weszła na trwałe pracowita obecność Marka Grotowskiego, artysty-fotografika z Wrocławia. Już przeszło 10 lat swoją sztuką umiejętnego chwytania ciekawych sytuacji, wiele mówiących epizodów trwale dokumentuje to wszystko, co ludzka pamięć nie zawsze jest w stanie zatrzymać, a oko wytrawnego słuchacza nie zawsze dostrzec.

Imprezie muzycznej w Dusznikach od początku jej istnienia patronuje niepodzielnie Chopin. Natomiast Towarzystwo noszące imię patrona niezbyt interesowało się tegorocznym festiwalem. Nie zadbano, aby zapewnić w festiwalu szerszy udział finalistów ubiegłorocznego konkursu chopinowskiego w Warszawie. Obecny kierownik artystyczny festiwalu Marek Pijarowski swoją nową funkcję objął dopiero w tym roku. Niewiele więc miał czasu na działalność na tym polu. A jednak zrobił bardzo wiele. W Dusznikach nie było co prawda wielkich nazwisk, ale było dużo dobrej muzyki i dobrych wykonawców.

MARIAN STRZELECKI
JACEK WOLAŃSKI

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko-obyczajowa

ŚPIEWKA KUCHARSKA

Aria pod tymż tytułem pochodzi z komedio-opery L. A. Dmszewskiego „Sekretarz i kucharz", opartej a francuskim pierwowzorze Scribe'a. Opublibwana została w „Kolendzie na rok 1824, czy Nowych śpiewkach z dodatkiem szarad".

1.
Dla bogobojnej ewotki
Najlepiej dawaćiakotki,
Eleganci, fanfarnki
Najbardziej lubi bombonki,
Możnym panom etykiety
Dają z truflami asztety,
Krytykowi z głową twardą
Służy pieprz, chrzan wraz z musztardą.

2.
Głupcom dam baszcz o dwóch rurach,
Skąpcom kartofliw mundurach,
Pochlebcom piskrz wędzony,
Tchórzom włoski makarony.
Młodym żonkom a przysmaki
Daję szpikowane rpaki,
Starym mężom w ukrze głogi
Lub przypiekane jerogi.

3.
Obłudnikom na łapcie
Dam kotlecik w poilocie,
Tłustym próżniakom pieczenie,
Junakom z rumem nudzenie.
Tym, co słodzą nasz losy,
Dam najsmakowitsi sosy,
A tym, co nam doświerali,
Dam opium, ażeby sali.

ROZBIERANIE DROBIU

W książce „Sto sposobów nabożnie wesołych z skarbów łaski i Opatrzności Boskiej wydane" przez ks. Wesołowskiego tj. Macieja Mateusza Fryczkiewicza (Kraków 1767) znajduje się anegdota o tematyce kulinarnej:

Do dworu szlachcica jednego przyjechał ksiądz, którego on chętnie na obiad prosił. Gdy już do stołu nagotowano posadził na wyższym miejscu księdza, sam pole niego siadł, potem żona, synowie i panny sadli przed stołem. Gdy pieczyste przyniesiono, wźmie szlachcic kapłona z mise i położył prze księdza, aby rozbierał. Ksiądz się wymawia, że nie umie. Koniecznie przynagla, aby go rozebrał. Odpowiedział on ksiądz: *„Ponieważ się tak waćpan upari, tedyć ja tego kapłona będę rozbierał, ale wedle Pisma. Rad tem pan, bo chociaż i przy dworze bywał, tedy nie wiedział, jako wedle Pisma kapłony rozbierają. Urżnął tedy najprzód głowę i położył przed panem, potem szyję urżnąwszy położył przed panią, pannom skrzydełku dał, synom po udziku, ostatek sobie wziął na talerz i jadł. Pyta go szlachcic, w którym by to Piśmie tak rozbierać kapłona było. Odpowiedział ksiądz: „Ja to z Pisma wywiodę. Dlategom waćpanu dał głowę kapłona, że jesteś głową domu swego, jako Paweł św. powiada. Jejmości dałem szyję, że z tobą za jedno człowieka jest, jako napisano: „i będą dwa w jednym ciele". Córkom twoim słusznie skrzydła dałem, bo rozmaite myśli w nich latają, jakoby co rychlej szły za mąż. Synowie iż są podporą domu twego, przeto im dałem uda, które też wszystkiego kapłona nosiły, ostatek wziąłem sobie dla tej przyczyny, jako kapłon bez szyje i skrzydeł jest coś dziwnego, tak księdza, który między ludźmi jak dziw jaki, słuszni ostatek przynależał".*

Tym sposobem ów ksiądz panu rozbieranie kapłona wywiódł, za to, że częstował g w domu swym i dobrze obdarował.

Snadnie łaskę kupi,
Kiedy kto nie głupi.

Innemu duchownemu nie udało się dokonać podobnej sztuki, bo gospodyni była sprytniejsza. Pisze dalej ksiądz Fryczkiewicz:

Kwestarz bernardyński, przyjechawszy do dworu, proszony do stołu, gdy na końcu stołu dano pieczonego indyka, kazano mu go rozbierać. Miarkując swoją nieumiejętność, a do tego czas zimowy, wymówił się: *„Przepraszam, zziębłem w ręce, ale wezmę go do klasztoru, rozbierą go tam fratres w refektarzu".* Rzekła imość: *„Dam ja żywego do konwentu, a ty mi go totumfacki, rozbierz dla nas jakoś gracki".*

Pierwszą z tych anegdot, w nieco odmienej redakcji powtórzył „Kurier Warszawski" (27 nr 13) jako fragment z dzieł starozakonnego Hurwicza, rodem z Kowna, o którym zresztą brak bliższych wiadomości.

WIEM WSZYSTKO

Mąż, dowiedziawszy się o niewierności swej żony, wpada wściekły do jej buduaru

— *Nędznico!* — krzyczy od progu. — *Wiem wszystko!*

— *Przechwalasz się* — odpowiada spokojnie żona — *a wiesz, w którym roku była bitwa pod Płowcami?*

Facecje i anegdoty. Wybrał M. P.

UCZONY

Od Darwina i Buckle'a, aż po Pismo Święte,
Ma wszystko w swojej szafie, ale.. nie rozcięte.

„Komar" 1902 nr 15.

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

RAFAŁ ORLEWSKI

Seppuku

Wyprosiłem go za drzwi. Grzecznie. Niech pan już idzie, tak zdaje się, powiedziałem. Przedtem mówiłem mu po imieniu, był przecież bardzo młody. Mówi się o takich: wchodzi w życie albo: zaczyna życie. Banalne kłamstwo. Jak wszystkie utarte slogany, szyldy i szyldziki obyczajowe, jak to moje szyld-stadio, tak nagle zdruzgotane przez długonogiego brodacza, który nadal chciał nazywać mnie druhem.

Judyta pękła poprzedniej nocy. Była po paru kieliszkach i nie wytrzymała. Zostaliśmy u Joanny dłużej, bo obie chciały jeszcze pogadać. Za oknem zawyła syrena strażacka, wyszliśmy na balkon, w sąsiednim bloku strażak przechodził po gzymsie do oświetlonego, ale już zadymionego od wewnątrz okna. Staliśmy tak dość długo, dziwiłem się sobie, że tu stoję zamiast jak zawsze, gdy coś się wydarzyło, gnać na miejsce wypadku, jakbym tam był najbardziej potrzebny. Kwietniowe niebo rzucało na nas chłód, którego ja nie czułem, ale Joanna powiedziała, że jest jej zimno. Okryłem ją swoją marynarką. Podziękowała zalotnym spojrzeniem, nie krępując się obecnością Judyty. Nie wydało mi się to stosowne, choć moja próżność została mile połechtana. Lubiłem wielbicielki, kochałem jednak Judytę i nie kryłem tego nawet w sytuacjach, w których spojrzenia innych kobiet wyrażały zaproszenie. Miła jesteś, mówiłem wtedy, podobasz mi się, ale przecież wiesz, że kocham Judytę. Wiedziałem, że to nietypowe, że nie jest zaletą, lecz życiowym utrudnieniem, że jestem niemodny, jednakże taka postawa wobec innych kobiet miała dwa źródła: moją dziwaczną naturę i wyobraźnię, która obsesyjnie podsuwała mi myśl, że rozpalając żywioł uczuć na doraźny użytek skrzywdzę ulegią mi kobietę, że przekroczę granicę, zza której nie można się wycofać bez określonych skutków. Swoisty ekshibicjonizm.

Drugim źródłem była bezsprzecznie miłość do Judyty. Zdecydowaliśmy się iść razem przez życie, kiedy ja przybyłem tu z dalekiej — psychicznie dalekiej — ziemi, rozłożony wewnętrznie, zabijający w sobie rozpacz, usiłujący się odnaleźć i posklejać. Judyta podała mi wówczas rękę i przez dwa lata nie dała sobie wytłumaczyć, że życie ze mną będzie trudniejsze niż gdyby je budowała z kimś, kto zaczynałby tak samo jak ona, typowo. Sprostała rzuconemu przez siebie wyzwaniu, a ja odnalazłem w sobie energię, jakiej bym się nie spodziewał. Stworzyliśmy wszelkie podstawy ku temu, by nas szanowano, co nie jest łatwe w czasach, kiedy ocenia się człowieka nie za to, co wart, lecz za posiadane rzeczy — obojętnie w jaki sposób zdobyte.

Staliśmy wciąż na balkonie czwartego piętra, obserwując działania strażaków, którzy zdołali już dotrzeć do płonącego mieszkania w sąsiednim bloku i teraz wyrzucali na zewnątrz pościel strzelającą iskrami w tło nocy. Z ich okrzyków domyśliliśmy się, że ogień został zaprószony przez właściciela mieszkania pod nieobecność domowników, sam sprawca wszakże wyszedł z tego bez szwanku. Opuściliśmy balkon ochłodzeni, po czym Judyta, jak wspomniałem, pękła.

Zdaje się, że ty go kochasz, mojego męża, powiedziała, a Joanna roześmiała się, jakby usłyszała dobry kawał. I owszem, żyć bez niego nie mogę, kpiła najwyraźniej. Wiedziała przecież, wprost ode mnie, że od miesięcy gnębię się podejrzeniami, a może bardziej wyczuciem trójkąta, czyli po prostu domysłem, że Judyta ma kogoś i że jest w to mocno zaangażowana. Stawiałem jej, Judycie, takie pytania, zaprzeczała, ale jej oczy mówiły co innego, a ukrywanie romansu wyryło ślady na jej twarzy. Dręczyła się powstałą sytuacją, wybierając jednak postępowanie odwrotne do tego, jakie ustaliliśmy na początku naszej drogi — iż cokolwiek się zdarzy, co mogłoby godzić w naszą miłość, powiemy sobie o tym otwarcie i natychmiast. Joanna, pracująca razem ze mną w jednej instytucji, kreowała w tej grupie ludzi rolę dobrego kumpla i wyróżniała się bezkompromisowością, co mnie, opozycyjnie ustawionemu wobec wszelkich stereotypów, najbardziej się w niej podobało. Pomyślałem nawet, że byłoby dobrze, aby się z Judytą poznały i zaprzyjaźniły — wciąż przecież mimo przeczuć i przesłanek miałem zaufanie do żony, a co dziwniejsze, kochałem ją coraz bardziej. Stało się jak pomyślałem, obie przypadły sobie do gustu i to zapewne ożywiło nastrój naszego życia, gdyby rzeczywistość okazała się li tylko urojeniem w mojej niezdrowej wyobraźni.

Czy Joanna, kpiąc z pytania Judyty, świadomie prowokowała? Być może. Faktem jest, że reakcja mojej żony była dla mnie szokiem, a i Joanna zdarła ze swej twarzy ironię, chyba nie mniej zaskoczona. Oto Judyta, jakby nie słysząc słów Joanny, że ta żyć beze mnie nie może, rozjaśniła się i wyrzuciła, z charakterystycznym dla siebie przejęciem, a później przez łzy, że jej życie jest męką, ponieważ kogoś kocha, z wzajemnością, że to jest od nich obojga silniejsze, i że nie widzi wyjścia z sytuacji, gdyż on, jej kochanek, coraz częściej wspomina o samobójstwie, jako że bez niej żyć nie potrafi, a ponoć mnie, jej męża, zna i szanuje.

Rozstaliśmy się z Joanną nad ranem, senność z trudem poradziła sobie z rozdygotanymi ciałami. Niedługo spaliśmy, Judyta wstała wcześniej, przez półsen słyszałem jak pochlipuje, do kogoś telefonuje, próbuje coś przygotować do jedzenia — zawsze, do końca, gotowała obiady, opowiadając o tym głośno i z wyrzutem komu się dało, że inni żywią się w stołówkach, a w ostatnich miesiącach, tych napęczniałych moim niepokojem i wciąż niezachwianym zaufaniem do niej — że to jej zabiera czas, czyni ją garkuchnią (?), zresztą inwektywy pod moim adresem sypały się coraz częściej, różny tylko przybierały, mniej czy bardziej zjadliwy ton. Niekiedy nie wytrzymywałem, wybuchałem jak granat naładowany wściekłością i brukowym słownictwem, a za godzinę czy dwie kląłem sam na siebie za brak opanowania, za swój cholerny temperament.

Przebudziłem się z uczuciem analogicznym do tego, jakie ogarnia, gdy budzimy się po raz pierwszy po pogrzebie kogoś bliskiego. Drapał mnie kac, bardziej papierosowy niż alkoholowy. Otępiały patrzyłem na Judytę. Zachowywała się tak, jakby za wszelką cenę chciała utrzymać spokój, przede wszystkim swój własny spokój. Podała przygotowany naprędce obiad. Milczała. Nie mogę palić, powiedziałem, żeby przerwać to nieznośne milczenie. Nie odezwała się. Słuchaj, wybuchnąłem, to nieprawda, powiedz, że cię poniosła fantazja po wódce. Nie, to prawda, odrzekła cicho, kocham go i on mnie kocha, to było, to jest od nas silniejsze. Kto to jest, dlaczego to ukrywałaś, jak mogłaś, krzyczałem zupełnie bez sensu. Później się dowiesz, jeszcze nie teraz, wszystko się na mnie zwaliło, niech się jakoś pozbieram, głowa mnie boli, później się dowiesz. Ale to nie jego wina, on cię bardzo szanuje...

Nie musiała mówić dalej — że też tam, u Joanny, nie zwróciłem na to uwagi. Wielokrotnie powtarzała, wtrącała mimochodem to zdanie, on cię lubi, szanuje, podziwia, interesuje się tym, co robisz i tak dalej, i pytałem ją wówczas, skąd taki jej aplauz dla tego wyrośniętego chłopaczka, noszącego pierwszą w życiu brodę i modne, nie uczesane włosy. Byliśmy razem na zgrupowaniu obozów, jeden z nich prowadziłem, oni mieli funkcje znacznie mniej pracochłonne. Wtedy właśnie zaczęło się to, co było od nich silniejsze. I ja tam byłem, przecież tam byłem! No tak, najciemniej jest pod latarnią.

Nie chciała więcej mówić, a ja oszalałem. Złamał mnie płacz, zjawisko niemal już przeze mnie zapomniane, nawet na pogrzebach rodzinnych — matki, zabitego przez tąpnięcie w kopalni młodego i serdecznego kuzyna i kilku jeszcze osób z czarnej serii, jaka na rodzinę spadła w ciągu jednego roku — nawet wtedy nie płakałem. I oto znów targnął mną płacz, bolesny i co gorsza nie przynoszący żadnej ulgi. Przeciwnie, wyjaskrawiający to, co się stało.

Przyszła siostra Judyty, potem Joanna. Tylko ta druga wiedziała o co chodzi, nikt nie odpowiedział na pytanie pierwszej, co się stało, więc się naburmuszyła, znów się dochodzicie, powiedziała, przyjdę jak będzie spokój, po czym wyszła. Niedługo też zabawiła Joanna, bezskutecznie próbując wprowadzić lepszy nastrój i tłumacząc się, że musiała przyjść, bo niepokoiła się o nas. Zabrzmiało to dziwnie, tak jakby to ona była winna wszystkiemu.

Ba, żebyż to była zdrada w tym jakże pospolitym znaczeniu i mnogości przypadków! Człowiek, mężczyzna w moim wieku, wie coś niecoś o plugastwach życia w tym najpiękniejszym, a równocześnie z brzydoty złożonym świecie.

Sparzyłeś się na gorącym, na zimne dmuchaj. Dmuchałem, widocznie słabo, nieprecyzyjnie. Zbyt głęboka wiara ułatwi innym cios przeciwko tobie, zbyt głęboka miłość narazi cię na samotność.

Ale najpierw na ból. To, że inni widzą w tym bólu melodramat, tani sentymentalizm — tani, bo zbyt powszechny więc inflacyjny, że twoje cierpienie jest nieracjonalne i może cię tylko ośmieszyć, to i tyle innych podłych uczuć, jakie przeżywasz i że sobie to wszystko uświadamiasz, nie zmniejszy twego bólu. Każdy obserwator, także ten znający życie powie ironicznie: po cholerę cierpisz, postaw sprawę po męsku. Oczywiście masz rację, mój zbawco, ale czy potrafisz tak nagle zabić w sobie miłość swoją i tę, w którą wierzyłeś, miłość tej, która cię oszukała. Przecież była dla ciebie wszystkim, sensem i imperatywem twoich działań. Jest w sercu miejsce na nienawiść, kiedy człowieka kocha człowiek, napisał poeta, ale ta prawda to uogólnienie doświadczeń z takich właśnie cierpień, z takiego bólu, zanim każdy nim dotknięty zdoła go przekształcić w nienawiść. Najprościej — radzić. Gdyby obserwatorzy rozgrywanej partii szachów wiedzieli tyle, ile wiedzą radząc grającym, ale będąc na ich miejscu — byliby arcymistrzami.

Tu nie było partii szachów. Tu było ukrywanie status quo, póki się da, a potem jakoś to będzie, jak oświadczył kochanek Judyty, który tak usilnie wyrabiał w sobie szacunek dla „druha", aż skrzywdził go ostatecznie i nieodwracalnie. Nie dlatego, że poderwał, a ściślej rozkochał i skurwił mu żonę, ona przecież tego samego pragnęła, lecz dlatego, że nie dał szans walki.

Opanowałem, szczerze mówiąc z trudem, bolesny i niezrozumiały u mnie od lat płacz, znów paliłem jeden po drugim i znów próbowałem nawiązać rozmowę. Judyta milczała. Rozkleiła się ponownie wieczorem, kiedy to łykając jakieś krople i pigułki uspokajające zwróciła się do mnie z pytaniem, czy może do niego zadzwonić, ponieważ boi się, że on sobie coś zrobi, wczoraj znów jeździł, mówiła, bez przytomności na motorze, więc musi zatelefonować, mówiła i znów płakała. Dzwoń, powiedziałem, proszę bardzo, coś błaga. Krew mnie zalewa, szczeniak, mówię głośno, mężczyzna do łóżka z ogłupiałą nim kobietą, która na dobrą sprawę mogłaby być jego matką, wezwij go tutaj, niech przynajmniej teraz rozmawia wprost. Lecz ona wciąż jęczy do słuchawki, więc mówię, daj mi słuchawkę, ja go tu zaproszę. Zgadza się, nie przestając chlipać i chodzić. Staram się mówić spokojnie, Piotr, o której kończysz pracę, o dwudziestej drugiej, słyszę, przyjdź tu do nas, wiesz że musimy porozmawiać. Dobrze, przyjdę, odpowiada nie zaskoczony, kładę słuchawkę, siadam, zapalam Bóg wie którego już papierosa. Próbuję skupić myśli, muszę zachować spokój, znam przecież swoją wybuchowość, tym razem muszę rozmawiać konkretnie, nie dać się sprowokować, to w końcu z wielu względów nie partner, mimo iż prawie od roku mieliśmy, ha, ha, wspólną kobietę.

Nagle słyszę jej głos, wciąż nienormalny, przez płacz: pozwól mi wyjść, muszę go spotkać zanim tu przyjdzie, chcę żeby najpierw poszedł do domu i powiedział matce, że zaraz wróci, uspokoił ją, ona patrzy w niego jak w obrazek, muszę go skierować najpierw tam, potem tu przyjdzie. Dobrze, mówię, idź, jeśli jednak on nie przyjdzie, to natychmiast pójdziesz stąd. Rzecz zdumiewająca, od razu przestaje płakać, szybko zakłada biały skafander, otwiera drzwi i wybiega, lekko jak małolata. Wkrótce potem słyszę dzwonek, otwieram drzwi i mam przed sobą dryblasa z jarzącymi się ciemnymi oczami i niedbałą, zasłaniającą czoło czupryną. Wyszła, mówię przez próg, żebyś mamusię powiadomił, brzmi to mimo mego wysiłku zgryźliwie, że już jesteś, ale masz jeszcze ważną sprawę załatwić. Odwraca się i zbiega po schodach, wracam do pokoju i papierosa, czekam, mówię do siebie — musisz być spokojny, szlag by to trafił, raczej powinieneś wziąć ich dwoje za wszarz i wyrzucić na schody, dołożyć kopniaka, by szybciej pokonali odległość ku swojemu szczęściu, które jest od nich samych, czterdziestolatki i prawie połowę młodszego osiłka, silniejsze.

Wyglądam przez okno, cisza i ciemność, i pustka — dosłowna też we mnie, nie — we mnie jeszcze nie pustka, tylko uczucie nasycenia się popiołem, po którym skacze ogłupiałe serce, waląc w świadomość jak bokser w worek treningowy i utrudniając dostosowanie się do zbożnego życzenia wymawianego teraz głośno — musisz być spokojny, musisz być spokojny...

Patrzę w dół z wysokości kilku pięter, wreszcie on wyłania się zza bloku, sam, poznałbym go teraz w absolutnej ciemności. Ładnie, mówię, co to znaczy, nie znalazł jej czy grają mi przed nosem dalszy ciąg tej tragikomedii. Ale oto wzdłuż bloku przesuwa się biała kurtka, on to spostrzega, przystaje, lecz ja już jestem na dole, wychodzę wprost na nich, pytam czy zameldował się mamusi, potwierdza dodając, że oni, to jest rodzice, ale powiedział oni, niezbyt mu dowierzali iż to nie potrwa długo. Mają w tym niemałe doświadczenie, myślę, niejedną noc, spędził poza domem, niekiedy i w mojej oraz oczywiście Judyty obecności, lubił się zjawiać około północy na czyichś imieninach, teraz dopiero wiem, co go ciągnęło i dlaczego starał się mi przymilić — choć potem, właśnie tego wieczoru, gdy mu wypomniałem, że był traktowany jak bliski gość, odpowie, że niełatwo było mu tu przychodzić. Skurwielu, myślę i zadaję sobie siłą woli zastrzyk pozorowanego spokoju, gdybyś choć raz zobaczył w sobie oszusta, twoja noga by u mnie lub przy mojej obecności nie postała, ale ty przecież grałeś swoją rolę, starałeś się udawać młodego przyjaciela i nietrudno ci to przyszło, mam przecież sporo młodych przyjaciół, udawałeś druha psiakrew, taka metoda odwraca uwagę znacznie starszego pana, który ślepo ufa żonie, a nawet głośno ją chwali za tę główną zaletę, ha, ha, wierność...

Grałeś zatem swą rolę wobec „druha", przyprawiając mu rogi przez tyle miesięcy i ona grała z tobą — świetny duet stworzyliście. Dziwnie jednak brzmiały jej obawy o ciebie, jeszcze dziwniejsza była dziś twoja niezaradność, wręcz bezradność, kiedyście już weszli za mną do naszego, ha, ha, mieszkania i ty oświadczyłeś, że zabrałbyś ją nawet dziś, ale nie możesz tego uczynić, bo nie masz dachu nad głową, mieszkasz u rodziców, no i matka, twoja matka — ją to zabije, powiedziałeś, gdy się o wszystkim dowie. Istotnie, jak sobie może ta matka, rówieśnica twojej kochanki, wyobrazić taką stratę jedynaka, jakiż to byłby skandal, całe życie ci poświęciła, nie tylko tyle, co każda inna matka.

Nie masz więc warunków do wspólnego życia z moją żoną, którą ja teraz pytam, czy poszłaby z tobą, tak, odpowiada, a ty wówczas, Piotruniu, jak się do ciebie nawet przy mnie zwracała, wyrażasz zwątpienie, że chyba nie poszłaby z tobą. Poszłaby, oj poszła, zblazowany szczyliu — jak szła do ciebie, do mieszkania twoich starych, by oddawać się razem z tobą temu, co od was silniejsze, oni w tych godzinach pracowali, chata była wolna. Ale ty jesteś z generacji wygodnych, nie chciałeś sobie nawet wyobrazić, że kiedy postanowiliśmy, Judyta i ja, żyć wspólnie, to nie mieliśmy ani gdzie się podziać, ani nie było pracy w jednym środowisku, czy choćby na dojazd, że trzeba było walczyć o każdy drobiazg i o każdą życiową sprawę, że również i ona nie ruszyła palcem w bucie, aby gdzieś mieszkać, gdzieś pracować, że nawet bała się wejść do biura zatrudniającej instytucji, bo decydent już ją kiedyś za drzwi wyrzucił i nadal musiała się tułać po zabitych dechami wioskach, mimo iż w tym mieście się urodziła jak jej ojciec, dziadek, pradziadek, że również ona nie doceniła niczego, co bez łapówek i pleców udało mi się zdobyć, ot choćby postarać się o spółdzielcze mieszkanie w ciągu dwóch lat zaledwie, że nie wspomnę o czymś takim, jak rozbudzenie w niej, w Judycie, ambicji i stworzenie jej możności studiowania, i zjawianie się z kwiatami podczas egzaminów, a niekiedy z upominkiem przekraczającym moje zarobkowe możliwości, co oznaczało jeszcze jedną harówkę więcej dla oddania na ten cel pobranej pożyczki, a przede wszystkim — o tak mało znaczącej sprawie jak przywracanie jej reputacji, bo „trudno ją mieć nienaganną, gdy się jest zbyt długo panną" — aż do wymagania wobec niej szacunku, nawet od tych, dla których bywała dziewczyną do rozrywki.

Trudno było i jej, Judycie, i jakby dziś zasępionemu — z bezsilności ponoć — kochankowi podjąć konkretną decyzję, a tego zażądałem, wciąż siląc się na spokój, musieli przecież coś przedsięwziąć, skoro, mówiłem, wszystko stało się jasne, co oznacza, że wszystko może się zdarzyć, ale nie możemy, przynajmniej ja nie mogę, to powiedziałem twardo, żyć nadal w trójkącie. Judyta, nie doczekawszy się decyzji Piotrunia, musiała choćby przez moment poczuć się głupio, i w końcu zdecydowała, że wybiera samotność, rezygnuje z nas obu. Spróbuję ci pomóc, powiedziałem niespodziewanie dla siebie i czekałem reakcji Piotra, ale on siedział prawie nieruchomo, nie sięgnąwszy ani razu po herbatę, którą Judyta skwapliwie podała. Palił i milczał. Może jeszcze raz zagrał, ale już inną rolę — trzeba było ukryć ulgę z takiego obrotu sprawy, który go ze wszystkiego zwalniał, a być może i z tego, że rozkoszny i ciekawy, bo ukrywany romans z Judytą zaczynał mu już ciążyć, czy z tego, że tak gładko ta rozmowa przeszła, może też w duchu liczył na to, że co się odwlecze, to nie uciecze...

Wstaliśmy, zegar wybił drugą po północy, oni zatrzymali się w przedpokoju jakby czegoś oczekując, domyśliłem się, że chcą, abym wyszedł do drugiego pokoju bądź zamknął drzwi. Żeby się pożegnać? Proszę, powiedziałem, pożegnajcie się na moich oczach, przecież nie macie już niczego do ukrycia. Skąd mi się to wzięło, wrzałem wewnętrznie, skąd taka perwersja? Nie rzucili się sobie w ramiona, pocałował Judytę w rękę i jeszcze się ociągał, wtedy właśnie powiedziałem niech pan już idzie, a on — że jestem j e d n a k dobrym człowiekiem!

Jednak? Jakby dalekie echo dolatywał mnie głos mówiący, żem idiota wyjątkowy, bo teraz dopiero zacznie się we mnie piekło. Upokorzenie. Dwoje obcych już sobie ludzi pod jednym dachem. Moje mimo wszystko niewygasłe uczucie: jednostronne. Nieodwracalność. Och nie, nie wszystko jest tak. Przecież powiedziałem: pomogę Judycie. Pomogę. Stworzę, ha, ha, jeszcze raz stworzę warunki, aby „wróciła do siebie". Czy to znaczy, że ona chce zrobić wszystko, żeby nasze życie, nasze małżeństwo wróciło do normy? Nie, ale — dokąd się wybierze kobieta pozująca na małolatę, jak zrezygnuje z budowanego i układanego przez tyle lat życia, z wygód, które w sytuacji zwyczajnej są, i owszem, zbiorem kłopotów, glebą codzienności. Lecz odejść? Nie. Mąż narwany, ale dobry. Zawsze taki był. Przynajmniej nie zawzięty. Łatwo i szybko przebaczał. Czy szalała pijana, czy zgrzytała zębami, gdy chciał ją oziębłą, przytulić i krzyczał z wściekłością — gdzie masz ręce, a ona rozkładała nogi jak manekin, czy kłamała w żywe oczy — mam czyste sumienie, obrzucała wyzwiskami, prowokowała do rękoczynów, narzekała i biadoliła, porównywała, powoływała się na rajskie życie koleżanek — nigdy nie potrafił długo się gniewać, sam ją przepraszał, kwiatami. Kochał. No tak. Sentymentalny Dyzio, kurwa mać. Otello.

Wybij klin klinem, powiadasz mój doradco. Ba, to prostsze niż samobójstwo. Oni właśnie, Judyta i Piotrunio, na to liczyli. Pytałem i o to, jak widzieli swą przyszłość. Sądziliśmy, że się zakochasz, masz przecież wielbicielki, a potem jakoś to będzie. Durnie. Każdego życiowego wyboru dokonywałem sam, przyjmować musiałem tylko to, co jako ostateczne narzucał mi los. Wreszcie zrozumiałem — Judyta pytała Joannę czy ta się we mnie kocha, pytała z n a d z i e j ą. Im obojgu zaczadzonym tym, co od nich silniejsze, mój romans, gdyby zaistniał, był potrzebny! Więcej — stanowiłby tarczę, alibi, obronę przez atak.

Na trzecim piętrze strażacy ugasili pożar. Pożar krwi i myśli trwa. Jak długo? Czy będzie trwał, gdy znienawidzę? Nie ma straży do gaszenia takich pożarów. Spalisz się, ostrzega serce. Zdrętwiejesz, huczy mózg. Padniesz, zdają się mówić smutne oczy Joanny. Więc palę się, trwam, czekam. ■

Gwiazdy „Sopotu – 86”

BOHDAN GADOMSKI

Tegoroczne gwiazdy „Sopotu — 86”: BONNIE TYLER, KAREL GOTT i „BAD BOY'S BLUE” miały swoje konferencje prasowe, na których dziennikarze pytali o wszystko co ich interesowało. Prezentując Czytelnikom „Odgłosów” opracowany przez siebie zapis tych rozmów, łączę je razem z moimi indywidualnymi wywiadami, które w sumie niech dadzą choćby w zarysie szkic osobowości (nie tylko na publiczny użytek) gwiazd z Wielkiej Brytanii, Czechosłowacji i RFN.

Bonnie Tyler

Karel Gott

O WSZYSTKO TRZEBA WALCZYĆ... SPOTKANIE Z BONNIE TYLER

Swego czasu była sensacją światowego rocka, nazywana „Rodem Stewartem w spódnicy” Kilka lat temu zadawano pytanie: — „Co się stało z Bonnie Tyler?”, bowiem zniknęła z rynku muzycznego na trzy lata. Niedawno powróciła na światowe listy przebojów (piosenki z płyty „Secret Dreams and forbidden five”), przygotowuje kolejne uderzenie na brytyjski i amerykański rynek, w Sopocie jej występ był przyjęty zimno, na konferencji prasowej błysnęła urodą i humorem...

— *Bywa Pani nazywana „Rodem Stewartem w spódnicy”, czy jest to dla Pani komplement?*

— Kiedy pierwszy raz usłyszałam to porównanie, byłam podekscytowana, ale chciałabym być męskim odpowiednikiem dla jakiegoś piosenkarza.

— *W brytyjskiej piosence jest obecnie cicho na Pani temat?*

— Za dwa tygodnie ukaże się mój nowy album i w związku z tym będzie prowadzona cała kampania reklamowa.

— *Czy come back gwiazdy rocka naprawdę jest możliwy na Zachodzie?*

— Jest możliwy, choćby na moim przykładzie. Miałam trzy lata przerwy, po upływie tego czasu miałam dość ciszy wokół siebie i w sobie samej Postanowiłam zmienić menażera, autorów piosenek, producenta i wytwórnię płyt. Napisano dla mnie dobrą piosenkę i z nią wiązałam wielkie nadzieje. Disk-jockeye zaakceptowali piosenkę i lansowali. Będąc gwiazdą, zarówno na topie, jak i ponownie starającą się o wejście na listy — trzeba walczyć. O wszystko trzeba walczyć.

— *To w Anglii, a w St. Zjednoczonych, czy tam również zrobiła Pani karierę?*

— Myślę, że zrobiłam, mój singiel przez 4 tygodnie był na I miejscu.

— *Jak istotny dla Pani, rockowej gwiazdy jest rynek wschodni?*

— Wciąż nie rozwiązane są problemy praw autorskich twórców piosenek i producentów płyt między Zachodem a Wschodem. Aby doprowadzić sprawę do końca trzeba te zagadnienia połączyć w jedną strukturę, z prawnymi warunkami, a ponieważ to obecnie jest nie rozwiązane, trudno o tym mówić. Chciałabym wejść na rynek wschodni ale najpierw trzeba uporządkować sprawy prawne. Mam ochotę przyjechać do Polski i odbyć trasę koncertową.

— *Czy przed przyjazdem do Polski słyszała Pani o Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie, czy orientowała się kto tu występuje i będzie Pani mogła swój występ w Sopocie wykorzystać w celu penetracji rynku wschodniego?*

— Nie słyszałam o festiwalu w Sopocie Ale jest mi przyjemnie, że będę tu gwiazdą. Sopot jest moim drugim festiwalem, pierwszym był festiwal YAMAHA w Tokio, który wygrałam.

— *Zapomniała Pani, że była gwiazdą na tegorocznym MIDEM w Cannes?*

— Tak? Nie mogę sobie przypomnieć, w Cannes było milion innych wykonawców.

— *Czy Pani wie, że polska publiczność lubi słuchać gwiazdy na żywo?*

— Pagart naciskał, abym swój program w Sopocie wykonała na żywo w całości. Z uwagi na transmisję telewizyjną musiałam dbać o jakość podkładów muzycznych, a więc trzeba by było sprowadzić moich muzyków sprzęt nagłaśniający. Koszty koncertu stałyby się ogromne, pewnie tak duże jak finanse na cały festiwal. Wybrałam wokal na żywo, a podkłady muzyczne z playbacków, z towarzyszeniem kilku muzyków w tle markujących granie.

— *Od jak dawna Pani menażer wiedział że ma Pani wystąpić w Polsce? I jak wytłumaczyć fakt, że PAGART nie dysponuje w Sopocie żadnymi materiałami reklamowymi Bonnie Tyler?*

— Menażer dowiedział się o moim występie w Sopocie 10 lipca tego roku podczas naszego pobytu w USA Menażer nie wozi ze sobą reklamy; bo od tego jest firma płytowa. Za mało czasu pozostało, aby jakieś materiały przygotować na festiwal.

— *Na Zachodzie szalenie modne są videoclipy, czyli taki fabularny zapis piosenki, gdzie wymagane są od wykonawcy umiejętności aktorskie nie zabija gwiazdy live?*

— Bardzo nie lubię robić videoclipów, ale ponieważ znajduję się na takim a nie innym rynku — muszę je realizować, aby nie wypaść z obiegu.

— *Czy uważa się Pani za kobietę szczęśliwą?*

— Tak.

— *Czy ma Pani męża, dzieci, gdzie się pani ubiera, czesze, jakich wykonawców lubi?*

— Mam męża, od 13 lat tego samego, dzieci nie mam z uwagi na karierę. W przyszłym roku kończę 35 lat i pora na urodzenie dziecka Ubieram się w sklepach Londynu, czesze mnie osobista fryzjerka. Lubię Tinę Turner, Phila Collinsa, Briana Adamsa

— *A Shakin' Stevensa?*

— Nie jestem fanem Shakin' Stevensa, ale gdy przesłuchałam piosenkę, którą zaproponowano mi do nagrania w duecie ze Stevensem — powiedziałam: okay! Piosenka bardzo mi się spodobała.

— *A Bruce'a Springsteena?*

— Bardzo go cenię, to właśnie z jego muzykami nagrałam album „Faster Than The Speed of Night”, który zyskał wysokie notowania i okazał się być platynową płytą w USA, Płd. Afryce, Szwecji Australii Nowej Zelandii i Szwajcarii, Złotą Płytą w Wielkiej Brytanii i Francji, diamentową w Norwegii i Srebrną Płytą w Danii i Grecji.

— *Na co przeznaczy Pani te 6 milionów, czyli honorarium za występ w Sopocie?*

— To jeszcze otrzymam honorarium? Nie wiedziałam o tym menażer nic mi na ten temat nie mówił. Jestem jak Lady Di — wydaję pieniądze, ale nie noszę ich przy sobie.

USUNĄŁEM SIĘ W CIEŃ... SPOTKANIE Z KARELEM GOTTEM

Jest największą indywidualnością w historii czechosłowackiej muzyki popularnej. 20 Złotych Słowików, 2 Złote Dzwonki, Złota Lira, 9 Złotych Płyt 4 Nagrody na MIDEM, Złota Szpilka „Polydora” Złoty Mikrofon w Stuttgarcie, Złoty Medal w Rio de Janeiro, „Gwiazda Roku” w ocenie „Music Week”, „Kwiat Czereśni” na Festiwalu w Tokio, Brązowy i Srebrny Lew Radia Luksemburg, Zasłużony Artysta i Narodowy Artysta (nagrody prezydenta Republiki). W br. obchodzi jubileusz 25-lecia pracy artystycznej. Do Sopotu przyjechał z własną orkiestrą. Sympatyczny, jak zwykle uśmiechnięty, życzliwy dla innych, gwiazdor bez gwiazdorskiej pozy.

— *Pana światowa kariera rozpoczęła się podobno właśnie w Sopocie, w 1964 roku, gdzie śpiewał pan „Kota Teofila”?*

— Tak, właśnie tu.

— *Czy Pan wciąż goni karierę?*

— Wciąż jestem niespokojny, ciągle poszukuję. Byłbym nieżywy gdybym stał w miejscu

— *Śpiewał Pan chyba wszędzie?*

— Nie śpiewałem jeszcze w Albanii i Chile.

— *A który z występów był dla Pana ważniejszy: Sopot czy Montreal?*

— Najważniejsza była „Bratysławska Lira” w 1966 roku.

— *A inne ważniejsze sukcesy?*

— 53 duże płyty i 50 singli dla zachodnioniemieckiej wytwórni „Polydor” i trzykrotnie przedłużany kontrakt, dziś już 15-letni. Występy w Las Vegas w Hotelu „Frontier” przez 7 miesięcy.

— *Ile płyt nagrał Pan dla rodzimego „Supraphonu”?*

— 40 dużych płyt, 100 małych.

— *Czy posiada Pan wszystkie swoje płyty?*

— Tak, jest ich 110.

— *Która z Pańskich płyt została wydana w największej ilości egzemplarzy i gdzie?*

— Radziecka wytwórnia „Melodia” wydała moją płytę w nakładzie 5 mln. Było to 9 lat temu i jak do tej pory rekord nie został pobity. Również w dużym nakładzie, w 1969 roku, „Polydor” wydał standardy światowe w moim wykonaniu.

— *Przez 25 lat swojej kariery pozostał Pan wierny sobie, a przecież muzyka się zmienia?*

— Przez dwa lata starałem się zmienić, chciałem być innym piosenkarzem, nowoczesnym. Ale poza mną nikt tego nie oczekiwał ode mnie. Słuchacze nie akceptowali tych zmian, chcąc mnie widzieć i słyszeć wciąż takim samym.

— *Czy uwzględnia Pan także uwagi krytyczne pod swoim adresem?*

— Gdybym nie brał pod uwagę poglądów swoich słuchaczy, na pewno nie znajdowałbym się w tym miejscu w jakim jestem. Przyjmuję rady starych przyjaciół liczę się także z opinią uczniów praskich szkół i studentów wyższych uczelni, z którymi rozmawiam na cenionych przez siebie spotkaniach. Respektuję rady ludzi, którzy piszą do mnie długie i nierzadko zmuszające do myślenia listy.

— *Kto podoba się Panu wśród śpiewających zespołów, solistów?*

— Podoba mi się zespół „A-HA” i Lionel Richie, mający w głosie to, czego biali wokaliści nigdy nie będą mieli

— *A co się Panu nie podoba?*

— Nie podoba mi się agresywny hard rock.

— *Na jaki repertuar własny postawił Pan w Sopocie?*

— Wybór piosenek do 35-minutowego recitalu był trudny, ale wiedziałem, że muszę zaśpiewać pewne i sprawdzone piosenki.

— *Jak czuje się Pan w Sopocie?*

— Atmosfera jest fantastyczna.

— *Jaki jest Pana stan rodzinny?*

— Nie zmienił się.

— *Prasę Europy obiegły zdjęcia, na których jest pan sfotografowany z córką. Ale dlaczego tak późno zdecydował się pan na ujawnienie tego faktu i co się obecnie dzieje z córką?*

— Córka urodziła się wbrew mojej woli, ale im jestem starszy, tym bardziej jestem rad, że ją mam. Nie chciałem jej wcześniej przedstawiać, aby miała spokój. Nie udało się jej schować i wszystko się wykryło. Mam teraz czyste sumienie. Córka nie mieszka u mnie, ale często się widujemy.

— *Czy jest Pan świętością narodową w swoim kraju czy też normalnym obywatelem?*

— Uwolniłem się ze swoich bardzo ważnych funkcji społecznych, oddałem je innym. Ale muszę dbać o swój image, bo sprawdzono, że gwiazdy muszą być na niebie, wciąż do oglądania, ale bardzo odległe To gwiazdy powodują, że ludzie wierzą w lepszy, inny świat.

— *A gdy zdarza się, że ma Pan wolny dzień, jak go spędza?*

— Maluję olejne obrazy, gram w tenisa (mam własny kort), czasami ze sławnymi tenisistami.

— *Wygrywa Pan z nimi?*

— Zawsze przegrywam.

— *Jak długo może śpiewać „Złoty Słowik”, czyżby przez następne 25 lat?*

— Nie wiem, co może wydarzyć się w ciągu następnych 20, 25 lat. Wiem, co czeka mnie w najbliższym czasie, a jest tego sporo. Najbardziej satysfakcjonuje mnie rozdawanie radości swoim, czyli publiczności, która mnie zna i lubi. Nie dlatego, żebym nie dowierzał sam sobie: po prostu jestem zadowolony, że wbrew biblijnemu porzekadłu — jestem prorokiem we własnym domu i w kilku innych krajach, w których mam już od lat swoją publiczność.

JESTŚMY JAK GUMA... SPOTKANIE Z „BAD BOY'S BLUE”

Andrew Thomas, John Mc Inerney i Trevor Taylor czyli trzy kolory skóry (biały ciemny i czarny), trzech wokalistów firmujących się jako grupa „Bad Boy's Blue”. Do Sopotu przyjechali późno, bo w ostatnim dniu festiwalu, czyli w dniu swego występu. Trzy różne osobowości, trzy odmienne spojrzenia na to co robią i co ich interesuje w muzyce i poza nią. Wspólną działalność rozpoczęli jesienią 1984 roku. Pojawili się w dyskotekach. Dla ich przeboju „You Are A Woman” droga stanęła otworem, utwór trafił na czołowe pozycje list przebojów niemal wszystkich krajów europejskich, zapewniając występy telewizyjne w całej Europie. Solowe partie śpiewa głównie Trevor Taylor, John i Andrew współgrają ze sobą w tle. Pomimo różnicy temperamentów „Bad Boy's Blue” rozumieją się ze sobą doskonale.

— *Jak to się stało, że będąc zespołem znacznie lepszym od „Modern Talking” daliście się im wyprzedzić?*

— Zaczynaliśmy śpiewać i grać później niż „Modern Talking”, ale mieliśmy tego samego producenta płyt.

— *Podobno pracujecie nad swoją drugą płytą, jaki będzie jej charakter?*

— Dbamy o to, aby była lepsza, w najbliższych dniach ukaże się nowy singiel, będący jej zwiastunem.

— *Czy pracujecie tylko w studiu nagraniowym, czy też koncertujecie również na żywo?*

— W porównaniu z zespołem „Modern Talking”, który w ogóle nie występuje na żywo — koncertujemy bardzo dużo.

— *Jak przebiegała sprzedaż światowa pierwszego singla?*

— 350 płyt w RFN, Złota Płyta w Austrii, Szwecji.

— *Dlaczego w nazwie zespołu znalazł się „blue”?*

— Bo lubimy ubierać się na niebiesko.

— *Jak oceniacie swój niezbyt udany występ na festiwalu „Bratysławska Lira”?*

— Po doświadczeniach w Czechosłowacji, postaraliśmy się o lepsze brzmienie, rozszerzyliśmy skład, do Sopotu zabraliśmy trójkę śpiewających przyjaciół. Do sopockiego programu włączyliśmy te utwory, które podobały się publiczności. Wchodzimy w kolejny etap pracy. Z Sopotu jedziemy do Budapesztu, Wiednia

— *Czy znacie polską muzykę, polskich wykonawców?*

— Przepraszamy, ale nie znamy.

— *Czy przed przyjazdem do Polski wiedzieliście, że jesteście tu popularni?*

— Ależ skąd, jesteśmy zaskoczeni.

— *A gdybyście nie robili tego co robicie — czy kupilibyście swoje płyty?*

— Nie.

— *Jakiej muzyki słuchacie prywatnie?*

— Reggae i bluesa.

— *Trevor, czy pan wie, że w Sopocie grają w „Alex Bandzie” muzycy z „Samych swoich” z którymi Pan występował w RFN?*

— O, to miła niespodzianka, są to moi prawdziwi przyjaciele, ludzie, którzy chodzą po ziemi. Do swoich przyjaciół zaliczam też Marka Tomaszewskiego i zmarłego Wacława Kisielewskiego.

— *Czy waszym zdaniem istnieje konkurencja między czarnym i białym disco, czy też jest wzajemne uzupełnianie?*

— Nie mam wyrobionego zdania na ten temat, muzyka to tygiel, do którego wszystko spływa. W muzyce komercyjnej, którą uprawiamy, liczy się smak. Zespoły są mieszane „białe i czarne” może wkrótce będziemy mieli w zespole jeszcze jednego białego kolegę.

— *Do kiedy macie podpisaną umowę z firmą płytową „Ariola” i czy jesteście zobowiązani, aby co roku nagrywać tam jedną płytę?*

— W kontrakcie jesteśmy zobowiązani do nagrywania dwóch singli rocznie. Jeżeli nowy singiel będzie się dobrze sprzedawał to wyjdzie nowa duża płyta. Nasz 3-letni kontrakt z „Ariolą” kończy się po jego wygaśnięciu, jeżeli otrzymamy ciekawe warunki, zostaniemy w tej samej firmie Jeżeli nie — zmienimy firmę, bo mamy kilka propozycji.

— *A jeżeli skończy się moda na Waszą muzykę?*

— Jesteśmy jak guma, gniemy, rozciągamy się na wszystkie strony i również się zmieniamy.

Bad Boy's Blue

Polemiki • Listy • Opinie

POCZTA PRZEPRASZA

W związku z ukazaniem się notatki prasowej w „Odgłosach" z dnia 86.07.03 zatytułowanej „Urząd chwilowo nieczynny", Wojewódzki Urząd Poczty w Łodzi uprzejmie wyjaśnia. Przeprowadzone postępowanie wyjaśniające potwierdza w pełni przyczynę opóźnionego otwarcia UPT, Łódź 84 w dniu 86.06.02.. Urząd został otwarty o godz. 8.45 zaraz po usunięciu awarii, a nie jak podano w notatce o godz. 9.30.

Wojewódzki Urząd Poczty w Łodzi uprzejmie przeprasza wszystkie osoby oczekujące tego dnia na otwarcie urzędu P.T.

Do wiadomości — DOPiT w Łodzi, Rzecznik Prasowy prezydenta m. Łodzi.

PIOSENKA ZAANGAŻOWANA

Celem konkursu jest podjęcie tematyki dotyczącej problemów współczesnego świata oraz miejsca i roli człowieka w dzisiejszej rzeczywistości. Tematyka piosenek zgłoszonych do konkursu winna m.in. zasygnalizować Międzynarodowy Rok Pokoju.

Organizatorzy konkursu: Zarząd Krajowy Związku Młodzieży Wiejskiej, Ruch Społeczno-Kulturalny ZMW „Scena Ludowa" — Ośrodek Kultury Wsi ZMW w Krakowie, Miejski Dom Kultury w Skawinie.

Termin: **17—19 października 1986 r.** Miejsce: Miejski Dom Kultury w Skawinie.

W konkursie mogą brać udział indywidualni piosenkarze, którzy w terminie do 15 września br. nadeślą kartę zgłoszenia, teksty piosenek **(w trzech egzemplarzach)**, zapis nutowy (prymkę) oraz kasetę z nagraniem wykonywanych piosenek na konkurs (organizatorzy zapewniają zwrot kaset). Do konkursu należy zgłosić minimum trzy piosenki. Teksty piosenek mogą być oparte na tekstach pisanych (poezja), tekstach własnych oraz odtworzeniu już skomponowanych piosenek. Wykonywanie piosenek może odbywać się przy akompaniamencie własnym (gitara lub inny instrument) lub z towarzyszeniem sekcji, względnie zespołu instrumentalnego.

Oceny wykonywanych piosenek dokona jury złożone z wybitnych fachowców z dziedziny piosenki i muzyki. Jury dokona wstępnej kwalifikacji wykonywanych tekstów i muzyki nadesłanych piosenek. Osoby zakwalifikowane do konkursu otrzymają pisemne zawiadomienie.

Przewiduje się szereg nagród pieniężnych konkursowych oraz specjalnych: nagroda I — 20.000, nagroda II — 15.000, nagroda III — 10.000, pięć wyróżnień po 5.000 zł każde oraz nagrody specjalne.

Jury ma prawo innego podziału nagród.

Organizatorzy zapewniają bezpłatne wyżywienie i zakwaterowanie, natomiast koszt transportu oraz koszty podróży pokrywają instytucje patronujące lub osoby indywidualne.

Kartę zgłoszenia należy przesyłać pod adresem: Ośrodek Kultury Wsi ZMW „Scena Ludowa", ul. Jana III Sobieskiego 5/7, 31-136 Kraków.

ROWY NA KWIETNIKACH

Koniec sierpnia 1939 roku. Coraz częściej mówią o mogącej nastąpić wojnie. Jeszcze w połowie miesiąca, ze względu na bardzo trudną sytuację polityczną i zadrażnienia natury militarnej zostały ściągnięte do miasta przebywające na obozach drużyny harcerskie, którym komendy chorągwi harcerek i harcerzy wyznaczyły specjalne zadania na wypadek konfliktu zbrojnego z Niemcami. Harcerki, które już od 1938 roku obowiązywała działalność w Wojennym Pogotowiu w szybkim tempie przechodziły szkolenie sanitarne, łącznościowe, gospodarcze i opieki nad dzieckiem.

Do chwili wybuchu wojny zorganizowano 10 kursów dla instruktorek sanitarnych, które ukończyło ponad 100 osób. Odbyły się one w Harcerskiej Szkole Instruktorskiej na Buczu oraz w Zakładzie Leczniczo-Wychowawczym w Rabszynie.

W służbie gospodarczej harcerkom przydały się nabyte sprawności: szwaczki, praczki, kucharki, piekarki, trykotarki, guzikarki, krawcowej, biuralistki, itp. Zaczęto organizować punkty dworcowe dla rodzin ewakuowanych z pogranicza, m.in. na dworcach kolejowych Łódź-Kaliska, Łódź-Fabryczna, Widzew i Andrzejów. Na dworcu kolejowym Łódź-Kaliska w przeddzień wojny zorganizowano hotel dla matek z małymi dziećmi. Nawiązano też współpracę z PCK i „Białym Krzyżem".

W czerwcu 1939 roku zostało zorganizowane Wojenne Pogotowie Harcerzy, które miało podobne zadania jak i harcerki, a poza tym starsi harcerze mieli brać udział w ochronie obiektów wojskowych, zaś młodsi w służbie pomocniczej dla wojska.

Pierwszą masową pracą harcerek i harcerzy łódzkich był ich spontaniczny udział w kopaniu rowów przeciwlotniczych. W sobotę 26 sierpnia 1939 r. komisaryczny prezydent miasta inż. Jan Kwapiński wezwał mieszkańców Łodzi do kopania rowów przeciwlotniczych. Miały one być kopane w parkach, na skwerach, wolnych placach i nie zabudowanych posesjach, aby zabezpieczyć mieszkańców miasta przed skutkami nalotów lotniczych. Była to jednak bardzo słaba i problematyczna ochrona.

Na apel ten masowo zgłosiły się harcerki i harcerze.Na placu Wolności pracowały przy tym drużyny 7 i 9 harcerek i 8 ŁD Harcerzy. Kopane były one na kwietnikach wokół pomnika Tadeusza Kościuszki. Praca ta przychodziła stosunkowo łatwo, gdyż pod cienką warstwą czarnej ziemi znajdowały się pokłady żółtego, sypkiego piasku.

Inna grupa harcerska kopała rowy przeciwlotnicze na terenie ogrodu kościoła św. Józefa przy ul. Ogrodowej nr 22. Znajdował się tam niegdyś cmentarz, na którym grzebano zmarłych, zanim przeniesiono tę działalność na nowy cmentarz przy ul. Ogrodowej 72. Kopiący rowy koło kościoła harcerze z 15 ŁDH im. Andrzeja Małkowskiego oraz 8 ŁDH im. Adama Mickiewicza często napotykali na kości ludzkie, a nawet czaszki kobiece z długimi pasmami złocistych włosów.

W czasie rozpoczęcia działań wojennych część harcerzy otrzymała uzbrojenie (stare karabiny pamiętające jeszcze I wojnę światową) i została użyta do służby wartowniczej. 3 ŁDH przy wieży spadochronowej i w budynkach Dowództwa IV Okręgu Korpusu, 36 ŁDH przy ochronie magazynów, 20 ŁDH chroniła budynek starostwa grodzkiego i pełniła w nim służbę łącznikową, zaś zorganizowany w Rudzie Pabianickiej pluton wartowniczy, dowodzony przez Henryka Szczepaniaka chronił mosty na rzekach Ner, Olechówka i Jasień oraz mostu kolejowego przy ul. Pabianickiej. Harcerskie grupy ochraniały lotnisko Lublinek, studnie na Szlenzingu, elektrownie, gazownie i inne punkty na terenie miasta.

MIECZYSŁAW KOZAK

W POWSTANIU WARSZAWSKIM PO TAMTEJ STRONIE BARYKAD

Na ogół wiele wiemy o przebiegu powstania warszawskiego na podstawie polskich materiałów, mniej natomiast z relacji i wspomnień wroga. W pierwszych dniach sierpnia 1944 r., prasa i radio hitlerowskie nie wspomniały o walkach w Warszawie. Ukazały się w kilku gazetach nieliczne drobne wzmianki o „wybrykach band polskich", które zostały na czas uśmierzone. W kilka dni później dopiero, gdy cały świat wiedział już o powstaniu, w prasie hitlerowskiej zaczęto mówić już więcej o powstaniu, ilustrując je doniesieniami korespondentów wojennych.

Niemiecki korespondent wojenny w Warszawie, lejtnant Bruno Wundshammer, notując pierwszy dzień wydarzeń w Warszawie, zaopatrzył je znakiem zapytania:

„Głupia strzelanina... Zaczęło się około 5 po południu w centrum miasta. Zapełniony samochod policyjny pędził właśnie ze śródmieścia do posterunków podmiejskich. Wskutek strzałów, jakie padły, zginęła jadąca drużyna".

Niebawem Bruno Wundshammer otrzymał odpowiedź na pytanie, jakie sobie zadawał, a na pewno jakie zadawało sobie w tej chwili równie wielu innych Niemców, okupujących stolicę Polski:

„Wkrótce huczało we wszystkich kątach i na wszystkich krańcach Warszawy — pisał w swej kolejnej korespondencji. — *Powstańcy dali swym oddziałom szturmowym błyskawiczną osłonę ogniową z domów, i zaryglowali ogniem zaporowym całe dzielnice, nie zważając na ludność cywilną".*

Kiedy lejtnant Wundshammer miał już właściwe rozeznanie, że to nie żadna *„głupia strzelanina"*, nie miał go jeszcze generalny gubernator Hans Frank, rezydujący w Krakowie. Dla pewności jednak kilkakrotnie łączył się z główną kwaterą Adolfa Hitlera w Kętrzynie, dzwonił do Berlina i do siedziby Heinricha Himmlera, prosząc o możliwie szybką pomoc. Szefowi sztabu generalnego Heinzowi Guderianowi, powiedział od razu przy pierwszej rozmowie, iż zależy mu na zlikwidowaniu polskich „rebeliantów".

Dla Heinza Guderiana, który dopiero od kilku dni zajmował wysokie stanowisko w kwaterze głównej fuehrera, po zmianach, jakie tam wprowadził, w wyniku dokonanego nań zamachu z 20 lipca 1944 r., nie było to wcale takie proste.

„Podczas gdy na lewym skrzydle rozległego frontu — napisał Guderian później w swoich memuarach — *dokonywały się ważne przegrupowania i toczyły zacięte boje, a w rejonie na wschód od Warszawy feldmarszałek Model, biorąc osobiście udział w walkach zatrzymał cofający się front grupy armii „Środek" — powstanie Polaków w Warszawie stwarzało bezpośrednio na naszym froncie wiele niezwykłych, groźnych niebezpieczeństw".*

Lejtnant Bruno Wundshammer pragnąc tymczasem wytłumaczyć przykrości, jakie spotkały niemiecką siłę zbrojną w Warszawie, tak raportował swym prasowym szefom:

„Powstańcy w niespodziewanym ataku zdobyli jeden ze składów mundurów SS, a przede wszystkim hełmów stalowych. Z szybkością błyskawicy ludzie AK zamienili się w żołnierzy niemieckich, by następnie zatrzymywać nie przeczuwających niczego kierowców niemieckich samochodów ciężarowych i zabierać ładunek, jako zdobycz. Niemiecki samochód pancerny został zatrzymany przez ludzi SS, a załoga wybita. Wskutek takich podstępnych metod walki wpadł w ręce buntowników już w pierwszych godzinach walki wielki zapas broni, amunicji i żywności".

Ani słowem nie ma w meldunku Wundshammera o biało-czerwonych opaskach, jakie wszyscy powstańcy od pierwszej chwili rozpoczęcia walki nosili na rękach i na hełmach, co — jak wiadomo —. łączyło się ze sprawą uzyskania praw kombatanckich. Niemiecki korespondent wojenny z Warszawy musiał jednak jakoś wytłumaczyć zaskoczenie, mimo pełnego pogotowia hitlerowców.

„Warszawa przybrała już od dawna pod niemieckim zarządem widok pokojowy — pisał dalej lejtnant Bruno Wundshammer. — *Szkody wojenne z 1939 r. zostały dawno zapomniane. W sklepach było pod dostatkiem towarów, a nielegalny handel umożliwiał nabycie nawet kosztowności i łakoci. Wyżywienie ludności polskiej było lepsze niż nawet wyżywienie Niemców. Pracy było dosyć i kto chciał, mógł się wzbogacić a dawni właściciele zatrzymali swój dobytek...".*

Słowem — sielanka. Nic o łapankach, deportacjach, egzekucjach publicznych i skrytych, o przepełnionych więzieniach, godzinie policyjnej, zamknięciu szkół, instytucji polskich itp.

3 sierpnia 1944 r. gubernator Hans Frank ponowił naciski telefoniczne na Heinza Guderiana. Kilkakrotnie łączył się z Kętrzynem, a ostatnią rozmowę przeprowadził z nim tego dnia o godzinie 21.10 wieczorem:

Frank: — *Usilnie jeszcze raz proszę pana generała pułkownika o pomoc dla miasta Warszawy!*

Guderian: — *Opanujemy sytuację w Warszawie najsilniejszymi środkami, jakie mamy w ogóle do dyspozycji. Silny pułk policji wyruszy natychmiast z Wrocławia. Oprócz tego będą wysłane dalsze oddziały SS, policji i wojska.*

Frank: — *Podkreślam z naciskiem, panie generale pułkowniku, że sytuacja w Warszawie jest niezwykle poważna. Poważniejsza, aniżeli to dotąd przypuszczaliśmy.*

Guderian: — *Mogę pana generalnego gubernatora zapewnić, że i mnie sytuacja w Warszawie jest znana. Może pan, panie gubernatorze generalny, polegać na tym, co już powiedziałem: zostanie zrobione wszystko, co tylko jest w ludzkiej mocy, aby pomóc Warszawie. Lotnictwo będzie jednak mogło wystąpić przeciwko powstańcom dopiero po wyjaśnieniu sytuacji. Kiedy stanie się wiadomo, które dzielnice Warszawy są w rękach niemieckich, a które opanowali powstańcy. Fuehrer zdecydował, że na Warszawie zostanie później wykonany wyrok z całą surowością. Poza tym mogę pana generalnego gubernatora powiadomić, iż nadal duże ilości wojsk będą się posuwać ku wschodowi i według mojego przekonania, w następstwie naszego kontrataku sytuacja zostanie już wkrótce w ogóle wyjaśniona.*

Po tej rozmowie Hans Frank połączył się z dr Josephem Buehlerem, szefem tak zwanego rządu Generalnej Guberni, a następnie z gubernatorem warszawskim dr Ludwigiem Fischerem. Obu poinformował o treści rozmowy oraz o rozmowach, jakie poprzednio przeprowadził telefonicznie z Heinrichem Himmlerem i innymi dygnitarzami hitlerowskimi. Na zakończenie dodał, mocno podkreślając:

„Fuehrer wydał ścisły rozkaz przyjścia Warszawie z bezwzględną odsieczą i to tak szybko, jak tylko jest możliwe. Proszę pana gubernatora o zakomunikowanie rozkazu fuehrera generałowi Stehelowi".

Generał lotnictwa Reiner Stehel był osaczony w jednym z gmachów Warszawy, Ludwig Fischer uzyskał jednak z nim połączenie telefoniczne.

„Zadanie stłumienia powstania — pisał Heinz Guderian w swoich pamiętnikach — *otrzymał reichsfuehrer SS Himmler, który ze swej strony wyznaczył w tym celu gruppenfuehrera von dem Bacha Zelewskiego i pewną ilość oddziałów SD i policji. Walkę z powstańcami, która ciągnęła się długie tygodnie, prowadzono z dużą bezwzględnością. Dyscyplina w oddziałach esesowskich nie była jednak wolna od zarzutów: brygada Kamińskiego składała się na przykład z byłych jeńców wojennych (...), brygada Dirlewangera z warunkowo wypuszczonych z więzień niemieckich przestępców kryminalnych. Gdy te wątpliwe elementy zostały uwikłane w walki, toczone o każdą ulicę i każdy dom, w nieubłagany bój na śmierć i życie, odpadły dla nich ostatnie moralne hamulce. Von dem Bach składając mi któregoś dnia raport dotyczący spraw uzbrojenia, sam opowiadał o ekscesach swoich podwładnych, których nie był w stanie opanować...".*

5 sierpnia 1944 r. Hans Frank urzędował w Krzeszowicach, w pałacu Potockich, gdzie urządził sobie podmiejską rezydencję. Kilkakrotnie w ciągu dnia rozmawiał z Ludwigiem Fischerem, który relacjonował mu obraz sytuacji w Warszawie. Po tej rozmowie gubernator generalny podyktował sekretarce raport do hitlerowskiego ministra Lammeraa w Berlinie. Cytujemy za „Dziennikiem" Hansa Franka:

„Jak wynika ze sprawozdania gubernatora dra Fischera, sytuacja w Warszawie nie uległa jeszcze w dniu dzisiejszym zmianie. Oddziały niemieckiej odsieczy rozpoczęły akcję bojową dziś rano o godzinie 10 w trzech punktach po wewnętrznej stronie miasta. Skutków tego działania wewnątrz miasta na terenie otoczonym barykadami nie można jeszcze potwierdzić. Największym zasięgiem niemieckim jest kompleks gmachów wokół placu Adolfa Hitlera, obejmujący budynki służbowe gubernatora, komendanta bojowego generała dra Stehela, Hotel Europejski, Hotel Bristol i Deutsches Haus. Wokół tego zasięgu powstańcy wybudowali silne barykady, z których nas ostrzeliwują. Prawie wszystkie dzielnice Warszawy stoją w płomieniach. Doszczętne spalenie domów będzie najlepszym środkiem, który zapobiegnie używaniu ich przez rebeliantów jako schronów (...). Po tym powstaniu i jego zdławieniu Warszawę spotka los, na który w pełni zasłużyła. Zostanie kompletnie zniesiona z powierzchni ziemi"

A teraz przejdźmy do materiałów, może mniej oficjalnych — doniesień oficerów hitlerowskich z pola walki.

„Der Angriff" w relacji pt. „Walka pod ziemią", pióra członka SS Heinza Wuttiga tak opisuje walki w Warszawie:

„Tutaj szaleje wojna z taką dzikością, jakiej żołnierz niemiecki nie przeżywał chyba od czasu dni stalingradzkich. Całymi dniami grupa bojowa Reinefartha utrzymuje pod ogniem ciężkich dział kompleks zabudowań banku przy ulicy Bielańskiej, przy czym front budynku wynosi tylko 250 metrów. Miotacze, meisery i ciężkie działa swymi najcięższymi pociskami porozdzierały w strzępy grube żelbetonowe mury, ciężkie bomby lotnicze poniszczyły podwórza, a czołgi, goliaty, działa szturmowe, artyleria przeciwpancerna i ciężkie karabiny maszynowe przepędziły obrońców swym morderczym ogniem z górnych pięter, ale w bogato rozgałęzionych piwnicach, w licznych podziemnych gankach, szaleje bój nadal, nawet wtedy jeszcze, gdy duży gmach zamienia się w jedną kupę gruzów, nad którymi unosi się stale chmura dymu i kurzu...

Dopiero, gdy do ostatecznego ataku idą oddziały Wehrmachtu, SS, policji i żandarmerii oraz batalion miotaczy płomieni, udaje się grenadierom wtargnąć do wnętrza podziemnego labiryntu i zameldować dowódcy odcinka pułkownikowi Schmidtowi o zajęciu ruin (...).

Zdawało się, że już cały gmach jest ostatecznie w naszych rękach, gdy wtem (...)z nie odkrytego szpitala, z jakiejś nie skontrolowanej luki piwnicznej zaczynają grenadierom sykać koło uszu pociski (...).

A więc jeszcze raz do piwnic!".

Inny sprawozdawca w organie gestapo „Der schwarze Korps" w relacji podpisanej „A. M." podaje, jak to „bohatersko" walczył z powstańcami batalion policji, wyposażony w najnowocześniejszy sprzęt techniczny, który sprowadzono specjalnie z Niemiec, aby usunąć *„niszczycielski element"* w warszawskiej walce ulicznej:

„Przy zażartym oporze Polaków, centymetr po centymetrze każdego domu, każdego okna piwnicznego i każdej grupki gruzów, którzy wgryzają się w każdą dziurę, czyniąc z niej szaniec dla swoich strzelców, grenadierzy kończą swą robotę. W kretowiskach za nimi nie pozostał przy życiu już żaden powstaniec".

Potem następuje szczegółowy opis barbarzyńskiego spalenia żywcem kilkudziesięciu osób, które szukały schronienia w dwóch największych piwnicach przy ulicy Franciszkańskiej:

„Już obie piwnice są dokładnie wyczyszczone ogniem miotaczy płomieni. Wszystko, co żyło za barykadą, przestało już istnieć".

Takie są relacje wroga o powstaniu warszawskim. Przypominają tragiczny a zarazem bohaterski moment naszej historii, w relacji tych, którzy stali z tamtej — przeciwnej strony barykad warszawskich w pamiętnych dniach sierpnia 1944 r.

FRANCISZEK ŁEWANDOWSKI

„LEKCJA WYCHOWANIA OBYWATELSKIEGO"

W związku z artykułem zamieszczonym w nr 30 z dn. 26 lipca 1986 r. pt. „Lekcja wychowania obywatelskiego" Urząd Miasta Łodzi, Kuratorium Oświaty i Wychowania uprzejmie wyjaśnia:

1) budowa Szkoły Podstawowej w Woli Zaradzyńskiej.

W celu rozwiązania problemu bazy lokalowej oświaty w gminie Pabianice, podjęta została budowa Zbiorczej Szkoły Podstawowej w Ksawerowie o 32 pom. do nauki, przedszkola na 180 miejsc oraz budynku mieszkalnego dla 12 rodzin nauczycielskich. Program użytkowy szkoły obejmował także naukę dzieci klas IV—VIII z Woli Zaradzyńskiej (połączonej z Ksawerowem dobrym układem drogowym i leżącej w odległości 2 km od tej miejscowości).

Koszt budowy szkoły wyniesie w cenach 1985 r. 446 mln zł. W porozumieniu z władzami gminy Pabianice ustalono, że w szkołach okolicznych (m. in. w Woli Zaradzyńskiej) będą organizowane klasy I—III i oddziały przedszkolne.

Na takie rozwiązanie organizacyjne nie chcieli wyrazić zgody rodzice dzieci z Woli Zaradzyńskiej, którzy w 1985 r. zawiązali Społeczny Komitet Budowy Szkoły. Opracowany przez nich program rozbudowy i modernizacji szkolnego budynku przewidywał wybudowanie 10 pomieszczeń do nauki, sali gimnastycznej oraz węzła żywnościowego. Koszt tej inwestycji określa się na ok. 100 mln zł. Rodzice zadeklarowali udział w postaci robocizny i środków finansowych w wysokości 11 mln 230 tys. zł.

Dokumentację zlecono do Zespołu Projektowego PGR. Koszty jej opracowania (ok. 2 mln zł) poniósł Urząd Gminy Pabianice. Opracowany projekt techniczny na rozbudowę szkoły zawierał szereg błędnych rozwiązań, które zostały wykazane przez Zespół Rzeczoznawców ds. Opiniowania Projektów Inwestycyjnych przy Wojewódzkiej Komisji Planowania. Z tego powodu Wydział Architektury i Nadzoru Budowlanego Urzędu Miasta Łodzi nie mógł wydać pozwolenia na budowę.

Zostanie ono wydane natychmiast po uzupełnieniu i skorygowaniu dokumentacji przez biuro projektów.

Budowa Szkoły Podstawowej w Woli Zaradzyńskiej wykazuje, że nie wystarczą tylko chęci, by tak dużą inwestycję realizować. Konieczne jest przygotowanie od strony dokumentacyjnej, finansowej i materiałowej. Nie będzie wówczas rozgoryczenia i zamrożenia inicjatywy społecznej, która tak bardzo oświacie jest potrzebna.

2. Budowa Szkoły Podstawowej w Ksawerowie.

Dokumentacja na budowę tej szkoły została przekazana wykonawcom ŁKB „Południe". Na plac budowy wprowadzono Kombinat w dniu 15.08.1985 r. Wymagana przez wykonawcę linia energetyczna zasilająca plac budowy została doprowadzona w IV kwartale 1985 r. Uziemienie linii miał wykonać ŁKB „Południe". Ostatecznie roboty te zrealizował inwestor, Dyrekcja Inwestycji Miejskich Nr I, i jak stwierdził w dniu 26.06.1986 roku przedstawiciel ŁKB „Południe" nie ma już żadnych przeszkód, aby inwestycja była kontynuowana.

Wicekurator Oświaty i Wychowania
mgr EDMUND WAWRZYŃSKI

W rozmowie z brazylijskim dominikaninem, Frei Betto, której fragmenty przedrukowaliśmy w dwóch kolejnych numerach „Odgłosów", Fidel Castro wspomniał o wyczynach Torquemady i Świętej Inkwizycji. Warto wobec tego przypomnieć, jak funkcjonowała i za co karała ludzi ta ponura instytucja kościelna. Bardzo interesująco pisze na ten temat Hermann Kesten. Przedrukowujemy fragment jego książki pt. „Ferdynand i Izabela".

W lochach klasztoru Św. Pawła

W obszernych lochach dominikańskiego klasztoru Św. Pawła tłoczyli się więźniowie inkwizycji: młodzież, starcy, kobiety, dziewczęta, dzieci, wspaniałe zgromadzenie. Byli to sami chrześcijanie, przeważnie bogaci, eleganccy mieszkańcy Sewilli. Tutaj, na zgniłej słomie i na nagiej kamiennej posadzce leżeli pokotem katolicy i neofici, hrabiowie, milionerzy, wzbogacone kokoty, zamożni urzędnicy magistraccy, majętne wdowy, bogaci spadkobiercy, biskupi, zakonnicy. Tłoczyli się coraz ciaśniej, co dzień przybywali nowi. Tygodniami, miesiącami leżeli aresztowani. O tym, że są winni, dowiadywali się dopiero w więzieniu. Nikt nie wiedział, o co ich obwiniają. Nikt nie widział żadnego świadka, nie znał nazwiska oskarżyciela, nikt nie otrzymywał obrońcy, dowiadywał się tylko głównych punktów oskarżenia. Grupami prowadzono ich do sali tortur. Pozostali słyszeli przeraźliwe krzyki poprzez wszystkie mury i stropy. Zaczynali mówić bardzo głośno, śpiewać, ryczeć, byleby nie słyszeć tych krzyków. Niektórzy zatykali sobie uszy pięściami. Pachołkowie inkwizycji taszczyli skrwawionych, skatowanych, omdlałych, na pół żywych więźniów śledczych i ciskali ich na wiązkę słomy. Wielu nie wracało w ogóle. Mówiono, że zmarli podczas tortur. Opowiadano, że zostali spaleni. Już płonęły w Sewilli stosy autodafé.

2 stycznia 1481 roku trzej mianowani przez łagodną królową Izabelę dominikanie: Morillo, Martin i Torquemada wydali swój pierwszy edykt. Zaraz po tym uciekło wielu Żydów i chrześcijan do Grenady, do tolerancyjnych Maurów, do Portugalii, do Francji i do Italii, nawet do Rzymu, do papieża. Ci, którzy uciekli pierwsi, byli najmądrzejsi. Uratowali życie i mienie. Onni uciekli do grubego księcia Medina de Sidonia i do dzielnego markiza Kadyksu, wielkich opiekunów neochrześcijan. Tym to królom prowincji nakazali inkwizytorzy wydać wszystkich uciekinierów razem z ich mieniem Świętemu Urzędowi Inkwizycji... w przeciągu... pod karą...

Pierwszy edykt został wydany 2 stycznia. Już dnia 6 stycznia spalono sześciu kacerzy. Lochy klasztoru Św. Pawła ledwo mogły pomieścić więźniów. Dnia 7 stycznia wydano drugi edykt przeciwko kacerzom, edykt łaski:

„Kto, powodowany szczerą skruchą, przyjdzie dobrowlnie i będzie zdecydowanie żałował za swe grzechy, ten otrzyma absolucję, a jego mienie nie ulegnie konfiskacie. Kacerz, który przepuści termin łaski, lub ten, kto zna kacerzy, a ich nie wydaje, będzie ścigany z całą surowością prawa".

Mieszkańcy Sewilli stracili głowy. Szeptali przerażeni:

— Co to jest kacerstwo? I surowość prawa? Jakiego prawa? Kto jest kacerzem? Co to jest szczera skrucha? I zdecydowany żal?

Jedni uciekali z miasta, inni dygotali ze strachu, większość wzruszała ramionami i myślała, co nas to obchodzi? Niektórzy udawali się do Świętego Urzędu i oświadczali, że żałują za swoje grzechy. Wtrącano ich do więzienia i torturowano. Jeśli byli biedni, wypuszczano ich na wolność, ale tylko wtedy, gdy przysięgli, że zadenuncjują i podadzą stan, adres i rysopis tych wszystkich, o których wiedzieli, czy też podejrzewali, czy też słyszeli, że są kacerzami. Biedacy przysięgali i wymieniali dziesiątki nazwisk, nazwiska wrogów, nazwiska przyjaciół, nazwiska, które wpadły im do głowy. Przyrzekano im denuncjację ich zachować w tajemnicy. Jeśli oskarżali fałszywie, nie ponosili za to żadnej kary. Denuncjowanych aresztowano, brano na tortury, wymuszano na nich nowe denuncjacje, aresztowano nowo denuncjowanych. W lochach inkwizycji leżeli więźniowie jeden obok drugiego, jeden na drugim.

Gdy minęły cztery tygodnie, a wraz z nimi *„termin łask"*, inkwizytorzy wydali swój trzeci edykt:

„Kto w przeciągu trzech dni nie zadenuncjuje wszystkich kacerzy, jakich zna, popełni grzech śmiertelny i ma być ekskomunikowany".

Co dzień wygłaszali inkwizytorzy kazania na temat kacerstwa we wspaniałej katedrze ongi tak wesołego miasta Sewilli.

— Bóg chce, ażeby rozpowszechniana była i utrzymana wiara, iż On istnieje i istnieć będzie aż po wieki wieków. Wstań, Panie, bądź sędzią w swojej własnej sprawie, pojmaj dla nas chytre lisy! Żydostwo — krzyczeli — to źródło kacerstwa. Ten, kto jest chrzczony, a zżydział, jest kacerzem. Poznacie ich po wielu oznakach.

1. Jeśli chrzczony Żyd mówi, że Mesjasz jeszcze nie przybył.

2. Jeśli chrzczony Żyd powraca do religii żydowskiej.

3. Jeśli mówi, że przykazania Mojżeszowe są równie dobre jak słowa Chrystusa.

4. Kto w sabat przywdziewa czystą koszulę i nie rozniecа ognia na ognisku.

(Inkwizytorzy: Torquemada, Morillo i Martin wdrapywali się w sobotę rano na dachy domów sewilskich i zapisywali te, z których kominów wydobywał się dym, jako domy dobrych chrześcijan. A gdzie się nie dymiło, tam już wywąchał czarodziejski nos inkwizycji Żyda, ten zaś natychmiast zostawał wyśledzony i aresztowany).

5. Jeśli ktoś z mięsa zwierzęcego wyciska tłuszcz lub spłukuje krew.

6. Jeśli ktoś ostrze noża, którym zamierza zabić owcę, wypróbowuje na paznokciu.

7. Jeśli w dzień postu je mięso lub jeśli w dzień postu żydowskiego, w Jom Kippur, chodzi boso albo przestaje z Żydami, albo jeśli kładzie rękę na głowie swojego dziecka, a czynność tę rozumieć można jako błogosławieństwo.

8. Jeśli w poniedziałki i czwartki wedle przykazania Mojżeszowego pości.

9. Jeśli obcina paznokcie, a ścinki wrzuca do ognia.

10. Jeśli w czasie Wielkanocy je chleb niekiszony.

11. Jeśli gości przyjmuje w żydowskie święta.

12. Jeśli obchodzi święto świeczek, zwane Chanuka.

13. Jeśli przy stole błogosławi chleb i wino.

14. Jeśli pije wino koszerne.

15 Jeśli zasiada do stołu z Żydami i wraz z nimi jada.

16. Jeśli śpiewa psalmy.

17. Jeśli kobieta przez czternaście dni po urodzeniu dziecka nie chodzi do kościoła.

18. Jeśli syna swego daje obrzezać.

19. Kto nosi imię żydowskie (prawo zaś zabrania Żydom nosić imiona chrześcijańskie).

20. Kto nowo narodzonemu dziecku każe postawić horoskop.

21. Kto ślub bierze wedle rytuału żydowskiego.

22. Jeśli wydaje ucztę dla swych przyjaciół, zanim uda się w daleką podróż.

23. Jeśli umierając odwraca się twarzą do ściany.

24. Jeśli myje zwłoki ciepłą wodą, jeśli ubiera je w świeżą bieliznę, koszulę, pończochy, płaszcz, a pod głowę podkłada woreczek z ziemią lub monetą.

25. Jeśli przemawia do umarłego i sławi jego pamięć.

26. Jeśli smutne wiersze recytuje.

27. Jeśli stawia wodę w dzbanach w domu zmarłego, jeśli zamyka się zasmucony w domu żałoby i ryby i oliwki je zamiast mięsa, aby w ten sposób uczcić pamięć zmarłego. Jeśli zamyka się na cały rok w domu; jeśli zmarłych grzebie na cmentarzu żydowskim.

28. Jeśli jest bogaty.

29. Jeśli jest majętny.

30. Jeśli ma dwóch wrogów, którzy przeciwko niemu świadczą. Jeśli dwóch świadków zezna, że ktoś jest kacerzem, ów spalonym zostanie.

(Tak więc morduje się legalnie swoich wrogów, przy pomocy Kościoła i królów, zaoszczędza sobie pieniędzy i narażania na niebezpieczeństwo. Tak oto pozbywa się konkurentów).

31. Jeśli jest bogaty.

32—99. Jeśli ma pieniądze i jest bogaty.

100—1000. Jeśli nie spodoba się inkwizytorom, królowi lub królowej.

1001—10000. Jeśli królowie potrzebują pieniędzy. (A królowie zawsze potrzebują pieniędzy).

26 marca spalili inkwizytorzy siedemnastu chrześcijan. Tego samego dnia wtrącili trzydziestu trzech chrześcijan do więzienia, 10 kwietnia spalono pięćdziesięciu trzech chrześcijan.

W lochach klasztoru Św. Pawła więźniowie mogli zachować tylko pozycję stojącą. Stali we własnym kale. Fetor był straszliwy. W nocy nie dawano im światła. Mężczyźni, kobiety, podrostki byli sklębieni w jedno. Bili się i zadawali sobie gwałt nawzajem. Kłócili się o każdy kęs chleba. Największe kłótnie wybuchały w grupie najbardziej dystyngowanych i najbogatszych neokatolików lub półkatolików, lub ćwierćkatolików, lub Żydokatolików, tak jak ich rozróżniali niechrześcijańscy inkwizytorzy. Bili się zaciekle w dzień i w nocy, i wymyślali sobie od zdrajców — bogaty Diego de Susan, dziesięciokrotny milioner, jego córka, zwana la hermosa fembra, piękna samica, jego żona, trzy ważne osobistości z zarządu miasta Sewilli, milioner nazwiskiem Fernandez, majordomus katedry, opat Sewilli, nazwiskiem don Roderigo, jego kochanka i paru księży, i kilku radnych miejskich, wszyscy, którzy jednocześnie zostali wtrąceni do więzienia, a teraz wymyślali sobie od zdrajców i durniów i wbijali sobie nawzajem paznokcie w ciało. Ci wszyscy, wielce szanowani mieszkańcy Sewilli, katolicy, ale podejrzani o żydowskie pochodzenie lub o wielkie majątki, zgromadzili się w kościele San Salvador i sprzysięgli się przeciwko inkwizycji. Don Diego de Susan wygłosił przemówienie:

— Czyż my nie jesteśmy najważniejsi w całej Sewilli? Zbierzmy wojsko i pozabijajmy inkwizytorów, gdy przyjdą nas aresztować. Jeden zbierze ludzi, drugi pieniądze, trzeci broń.

Tak postanowili. Lecz piękna córka Diega, zwana la hermosa fembra, wypaplała wszystko swemu kochankowi, chrześcijaninowi, a ten polecił do Torquemady. Spiskowców i piękną marrankę wtrącono do więzienia.

W domu [illegible], majordomusa katedry, znaleziono broń dla stu ludzi. Sześciu mężczyzn i sześć kobiet zostało skazanych na spalenie żywcem. Dowiedzieli się o tym dopiero w dniu autodafé. Pewnej nocy, gdy dwaj mężczyźni, z których jeden zgwałcił la hermosa fembra, zaczęli się dusić nawzajem, i straszliwe krzyki więzionych i katowanych wywoływały wzburzenie wśród ludu Sewilli, inkwizytorzy przyjęli uprzejmą propozycję don Cabrery, markiza de Moya (chrzczonego Żyda, nawiasem mówiąc) i przenieśli więźniów na drugą stronę Gwadalkiwiru, do warownego zamku Triana, w którego rozległych kazamatach bez trudu mogły pomieścić się tysiące pojmanych kacerzy. Tutaj ulokowano więźniów w celach pojedynczych i zbiorowych. Tutaj urządzono sale tortur, a grube mury nie przepuszczały ludzkiego krzyku. Niektóre lochy więzienne znajdowały się w zagłębieniach pod wodą, woda szumiała bezustannie tuż obok nich i nad nimi, a wraz z nimi mieszkały szczury, wielkie, spasione i tłuste.

W takim to lochu leżał Castillo. Nagle usłyszał szczęk, blask pochodni oślepił go na chwilę, zacisnął powieki, ujrzał czerwień przed oczyma i usłyszał jakieś brzęczenie. „Czyżbym już płonął" — przeleciało mu przez myśl. Gdy czyjaś ręka dotknęła go, krzyknął. Lecz zdjęto z niego kajdany. Postawiono go na nogi. Otworzył oczy i ujrzał dwóch zakonników, dominikanów.

— Wody! — poprosił Castillo.

Z chrześcijańską miłością pomogli zakonnicy więźniowi wyjść z ciemnicy, doprowadzili go nieco do porządku i powiedli ostrożnie i łagodnie poprzez liczne korytarze do wielkiego pomieszczenia piwnicznego oświetlonego wieloma świecami. Pośrodku, na krześle siedział inkwizytor Torquemada. Z lewej i prawej strony pracowało dwunastu pachołków, torturujących kilku mężczyzn i kilka kobiet z zapałem i w milczeniu. Dwóch z nich rozciągało na desce najeżonej gwoździami jakiegoś nagiego starszego człowieka. Castillo, któremu jego eskorta nie broniła rozglądać się dokoła, poznał w tym wyjącym z bólu człowieku starego don Diega de Susana; był to jeden z najbogatszych obywateli Sewilli, znany jako ojciec przepięknej córki i jako zapalony kolekcjoner obrazów. Teraz inkwizycja malowała obraz na jego tłustych plecach.

Toż obok dwaj inni pachołkowie zadawali tortury przepięknej, nagiej dziewczynie, rozciągniętej na desce ruchomej pochylni. Był to wesoły widok; nieskazitelne w swych kształtach ciało dziewczęce huśtające się na pochylni. Castillo rozpoznał w dziewczynie słynną la hermosa fembra. Mimo iż temu pięknemu ciału zadawano gwałt, bił od niego urok. Nieszczęśliwa dziewczyna krzyczała, bynajmniej nie melodyjnie. Castillo rozpoznał również majordomusa katedry, don Fernandeza, którego rozpinano na drabinie, używanej jako narzędzie tortur. Don Fernandez ryczał jak zwierz. Nad torturowanymi stali mnich i pisarz. Po każdej torturze mnich prosił błagalnie:

— Przyznaj się, bracie — lub — przyznaj się, siostro w Chrystusie. Ulżyj swemu sercu, wybiel swoje grzechy. Żałujesz? A więc przyznaj się! Mówiłeś, że i Żyd może być porządnym człowiekiem? Wyznaj straszliwy grzech. Nie jadłeś w czwartek mięsa? Przyznaj się! Przemawiałeś do twej umarłej ciotki? Mówiłeś jej: Biada! Byłaś dobrą ciotką! Przyznaj się. A twoja matka czyż nie była pochowana w czystej koszuli? Przyznaj się! Jadłeś obiad z Żydem don Izaakiem Abravanelem?

— Tak! — krzyknął torturowany. *— Jadłem obiad z Żydem!*

— A więc jesteś nikczemny! Podpisz!

I torturowany podpisywał to, co mu pisarz podsunął. Torturowani nie czytają. Podpisywał na siebie wyrok śmierci w płomieniach. Zostanie spalony za to, że siedział przy jednym stole z Żydem. A prócz tego — on ma dziesięć milionów. Pieniędzmi podzielą się król i dobrzy dominikanie. Król weźmie je do kasy swojej, inkwizytorzy na swoje wydatki.

Castillo uśmiechnął się drwiąco. Poczuł na sobie spojrzenie Torquemady. Podeszli do niego mnich i pisarz.

— Przyznajesz się, Castillo?

— Ja nie zgrzeszyłem.

— Jesteś kacerzem. Mamy na to dowody.

— Łżecie!

— Więc nie chcesz się przyznać?

— To wy jesteście grzesznicy! — wykrzyknął Castillo.

— Brać go na tortury! — rozkazał Tarquemada.

Zbliżyło się do niego dwóch pachołków. Jeden z nich powiedział:

— Rozbierz się!

Castillo z trudem ściągnął z siebie zaskorupiałą koszulę i pończochy. Stał nagi i drżący. Nie mógł pohamować drżenia. Jego starcze, pomarszczone, wychudłe ciało było całe w sinych, zielonych i czerwonych pręgach. Strupy pokrywały rany. Ręce zwisały mu bezładnie.

Pachołkowie chwycili go łagodnie pod pachy i wsadzili mu dłonie w kluby. Castillo zacisnął zęby, pachołkowie przykręcili śrubę, spod paznokci trysnęła krew. Castillo nie krzyczał.

— Spowiadaj się, drogi bracie! — prosił mnich, pełen chrześcijańskiej miłości.

Pisarz powtórzył zimnymi wargami:

— Wyspowiadajcie się, senor! — i już zabierał się do pisania.

Castillo nie otworzył jeszcze ust.

Pachołkowie ułożyli starca na podłodze, ostrożnie, bez jakiegokolwiek zbytniego okrucieństwa. Castillo patrzył w twarze pachołków, którzy wykonywali na nim swą ciężką pracę, z osobliwą ciekawością literata, z ciekawością, która niekiedy sięga aż do granicy świadomości, aż do najdalszych granic życia. Castillo patrzył na swoich dręczycieli. To zwykli ludzie, o spokojnych, obojętnych, prawie dobrodusznych twarzach, nawet niezbyt silnie zbudowani. Przywiązali go do narzędzia tortur, była to deska do rozciągania, aż stawy mu zatrzeszczały, jak gdyby miał się rozerwać. Castillo nie odrywał oczu od ich twarzy. Jednemu z pachołków katowskich to skupione, świdrujące, prawie obłędne spojrzenie wydało się uprzykrzone. Machnął ręką, jakby chciał to natarczywe spojrzenie odgonić jak natrętną muchę. Innych torturowanych wyprowadzono.

Pozbawieni zajęcia pachołkowie katowscy, pisarz i zakonnicy przybliżyli się i przypatrywali z czysto naukowym zainteresowaniem walce inkwizycji z nerwową odpornością krnąbrnego starca. Dlaczego ten staruch nie krzyczy, tak jak się tego po nim spodziewano? Dlaczego nie wyznaje grzechów? Pachołkowie spojrzeli na mnicha, który miał wymusić zeznania na Castillu. Mnich spojrzał na Torquemadę, który w swoim habicie dominikańskim, oblanym pełgającym, mdłym blaskiem świec, siedział na krześle spokojnie, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, w pozie wyrażającej łagodne wyczekiwanie. (...)

Torquemada wyciągnął w milczeniu zgięty palec i wskazał na płonącą wiązkę chrustu w kącie piwnicy. Jeden z pachołków wziął na żelazną szuflę garść płonącego chrustu i przytknął ją do obnażonych stóp Castilla. Po chwili szerzyć się począł straszliwy odór przyżeganej skóry ludzkiej. Castillo zawył jak zwierzę. Wył falsetem, obcym, wysokim, przenikliwym głosem. Źrenice jego utraciły poprzednią drętwotę i poruszały się po przekrwionych białkach groźnie, jak gdyby gotowe do miotania pocisków. Kiedy ryk jego przeszedł w skomlenie, przypominające miauczenie kota, inkwizytor dał znak i pachołkowie cofnęli się z płonącym chrustem. Delikatnie, lekkimi, wyszkolonymi ruchami posmarowali łagodzącą maścią dymiące stopy starca, przy czym on zawył jeszcze głośniej, spryskali zimną wodą z octem jego siwą głowę, poszczypali go w chude ramiona i pełni miłości chrześcijańskiej wlali mu do ust parę kropli wina xeres. Kronikarz nadworny wrócił do siebie. Zaczął mamrotać, westchnął parę razy głęboko, łzy ciekły mu nieprzerwanie po policzkach dwoma strumieniami, jego wychudłe, umęczone ciało dygotało, z nosa sączył mu się śluz, nawet trochę uryny pociekło po nogach; wyglądał jak zbity, skopany pies. Grzeszna duma kacerzy opuściła go. Wydawało się, że jest gotów do pokuty i skruchy chrześcijańskiej. Na znak dany przez Torquemadę pachołkowie podnieśli go i usadowili w wygodnym fotelu, naprzeciwko inkwizytora, poranione stopy umieścili na drewnianym podnóżku. Torquemada spoglądał na kacerza łagodnie. Po chwili zaczął:

— Sprawiedliwość i miłosierdzie zasiadają tu, na tym stolcu Świętego Urzędu. Od ciebie zależy, czy przyznasz się do winy, czy będziesz błagał o przebaczenie i czy pojednasz się z Bogiem i z Kościołem. Jeśli tak uczynisz, występek twój zmieni się w grzech, a kara w pokutę. Będziesz pościł, modlił się, umartwiał. Będziesz śpiewał psalmy, spowiadał się z grzechów, słuchał mszy świętej, będziesz uprawiał rekolekcje duchowe, a wówczas może cię rozgrzeszą, może Święty Urząd w swej niedoścignionej łagodności nie skarze cię na spalenie żywcem, lecz wyświadczy ci „łaskę konopną" i najpierw zostaniesz uduszony, a potem dopiero spalony. Pamiętaj o zbawieniu swej duszy. (...)

Castillo westchnął. Stopy paliły go jak ogniem piekielnym. Przed oczyma rozpływały się koła ogniste. Oczy wciąż jeszcze łzawiły. Otarł usta. Na dłoni ukazała się krew. Gdy Castillo ujrzał krew na swej dłoni, uśmiechnął się. Zapytał:

— Czym mogę służyć waszej ekscelencji? — i zemdlał.

— Chcecie — zapytał Torquemada — *podać nazwiska waszych wspólspiskowców i wszystkich znanych wam kacerzy?*

— A więc oskarżają mnie o spisek i o kacerstwo? — zapytał Castillo.

— Jeśli zgodzicie się zadenuncjować wiele nazwisk, będziemy dla was łaskawi.

— Donosiciel! — syknął Castillo.

— Nie — odparł Torquemada, tonem łagodnie pouczającym *— tylko dobry katolik!*

— A więc dobrzy katolicy to donosiciele! — wykrzyknął Castillo.

Spojrzenie jego padło na pisarza, który pilnie notował. Zebrało mu się na mdłości.

— Czego chcecie ode mnie, Torquemado? Każcie mnie spalić! Mam dość. To wy jesteście antychrystem. To wy jesteście szatanem. To wy niszczycie Kościół, wiarę i Boga! Wmawiacie sobie, że walczycie dla Chrystusa, a okradacie pół narodu dla Ferdynanda i Izabeli! Ferdynand jest obłędnie chciwy na pieniądze, a Izabela zaślepiona — dzięki wam i innym niegodnym sługom Kościoła! Święty Ojciec w Rzymie dąży do ziemskiej władzy i do ziemskich dóbr. Dobrze zarobi na inkwizycji. I wy dobrze zarobicie, bracie Torquemado, wzbogacicie się, a wasze sumienie będzie czyste. Gromadzicie dla Boga. Nie jesteście złym człowiekiem, bracie. Jesteście tak samo pomylony jak królowa Izabela Kastylijska. Jedna połowa ludzkości jest zła, a druga szalona! To wy zgasicie światło płonące w ciemnościach. Żal mi tego światła, bracie Torquemado! Żal mi Hiszpanii. Żal mi chrześcijan!

— Widzicie — odparł Torquemada przyjaźnie *— a więc przyznajecie się. Tylko wymieńcie jeszcze nazwiska waszych przyjaciół. Wymieńcie nazwiska pozostałych kacerzy także, abyśmy nie musieli torturować was więcej; albowiem wasze cierpienia są naszymi cierpieniami, wasz ból jest naszym bólem, wasz grzech jest naszym grzechem. Spowiadajcie się, pokutujcie, pojednajcie się z Bogiem, bracie!*

— Dobrze, uczynię to — oznajmił nagle kronikarz Castillo poruszony *— wymienię wszystkie nazwiska Widzę, że i tak wiecie wszystko!*

— Wszystko! — powtórzył Torquemada.

— Kacerzami i Żydami są — zaczął Castillo *— markiz Kadyksu, Juan Ponce de León, który ma za żonę Żydówkę. Książę de Medina Sidonia, którego matka była Żydówką. Kardynał Mendoza, którego babka była Żydówką. Arcybiskup Carillo, który otacza się czarnoksiężnikami i nekromantami. Hrabiowie Luna. Książę Escalony, Juan Pacheco. Wielki mistrz Calatravy, don Giron. Książę de Villa Hermosa, brat króla; admirał Henriquez, dziadek Ferdynanda. Spowiednik Izabeli, Talavera. Kronikarz Pulgar, inkwizytor Torquemada, bluźnierca i potomek żydowski, który pości w poniedziałki i czwartki...*

Torquemada dał znak pachołkom, podnieśli starego Castilla wraz ze stołkiem, na którym siedział, i wynieśli go z sali.

LUDWIK GEBEL

Rikszą, pociągiem i autobusem po Azji

Pomimo odległości, znacznie większych niż odległość od Uralu do Gibraltaru, nigdy nie dłużyła nam się podróż po Azji, poprzez Tajlandię, Malazję, Singapur, Indonezję, Nepal i Indie. Inni ludzie, inne zwyczaje, inne — nawet pociągi.

W wagonie 3 klasy pociągu osobowego z Bangkoku do Ayuthya'i uwijają się kelnerzy. W oknach — podwieszone żaluzje i szyby dające opuścić się do połowy. Kamienie spod podkładów wystrzeliwują w podłogę.

POŚPIESZNY DO PHITSANULOK

długi czas jedzie z szybkością tramwaju do Aleksandrowa. I długi czas mija, nim znikną konduktorzy i policjanci z koltami przy udach, ustępując miejsca kelnerom. Ci serwują ciepłe posiłki oraz napoje: Fanty, Spirit i Coca-Colę. Wszyscy pasażerowie otrzymują na czas podróży nieskazitelnie białe ręczniki frote.

Następnego dnia wieczorem, gdy zajadamy się na peronie, podzielonym na pięć części, dziesięciokilogramowym arbuzem, przetarłszy go uprzednio spirytusem w obawie przed amebą, zatrzymuje się kolejny pociąg. Podbiegają czysto ubrani kolejarze z gąbkami na kijach i wiadrami szamponu. Jedna ekipa myje okna, druga — myje ściany wagonów błyszczące stalą i granatowymi poprzecznymi pasami. Wsiadamy do sypialnego II klasy z łazienką. Na łóżkach za żółtymi zasłonami — przygotowane ręczniki, tym razem w szczelnych celofanowych opakowaniach.

Po powrocie z dżungli północnej Tajlandii, którą pokonywaliśmy łódką, na słoniach i pieszo i po wzięciu prysznica w „Gościnnym Domu" w Chang Mai, trudno się oprzeć pokusie osobistej konfrontacji z treścią informacji Lech Niekrasza w książce pt. „Tajlandia", że

NAJPIĘKNIEJSZE SĄ KOBIETY

w tym właśnie mieście. Widocznie autor wiedział, gdzie szukać. My wybraliśmy się z przewodnikiem tajskim. Po drugiej stronie kanału odnajdujemy lokaliki nieporównywalne w swej skromności do tych, które widzieliśmy w Bangkoku. Przed ich drzwiami siedzą na krzesłach młodzieńcy. Otwieramy pierwsze drzwi: kilkanaście stolików zajętych przez dziewczęta w białych bluzkach i granatowych spódnicach. W następnym lokalu, nie przypominającym świetlicy szkolnej, odpoczywa dwuosobowa orkiestra przy prawie pustej sali. Kilka znudzonych Tajek w jaskrawych sukienkach okupuje wysokie *stołki przy barku*, kilka innych niczym nie wyróżniających się, tonie w głębokich fotelach przy stolikach.

Za niewielką opłatą, udaje nam się wejść, ukrytymi za barkiem drzwiami, na piętro. Każda z dziewcząt ma tutaj numerowaną pakamerę. Zaglądamy do wewnątrz.

Duszny pokój z jednym oknem, lustro nad etażerką, na podłodze — materac przykryty prześcieradłem, drzwi do łazienki z kranem i ubikacją. Dziwi się Tajczyk, że nikt z nas nie chce pozostać dłużej.

Gdy przechodzimy tędy w ciągu dnia, trudno domyślić się, że jest to dom wszelakiej rozrywki. W oknach zasłonięte żaluzje, brama jak każda inna, w bramie starzy ludzie, a w sieni bawią się dzieci. Nie opodal kram z bluzkami po zniżonych cenach i bistro. Fundujemy sobie znakomity rosół z kurzymi łapami, ryż z przyprawami i Fanty z lodu. Ledwo można się przecisnąć pomiędzy straganami z owocami i stolikami ustawionymi na chodniku, uginającymi się od nadmiaru potraw.

Po zwiedzeniu Wat Phra Singh z XIV wieku i innych watów oraz po podróży po Doi Suthep, gdzie po pokonaniu 300 schodów otoczonych z obu stron rzeźbą świętych węży o kilku głowach buddyści uderzają w liczne dzwony przed świątyniami, spędzamy noc w autokarze z video, by rano znaleźć się znowu w Bangkoku. Nawilżone, pachnące chusteczki, które rozdaje konduktorka, usuwają z twarzy ślady snu.

Na dworcu kolejowym informator podaje nam folder z rozkładem jazdy, w którym zakreślił zielonym flamastrem godzinę wyjazdu, godzinę przyjazdu do Buterworth w Malazji, do Kuala Lumpur i do Singapuru. W Kuala będziemy po nocy, dniu i jeszcze jednej nocy. Trzy tosty, które można zgnieść w jednej ręce, rozszerzają się w żołądku jak gąbka i sycą. Krajowa herbata miętowa gasi pragnienie.

Na liniach południowo-tajlandzkich pociągi jadą szybciej. Za to stoimy 3 godziny na granicy. Za ostatnie dongi kupuję ryż z krewetkami i zagryzam kilogramem mandarynek. Wypełniamy karty przekroczenia granicy. Malazyjki w białych muzułmańskich czapeczkach stemplują paszporty. Celnicy z psami przetrząsają każdy przedział pociągu w poszukiwaniu narkotyków i rewidują Tajów. Wreszcie kręci się znowu śmigło wentylatora i łatwiej znieść tropikalny upał. W ciągu dnia znikają górne łóżka zamykane gdzieś pod sufitem, dolne zamieniają się w fotele.

Wieczorem przesiadamy się w Butterworth do pociągu malazyjskiego. Wagony mają odchylane oparcia. Rezygnujemy z dopłaty do slipingu.

Po przeniesieniu plecaków jesteśmy mokrzy od potu. Trafiamy do supermarketu za dworcem. Przyjemny chłód klimatyzacji. Blask opakowań niezliczonej liczby różnych artykułów spożywczych. Ceny jeszcze wyższe niż w Tajlandii. Wielokrotnie więcej ekspedientek niż kupujących. Jedna z nich odradza zakup plastykowych litrowych butelek Fanty. Poleca soki w 18 opakowaniach w kształcie prostopadłościanów. Wybieram sok z owocu kaktusa. Płacimy mniej niż za Fanty, a w nagrodę za duży zakup, otrzymujemy estetyczny pojemnik na żywność.

Wracamy do pociągu. Z mostu widać bliskie światła wyspy Peneng. Fala ledwo uderza o nabrzeże niedaleko torów. Oświetlony prom zaprasza do przeprawy. Śpimy półleżąc w prawie pustym wagonie.

Wczesnym rankiem w Kuala Lumpur pozostawiamy w przechowalni bagaże i wychodzimy do miasta. Stolica zaskakuje nawet tych z nas, którzy tu byli pięć lat temu. Trafiamy do kompleksu Dayabumi, wybudowanego w maju 1984 roku. Architektoniczne połączenie supernowoczesności z dekoracyjnymi elementami islamistycznymi.

MIASTO W MIEŚCIE.

Klimatyzowane. Labirynt sklepów. Fontanny, Kawiarnie. Restuaracje. Dziewczyna o twarzy miss Azji informuje nas zza stołu recepcyjnego, że na szczyt gmachu wjechać wolno tylko w niedzielę. Uzyskujemy zezwolenie od dowódcy ochrony i w towarzystwie policjanta przenosimy się ruchomymi schodami na 3 piętro, a stamtąd windą, w ciągu kilku sekund na 34 piętro. Jeszcze 3 piętra i jesteśmy na lądowisku helikopterów.

Miasto otoczone górami. W doskonałej z nimi harmonii, wystrzeliwują drapacze chmur wśród rozległych połaci zieleni. Nie widać ulic ze starego planu, kończących się ślepo na kształt zwiniętych węży. Gdzieniegdzie podnoszą się wieżowce pod żurawiami. Większość wysokościowców to banki z całego świata (prawie z całego). Malazyjki — ubrane inaczej aniżeli Tajki. Tamte — po „europejsku", te — często z chustami na głowie, ale bez kwefów. Przeciętnie wyższe, w długich sukniach, poruszają się zgrabniej. Mają ciemniejszą karnację, częściej się uśmiechają.

Zbliża się 8 lutego. W chińskiej dzielnicy — już dekoracje noworoczne. Zwiedzamy miasto do upadłego. Dosłownie. Przed tropikalną burzą siadamy w milczeniu na ławkach największego parku i zasypiamy.

I jeszcze jedna noc z odchylanymi oparciami foteli. Odnajdujemy w dzienniku podróży notatkę: *„Udajemy się w cudowną podróż do Singapuru, z myślą o wyspie Bali"*.

Singapur jest taki jak na prospektach. Mały Nowy Jork pomieszany z niską zabudową urokliwych chińskich dzielnic. Ludzie ubrani znowu „po europejsku". Dużo Hindusów, Chińczyków i mieszańców. W biurze turystycznym znajdujemy foldery zachwalające wycieczki na Mauritius, do Chin (ChRL), do Nowej Zelandii, Ameryki Południowej i do fiordów Norwegii.

W Dżakarcie — duchota, większa niż w innych stolicach Azji. Żar pomieszany z wyziewami spalin, słońce nad samą głową, na przemian z ulewnym deszczem. Jak wszędzie, w tej części Azji — ruch lewostronny. Z autobusów wychylają się „umyślni", wykrzykując co sił w płucach nazwę docelowego przystanku. Wsiąść można wszędzie. W małych ulicach pozdrawiają nas przyjaźnie tubylcy: *„Helo, mister!"* Do brudnej wody kanału skaczą z przęseł mostu nadzy chłopcy. W hotelu „Indonezja" na 6 piętrze, odkryty basen dla białych. W dzielnicy chińskiej w zespole świątyń D Horma Bhahti, w oparach czerwonych, potężnych świec i setek kadzideł — tłum noworoczny i liczni żebracy. Policjant dmucha w gwizdek. Rowerowe riksze przepuszczają limuzynę. Na drzwiach ogromnego meczetu Masjid Istigial — tablica z podpisem prezydenta Suharto pod dwiema datami: 1938 — islam na Jawie oraz 22 II 1978 — otwarcie meczetu.

Z nie tajonym szacunkiem tłumaczą przechodnie jak dojść od Monument Democracy do pomnika prezydenta Sukarno. Niestety, czasu mało. Riksza zatrzymuje się przed wielospecjalistyczną kliniką. Chcemy rozmawiać z dyrektorem Cipto Hondemkusumo. To tak, jakbyśmy „w szpitalu Pirogowa" domagali się rozmowy z doktorem Pirogowem. Wspólnym śmiechem kończy się wyjaśnienie pomyłki. Dyrektora dziś nie ma.

Nie dajemy za wygraną. Z pomocą strażnika z coltem u boku, który mówi *„not problem"*, docieramy do kierownika przychodni akupunktury. Nareszcie — jak w domu. Odnotowuję zadowolenie na twarzy doktora Tse Ching San, gdy na pytanie jaką uznaję szkołę akupunktury, odpowiadam, że zarówno zachodnią, jak starochińską. Otaczają nas młodzi lekarze. Długo rozmawiamy. Wymieniamy doświadczenia z prawdziwym obustronnym zainteresowaniem. Przy pożegnaniu doktor Tse Ching San konstatuje, że i taki improwizowany kontakt jest dla wszystkich niezwykle cenny.

GDZIE KOŃCZY SIĘ DŻAKARTA.

W nieskończoność jedzie się przez coraz to biedniejsze dzielnice, i w końcu — ni to wieś, ni to miasto. Szosa biegnie przy samych slumsach. Z ledwością mijają się dwa autobusy. Zalane wodą mieszkania, w których brodzą dzieci. Ktoś siedzi bezczynnie na krześle stojącym w wodzie. Ktoś myje karoserię samochodu, tak zanurzoną, że kół nie widać. A potem - pola ryżowe, pola i przydrożne bistra. A potem fale morskie prawie liżą asfalt. Po 27 godzinach jazdy autokarem Continental Express i krótkim postoju w Surabaji, czekamy na końcu Jawy na prom, który zabierze 4 autokary na wyspę Bali. Uśmiecha się urocza Indonezyjka i macha ręką na pożegnanie. Z górnego pokładu promu skaczą do morza chłopcy, aby wyłowić rzucane monety.

Plaża jest wąska. Piasek ciemny, zaśmiecony wyrzucanymi przez fale roślinami i skorupiakami. Mało kto leży na słońcu. Większość chroni się w cieniu palm przy basenach licznych hotelików. Czasem zawarczy na plaży motocykl. Wypożyczenie kosztuje 5—7 dolarów dziennie. Podchodzą masażystki w kapeluszach słomianych z cyfrą nad rondem. Patrzą w oczy, jak Cyganki przed wróżbą i przeciągają zachęcająco: *„Masage? Good masa-a-ge"*. Niemal wszystkie „zachodnie Europejki" przebywają bez biustonoszy. Natomiast miejscowemu zwyczajowi chodzenia kobiet z obnażonym tułowiem pozostały wierne na Bali nieliczne staruszki.

By wejść na teren świątyń hinduistycznych w Basabach pod wulkanem Agung, musiałem założyć sarong, który nabyłem na plaży. W krótkich spodniach — nie wolno.

Zaczyna padać. Dzieci wypożyczają, odpłatnie, parasolki. Ostatnia erupcja wulkanu miała miejsce w 1963 roku. XI-wieczne bóstwa hinduistyczne świadczą kolorem popiołu, że przecięte pośrodku kamienne ściany-drzwi stanowiące świątynię uratowały przed lawą pielgrzymów.

W Batubulan oglądamy Barong i taniec z krisem. Połączenie pantomimy, tańca i skeczu w 5 aktach z uwerturą, z udziałem barwnych smoków, duchów dobrych i złych, czarowników, prostych ludzi i jednej małpy. Wzruszają opowiadające o ludzkich nadziejach i tragediach palce i oczy tancerek. Rażą oklaski i śmiech tubylców, gdy prości ludzie zabijają złą małpę, a ta przy rozpruwaniu brzucha demonstruje wzwód członka.

WIECZOREM GRAJĄ CYKADY.

Niewidoczny jaszczur wydaje dźwięki przypominające szczekanie. Bary, restauracje, kawiarnie wabią białych turystów, lecz najczęściej stoliki stoją puste. W jednym z lokali krzesła kamienne — pod wodą basenu, a stoły tuż nad powierzchnią. We wtorki występy tancerek.

Zaczepia mnie dziewczyna na motocyklu. Pokazuje siodełko i proponuje miłość. Ma własny pokój za 25 dolarów. *„Not problem"* — jeśli nie mam pieniędzy. Możemy podjechać pod mój hotel. Zaczeka. Inne pozdrawiają tym indonezyjskim — *„Helo mister!"*.

Rano, na plaży, podchodzi masażystka. Poznaję. Number one. Mówi z żartobliwym wyrzutem, że wczoraj miał być masaż. Otaczają plażowi sprzedawcy sarongów, batików, kostiumów kąpielowych, łyżek z rogu, naszyjników z muszli perłowej, figurek Sziwy na Gerudzie. Zdejmują z głowy tobołki, by wydobyć z nich swój „jedyny" towar. Daleko od tłumu handlarzy, zaprasza nas młoda Balijka do swojej wsi ukrytej wśród palm, 2 kilometry od plaży. Po drodze zrywa jakieś polne owoce o smaku winogron. Zakazany owoc zabija strach przed amebą.

Pod trzcinowym sufitem bardzo czystej chałupy częstuje jeszcze czarną kawą i ciastem. Nigdy nie słyszała o Polsce.

Przed sklepami i barami w Denpasar, na płytach chodnika — kwadratowe miseczki z płatkami kwiatów i odrobiną ryżu dla duchów lub bogów. Posągi bogów o twarzach smoków, ubrane są w spódnice w biało-czarną szachownicę i czapki w białym kolorze.

Po około 2,5 godzinach jazdy z Plaży Cuta autobus wjeżdża na prom. Parkuje w odstępie około 10 cm od sąsiednich autobusów. Tym razem nie wysiadamy. Nie czujemy ruchu promu i gdy autobus wyjeżdża nie wierzymy, że jesteśmy znów na Jawie. Zapada noc. Podziwiamy sprawność kierowcy. Samochody nie zwalniają, najeżdżają na siebie, by w ostatniej chwili, jednocześnie lekko odbić w bok i znowu skręcić z nie zmienioną szybkością na środek wąskiej szosy, tak aby nie najechać pieszego lub rowerzysty. W czasie rzadkich kolizji, żaden z kierowców nie stuka się w czoło.

Natychmiast po zajęciu hoteliku w Dżodżakarcie, z marszu, zdobywamy największą na świecie świątynię buddyjską — Borobodur. Przed wejściem na jej przedpole, policjant zabiera do depozytu torebkę landrynek. Nie wolno jeść w świętym miejscu.7 pięter świątyni z IX wieku. tchnie majestatem wiary na każdym z ganków okrążających jej piramidowy masyw. Na galeryjkach i wewnątrz stup o kształcie odwróconych dzwonów, z wyciętymi w kamieniu pionowymi pasami — setki posągów Buddy. Gdzieniegdzie — puste cokoły lub odłupane głowy. Nie skradzione przez gości z innych kontynentów posągi hinduistyczne, Brahmy, Sziwy i jego żony Durki oraz Wisznu, znajdujemy trzydzieści kilometrów dalej, w świątyniach Loro Dong Kang, również z IX wieku.

Dżodżakarta, stolica autonomicznego okręgu, jawi się nam w wąskich uliczkach artystów — stolicą batiku. Malarstwo na bawełnianym płótnie, z zastosowaniem w cyklu tworzenia wosku, uprawiane jest tu w dziesiątkach atelier. Niektóre dzieła sprzedawane są cudzoziemcom w cenie przekraczającej 100 dolarów.

Pan Kuswadiji, który ma lat 72 i związany jest z uczelnią, odpowiednikiem naszej WSSP, jest autorem monografii pt. „Historia Batiku". Swoje prace wystawiał w Holandii w 1957 roku, później w Berlinie, Monachium, Paryżu.

Wracamy do Dżakarty pociągiem bez klimatyzacji. Na szczęście w nocy nie jest upalnie i można głowę ułożyć na otrzymanym od konduktora materacyku. Dalsza droga samolotami.

Jeszcze jeden rzut oka na Singapur. Uderza czystość miasta. Kobiety eleganckie, dobrze ubrane i z makijażem. Nie ma żebraków i pokładających się na ulicach bezdomnych. Ceny żywności - wysokie. Za dolara singapurskiego kupuję w supermarkecie małe lody. Płacę w kasie, żeton oddają sprzedawczyni, od innej z maską na twarzy jak u chirurga otrzymuję swój zakup.

W jednym z wieżowców kolorowa winda przesuwa się na zewnętrznej ścianie. Stają jak wryty przed domem z angielskim napisem: *„Singapurska Gałąź Światowego Stowarzyszenia Czerwonej Swastyki"* i hitlerowskim hakenkrautzem.

KATHMANDU URZEKA ODRĘBNOŚCIĄ.

Tłum na wąskich uliczkach, święte krowy, riksze pedałowe, nieliczne samochody. Mężczyźni na ogół wysocy, pogodni, często w charakterystycznych czepkach z kolorowymi pasami Przy stromych schodach Świątyni Płodności bawią się małpy, śpią kozy. Mnisi kręcą w ręce młynki modlitewne, inni jedzą palcami jarskie potrawy na metalowych talerzach. Wierni puszczają w ruch wałki w złotym kolorze, przytwierdzone do murów klasztornych, z wyrytymi modlitwami.

Wracając do centrum starego miasta, spotykamy żywą boginię. Ukazuje się na galeryjce świątyni licznym turystom oczekującym na małym dziedzińcu. Ma 7 lat. Wybrana została przez wiernych, gdy miała 4 lata. Pozostanie tu do pierwszej miesiączki. Potem może prowadzić normalny tryb życia, ale faktycznie żaden mężczyzna nie pojmie jej za żonę.

Za pałacem królewskim, idziemy jak we śnie pośród świątyń z trzema coraz mniejszymi dachami i pośród posągów. W tę samą niezwykłość zlewają się mury i budowle Bhaktapur i Patan, w pobliżu stolicy, gdzie czas zatrzymał się na XVII wieku.

Autobus, który nas wiezie do granicy, zwalnia, by przepuścić stado małp. W asfalcie dziury. Pęka pasek klinowy. Z tego powodu, w jakimś osiedlu, przesiadamy się do innego. Trzeba pochylić się, by nie uderzyć głową o dach, Znajdują na nim miejsce pośród bagaży ci, którzy nie zmieścili się wewnątrz. Szosa przechodzi w bitą drogę. Podskakuję na twardym fotelu.

Granicę w Sunarli przekraczamy rikszą. Autobus hinduski jest nieco większy, lecz również zatłoczony i trzeba na każdym przystanku pilnować plecaków na dachu. Opodal przejeżdża pociąg towarowy zapełniony ludźmi stojącymi w otwartych drzwiach i siedzącymi z niezmąconym spokojem po turecku na dachach wagonów.

W Gharapur przesiadamy się do względnie wygodnego pociągu, lecz w Lucknow zaczynają się kłopoty. Brak jest miejscówek do Delhi. Labirynt peronów. Nie dostajemy się do zatłoczonego pociągu.

Jest późny wieczór. Hindus rozkłada 3 płachty przypominające koce jedną na drugiej i kładzie się pod latarnią z książką w ręce. Grupa podróżnych siada w koło w kucki i spożywa kolację. Podchodzi do nich krowa i usiłuje wyrwać z ręki jedzenie. Pomimo, że święta, opędzają się od niej jak od komara.

Nadjeżdża następny pociąg. Posiadamy już informację, że tylko jeden wagon jest bez miejscówek. Niestety, połowę wagonu zajmują żołnierze. Cywile szturmują drugie drzwi wagonu. Juliuszowi udaje się wtargnąć do wewnątrz, z głębi dobywa się jego krzyk, walczy o miejsce. Wdzieramy się wszyscy. Z półki na bagaże podnosi się jakiś dygnitarz kolejowy. Pyta skąd jesteśmy i dokąd jedziemy. Mówi, że na następnej stacji zwolni nam miejsce. Wchodzą żandarmi. Wyrzucają cywilów. Nas pozostawiają w spokoju. Siedzący obok żołnierz trzyma się za policzek. Dajemy mu 2 pabialginy. Jest bardzo wdzięczny. Notuje później nazwę lekarstwa.

Znowu wąskie uliczki starego Delhi. Zatrzymuje się Hindus z barwnie ubraną krową. Ta już nie żebrze. Powolnym krokiem chodzi dokoła właściciela. Bokiem rogu odpędza tłoczących się ludzi. Nad sklepem transparent: *„Mówimy po polsku"*. Rosjanka zdumiewa się skąd Hindus zna język polski? Tłumaczę jej, że od Polaków. Hindus zaprzecza. Mówi, że studiuje nowoczesne języki Europy. Z niekłamaną szczerością, Rosjanka dziwi się, że nie zna rosyjskiego. Zauważam, że Rosja w większej części położona jest w Azji. Łapię się na tym, że w zaciekłej dyspucie zaczynam tłumaczyć z angielskiego na rosyjski. I właśnie w Starym Delhi. dowiaduję się, że akupunktura trafiła już do stolicy. Bogaci Hindusi jeździli kiedyś na zabiegi do Stanów Zjednoczonych. Obecnie dostępna jest wszystkim (!?) w „All India Institute" i tamże prowadzone są również kursy.

■

EUGENIUSZ IWANICKI

Rębacz na pawlaczu

W Łodzi dostawa mięsa i wędlin do sklepów mięsnych odbywa się w nocy. Samochody Okręgowego Przedsiębiorstwa Przemysłu Mięsnego mieszczącego się na ulicy Elektronowej 8 wyjeżdżają przed północą do rzeźni i przetwórni na ulicy Inżynierskiej. Tu zostają załadowane na nie pojemniki już zaplombowane, z załączonymi fakturami. Kierowca oraz dwaj ładowacze rozwożą je do poszczególnych sklepów. Oczywiście tych samochodów jest kilka, ale nas interesuje jeden, którego załoga składała się z kierowcy Stefana A. i ładowaczy Grzegorza S. i Krzysztofa J.

Owej feralnej nocy z 24 na 25 marca 1986 r. z bazy na Elektronowej wyjechali o godzinie 23 minut 45. Załadowanie nastąpiło szybko, co było podyktowane długością trasy, jaką mieli tej nocy pokonać. A wiodła ona tak: sklep mięsny na Dąbrowskiego 91, potem Anczyca 2, Dąbrowskiego 59, Wróblewskiego 54, Felsztyńskiego 20, Obywatelska 67, Piotrkowska 307, Zarzewska 51 i Wólczańska 26. Takie otrzymali adresy, pod które należało dostarczyć pojemniki z mięsem i wędliną. Sklepy mięsne przyjmujące towar w nocy mają wydzielone specjalne pomieszczenie, do którego klucze posiada kierownik sklepu oraz załoga samochodu dostawczego. Normalnie wygląda to tak, że samochód podjeżdża pod drzwi sklepu, któryś z konwojentów otwiera je, po czym do środka zostają wniesione pojemniki oraz specyfikacje. Odbywa się to szybko i zazwyczaj sprawnie. Konwojent lub kierowca zamykają następnie drzwi na klucz i jadą do następnego sklepu.

Skoro już znamy procedurę dostaw przenieśmy się przeto do sklepu miesnego mieszczącego się na ulicy Dąbrowskiego 59, gdzie kierowniczką jest Jadwiga G. i gdzie są zatrudnione dwie sprzedawczynie oraz mężczyzna w charakterze rębacza. Za całość materialną odpowiedzialność ponosi jednak kierowniczka. I oto na początku bieżącego roku Jadwiga G. zauważyła, że coś nie jest w porządku: w sklepie zaczęły występować braki. No cóż, mięso — rzecz kusząca, wystarczy by każda z pracownic wrzuciła do swojej torby parę kiełbasy lub kawałek schabu. Zaczęła więc uważniej obserwować swoich pracowników. Pracowali dobrze, wychodzili bez paczek i toreb. A towar nadal ginął. W lutym 1986 r., któregoś dnia, już pod sam koniec pracy otrzymała dostawę wieprzowiny chińskiej w 4 kartonach po 25 kg każdy oraz 2 pojemniki serwolatki. Ponieważ było już późno i klienci jakoś nie kwapili się do zakupów, więc sprzedała zaledwie małą cząstkę, natomiast resztę dostawy osobiście schowała do chłodni. A kiedy nazajutrz zjawiła się w sklepie, okazało się, że brakuje całego kartonu wieprzowiny! W pierwszej chwili pomyślała, że pewnie omyliła się przyjmując poprzedniego dnia towar. Ale pod koniec tygodnia stwierdziła, że brakuje w sklepie 10 kg wieprzowiny. Już była pewna, że to ktoś z pracowników. Mimo to niedobór pokryła z własnej kieszeni.

19 marca zrobiła tzw. przymiarkę przed remanentem — i znów brak towaru na całe 10 tys. złotych. Już miała tego dość. Wzięła pracownice w obroty, ale te zalewając się łzami twierdziły, że nigdy niczego nie brały. Nawet zgodziły się dla udobruchania pani kierowniczki wyłożyć pieniądze z własnych kieszeni na pokrycie manka. I mimo, że tak uczyniły, Jadwiga G. odesłała je do dyspozycji kadr. Po prostu im nie wierzyła.

Teraz została tylko z rębaczem Sławomirem W., którego obarczono także odpowiedzialnością materialną za ewentualne niedobory. Minęły trzy dni. Jadwiga G. dokonuje kolejnego obliczenia i okazuje się że mięsa i wędlin brakuje na całe 80 tys. zł. Nie wierzy własnym oczom. Jak to się mogło stać? Szybko sprawdza rachunki i dostawy. I tu bomba: brakuje 100 kg szynki! Przestaje cokolwiek rozumieć: personelu już nie ma, ona sama nic nie wynosiła, rębacz także nie, bo taką ilość nie zdołałby przed nią ukryć, a do tego ciąży przecież na nim odpowiedzialność materialna za towar. Można byłoby co prawda winę zwalić na buszujące w nocy duchy, ale czy ktoś w to uwierzy? Zresztą po co duchom wędzona szynka?

I wówczas zrodziło się podejrzenie, że być może kradzieży dokonują konwojenci, kiedy przywożą w nocy dostawy. Tylko jak to robią, skoro mają klucz jedynie do przedsionka, natomiast reszta pomieszczeń jest zamknięta na zupełnie inne kłódki i klucze?

Jadwiga G. zdecydowała się na rzecz ryzykowną: postanowiła urządzić zasadzkę. Rębacz Sławomir W. do spisku dopuścił swojego kolegę, który miał cały czas stać na zewnątrz budynku i obserwować samochód dostawczy, a w razie potrzeby zjawić się, by udzielić ewentualnej pomocy. Tenże kolega zaopatrzył Sławomira W. w kłódkę zatrzaskową. W nocy z 24 na 25 marca 1986 r. Jadwiga G. i rębacz Sławomir W. zjawiają się przed sklepem, otwierają drzwi, wchodzą, a kolega rębacza zamyka za nimi drzwi na kłódki. Jadwiga G. chowa się do szafy przeznaczonej na ubrania, natomiast rębacz włazi na pawlacz znajdujący się w przedsionku, skąd prowadzą zamknięte drzwi do magazynu. Około trzeciej przyjechał samochód. Załoga wozu szybko uporała się z pojemnikami. Rębacz słyszał, jak kierowca Stefan A. i Grzegorz S. kazali trzeciemu mężczyźnie wyjść i usiąść w szoferce i tam na nich zaczekać. Po czym Grzegorz S. zapytał „wchodzimy?", na co otrzymuje odpowiedź „oczywiście". Stefan A. opuszcza pomieszczenie, a Grzegorz S. zdejmuje buty i na palcach wchodzi do pomieszczenia, w którym jest schowana Jadwiga G. Kobieta wstrzymuje oddech, ale Grzegorz S. mija ją, zagląda do w.c. i do łazienki. Sprawdza na wszelki wypadek, choć wie, że o tej porze nikogo tu nie ma. Następnie otwiera kłódkę na drzwiach prowadzących do magazynku. Wchodzi i zaczyna z chłodni wyjmować szynki. W tym momencie z pawlacza zeskakuje rębacz Sławomir W. i zatrzasnąwszy drzwi wiesza na nich kłódkę. Jest noc, wygaszone są wszystkie światła, wszędzie panuje cisza. Zamknięty w magazynku Grzegorz S. milczy, milczy także Sławomir W. Jedynie Jadwiga G. drżącą ręką i w pośpiechu wykręca numer telefonu milicji. Potem pod drzwi podchodzi także i ona. Z podwórza nie słychać żadnych głosów: ci w szoferce nadal czekają na kolgę. Trwa to parę, może parenaście minut. I Jadwiga G. nie wytrzymuje. Zaczyna krzyczeć, w końcu ubliżać zamkniętemu w pułapce złodziejowi. Wygarnia wszystko, cały swój żal nagromadzony przez te wszystkie miesiące, całą swoją złość, która teraz znajduje wreszcie ujście. A kiedy zachłysnęła się własnymi słowami, kiedy język przestał nadążać za myślami, spoza drzwi dobiegł ją głos Grzegorza S. Nie, on nie pomstował, zaczął właściwie od nazwania siebie „skurwysynem", a potem rozpoczął błagalną litanię prosząc o uwolnienie go, o niezawiadamianie milicji. Za puszczenie go wolno początkowo obiecywał 50 tys. złotych, ale w miarę upływu czasu sumę tę podwajał: 100 tys., 150 tys., 200 tys. W końcu zaczął obiecywać całe złoto, jakie ma u siebie w domu, a ma go sporo. Bo co będzie miała Jadwiga G. z tego że go zabierze milicja? Nic. Natomiast za puszczenie go wolno stanie się od razu bogata i nie będzie musiała pracować.

Na krzyki dochodzące z budynku sklepu zjawił się kolega rębacza, który czatował na dworze. Po krótkiej chwili pod sklep zajechał samochód milicyjny. Kiedy otworzono drzwi, Grzegorz S. stał bezradnie, a za nim, na podłodze piętrzyła się spora góra wyjętych z lodówki szynek.

I tak się zakończyła ta niecodzienna przygoda kierowniczki sklepu mięsnego i rębacza. Dla przypomnienia należy jedynie podać, że każda szynka dostarczona do sklepu ważyła około 3 kg, i że koszt 1 kg wynosi 896 zł (Po przeliczeniu okazało się, że Grzegorz S. przygotował do wyniesienia 20 szynek).

W śledztwie Grzegorz S. przyznał się do kradzieży, twierdząc, że nie jest to pierwszy raz, i że każdorazowo pomagał mu w tym Stefan A. Klucz, którym otwierał magazynek — tak przynajmniej twierdzi — pasował do kłódki, na jaką był zamykany przedsionek, więc jednym kluczem otwierał dwie kłódki. A w ogóle do kradzieży namówił go kierowca Stefan A., kiedy to w nocy z 21 na 22 marca 1986 r., po stwierdzeniu faktu, że klucz pasuje do obu kłódek, kazał mu wejść do magazynku i wziąć coś z mięsa lub wędlin. Wtedy właśnie wszedł po raz pierwszy i wyniósł jedynie 4 szynki, gdyż był przekonany, że kierowniczka takiego braku nawet nie zauważy. Owe 4 szynki podał Stefanowi A., który ukrył je w pojemniku na wędliny. Potem pojechali do pewnego sklepu delikatesowego i tam odsprzedali 3 szynki, czwartą dzieląc się sprawiedliwie po połowie. Grzegorz S. pamięta, że szynki ważyły 9 kg i kierowniczka zapłaciła im za nie 8 tys. złotych. Następnie Grzegorz S. pojechał do domu i tam odsprzedał kilogram szynki własnej ciotce za 450 zł.

Stefan A. wszystkiemu jednak zaprzecza; w żadnej kradzieży udziału nie brał, jeśli Grzegorz S. coś tam zbroił, robił to na własny rachunek. Przesłuchana kierowniczka sklepu delikatesowego także zaprzeczyła jakoby kiedykolwiek widziała na oczy Grzegorza S. i Stefana A.

JAKUB ŁASKI

Drugie oblicze przestępców

Na początku maja pisałem w tym miejscu o trzech mężczyznach, którzy po wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 r. zaczęli walczyć z „reżymem" wykolejając pociągi w okolicy stacji kolejowej Glinnik. Osadzeni w areszcie przyznali się do zarzucanych im czynów, a podczas tzw. wizji lokalnej dokładnie pokazali, jak i co robili, by pędzący pociąg zwalił się z dwudziestometrowego nasypu. W zakończeniu swojego artykułu wspomniałem, iż na całej trójce ciążą jeszcze inne, wcale nie bagatelne zarzuty, a mianowicie dokonywanie poważnych kradzieży na szkodę osób trzecich i przedsiębiorstw. Działali nie zawsze w tym składzie, w jakim będą odpowiadać za wykolejenie pociągów: bardzo często dobierali sobie różnych speców od zamków, krat i kas.

Zaczęło się właściwie z fantazji, choć w skutkach nagannej, ale przecież nie zapowiadającej ich kariery złodziejskiej. Oto Marek R. i Paweł Ś. z zabudowań Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Glinniku kradną prosiaka, którego przewożą nad rzekę, zabijają, a właściwie duszą, ćwiartują i dzielą się mięsem. Dzieje się to na przełomie 1978/1979 r.

Sprawa nie ma szerszego rozgłosu, bowiem prosiaka mógł właściwie zabrać każdy, kto miał dostęp do hodowli.

21 lipca 1980 r. milicja zostaje powiadomiona, że do prywatnego zakładu złotniczego w Smardzewie dokonano włamania. Nieznani sprawcy po wejściu do budynku sforsowali kasę pancerną, skąd zabrali spore ilości wyrobów ze złota na sumę ponad pół miliona złotych. Przypominam: jest rok 1980 i pół miliona złotych stanowi jeszcze poważną kwotę.

Złotnik Grigorij S. wynajmował mieszkanie u Jana P., który na pytanie milicjantów powiedział, że owszem, byli tu dwaj jacyś elektrycy i sprawdzali instalację w budynku. To był jedyny ślad, który niestety nigdzie nie zaprowadził i wkrótce śledztwo trzeba było umorzyć. Podjęto go dopiero w grudniu 1985 roku, kiedy to zatrzymano całą szajkę. Główny podejrzany Wiesław R. zaprowadził wówczas milicjantów do obejścia Bożeny D. mieszkającej w Samotniku pod Zgierzem i pokazał, gdzie należy kopać. Tak więc za szopą, w niezbyt głębokim dołku leżał litrowy słoik po kompocie czy ogórkach, a w nim precjoza — 47 sztuk! Owa Bożena D. jest siostrą Wiesława R. Zresztą, jak przekonamy się dalej, zarówno kradzieże, jak i przechowywanie, a także sprzedawanie łupów odbywało się z reguły wśród członków rodziny.

W tym samym roku — Marek R. i Paweł S ponownie zapragnęli zakąsić czymś konkretnym, więc dostają się do zajazdu „Dzik" w Smardzewie i zabierają stamtąd peklowane mięso. Ale i tej sprawie nie nadaje się specjalnego rozgłosu.

W tym mniej więcej czasie dołącza do nich Marian K., meloman i bywalec dyskotek, który bardzo chce mieć u siebie zestaw sprzętu nagłaśniającego. Proponuje więc Markowi R. i Pawłowi Ś. skok. Wybór pada na szkołę podstawową w Glinniku. Zabierają wzmacniacz, zestaw świateł pulsujących, regulator do oświetlenia itp.

Tego lata udaje się im nad podziw. Marek R. i Marian K. postanawiają „zrobić" sklep spożywczy w Smardzewie. Właściwie to żaden skok, bo sklep znajduje się prawie obok ich zabudowań, nawet się nie zmęczą przenosząc towar. Idą pieszo, bez trudu dostają się do środka, niestety, są to czasy tzw. pustych półek, bo ludzie więcej strajkują niż pracują. Biorą jedynie 5 kg kawy, cukierki i papierosy. W drodze powrotnej schodzą z traktu i jakiś czas idą korytem rzeki. Kiedy rano zjawia się milicja z psem, Marian K. także jest wraz z innymi gapiami przed sklepem i z ironią przygląda się, jak pies nie może odnaleźć tropu w wodzie, jak biega tam i z powrotem.

Na przełomie 1983 i 1984 r. któremuś ze wspólników potrzebny jest silnik trójfazowy. Marek R. i Paweł Ś. decydują się natychmiast: takie rzeczy są w elektrociepłowniach, a najbliżej jest EC-3. Dostają się tam łatwo i oprócz wspomnianego silnika zabierają „przy okazji" pompę górniczą elektryczną oraz... plandekę samochodową. Jeszcze nie wiedzą, co z nią zrobią, ale może się przydać.

Latem z osiedla 650-lecia w Zgierzu kradną motocykl „MZ-250".

W czerwcu tegoż roku Janusz B. postanowił, że ofiaruje swojej dziewczynie naręcze kwiatów i to tych najpiękniejszych. Ale kwiaty są drogie, szczególnie te najpiękniejsze. Więc namawia Marka R. i Pawła Ś. na „skok" do szklarni w Dąbrówce Wielkiej w gminie Zgierz. Przy okazji zabierają ze szklarni silnik spalinowy z pompą, opryskiwacz oraz narzędzia ogrodnicze. Rano Janusz B. wręcza swojej wybrance świeże i piękne kwiaty. To się nazywa mieć gest.

Tu trzeba odnotować gwoli ścisłości fakt, że wszystkie kradzione towary, przedmioty, narzędzia itp. były odwożone do nowo wzniesionego domu Pawła S. Był to ich magazyn, skąd towar był rozprowadzany wśród najbliższej rodziny.

Także w czerwcu 1984 r. wspólnicy „załatwiają" magazyn warsztatów szkolnych Technikum Włókienniczego w Zgierzu, skąd zabierają 28 kg przędzy. Oceniają ten „skok" jako niezbyt udany.

Nadrabiają jednak szybko tamto niepowodzenie. W miesiąc później „robią" sklep gospodarstwa domowego w Szastarce w województwie tarnobrzeskim. Biorą maszyny do szycia, radiomagnetofony, zegarki, suszarki, kolumny głośnikowe, a także kasetkę, w której znajdowało się 38 tys. złotych. Jak obliczono, straty w sklepie wyniosły 450 tys. zł.

Latem tegoż roku jeden z nich miał krakse, niestety, nie swoim samochodem, a maluchem Bożeny D., siostry Marka R. Dziewczyna była w rozpaczy, co teraz?

Po całonocnym piciu Marek R. i Janusz S. jadą do Głowna. Tu wypatrują granatowego malucha, bo taki kolor miał samochód Bożeny D. Jest! Z otwarciem drzwi uwijają się szybko i pędzą, ile jest tylko koni mechanicznych do obejścia Janusza S. Tu dokonują wymiany części wraz z silnikiem, natomiast nową karoserię ze skradzionego malucha tłuką młotkami, po czym zakopują w ziemi. Mają numerator, który pożyczyli od jakiegoś życzliwego znajomego pracującego w państwowym zakładzie. Wybijają więc na silniku nowe numery. I na giełdę. Tu dokonują zamiany na „Żuka", który ma bełchatowską rejestrację. Teraz już można będzie jeździć na „robotę" własnym, pojemnym środkiem lokomocji mającym legalne dokumenty.

W międzyczasie Marek R. zleca pewnemu rzemieślnikowi wykonanie specjalnego „miecza" do cięcia blachy. Rysuje mu nawet szkic. Niestety, jak zezna później, miecz nie na wiele się przydał w ich ciężkiej, ale wymagającej szybkości i precyzji pracy.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia 1984 r. Wiadomo, że podczas uroczystych kolacji trzeba wypić parę kieliszków dobrej wódki. Wiadomo także, że pod choinkę w tym czasie kładzie się prezenty dla najbliższych. Więc co robią bohaterowie niniejszej opowieści? W noc poprzedzającą Wigilię „robią' sklep nr 74 PHS w Zgierzu. Przypominam, że już dysponują własnym środkiem lokomocji. Więc zabierają m. in. 60 butelek spirytusu, 150 butelek wódki luksusowej, 67 butelek żytniej, 120 butelek koniaków, 20 kg rodzynków, 174 kg kawy naturalnej oraz innych cennych artykułów. Jak potem podliczono, łupem ich padły towary wartości 995.288 zł. Święta Bożego Narodzenia 1984 r. odnotowali jako nadzwyczaj udane. Bawili się wesoło w rodzinnym gronie życząc sobie nawzajem wszystkiego najlepszego i dalszych udanych „skoków".

W połowie roku 1985 w Zgierzu kradną „Żuka". Niestety, są ograniczenia benzynowe, a na wozy kradzione PZU nie wydaje kart benzynowych. Ktoś więc wpada na pomysł, by zaopatrzyć się w paliwo sposobem dla nich najłatwiejszym: zwyczajnie je ukraść. Niestety, stacje CPN nie wchodzą w rachubę, z zakopanych w ziemi zbiorników nie jest łatwo wypompować paliwo. Więc w nocy ponownie składają wizytę w zajeździe „Dzik" i zabierają dwa pojemniki z benzyną.

Tu muszę przerwać wyliczanie „skoków" i przypomnieć, o czym pisałem w swoim pierwszym artykule, że Wiesław R. był, jak to się mówi, w owym czasie na dorobku. Dopiero rozkręcał interes, którym miał być warsztat stolarski. Wiadomo, że dobry rzemieślnik musi mieć odpowiednie narzędzia pracy, które są bardzo drogie i nie zawsze dostępne na rynku. Więc bracia i kuzyni postanawiają mu jakoś pomóc w tym szlachetnym przedsięwzięciu. Włamują się mianowicie do warsztatu stolarskiego w Zgierzu i zabierają stamtąd frezy stolarskie. Wiesław R. cieszy się jak dziecko: rodzina jednak człowieka nie opuści w potrzebie!

Życie rządzi się własnymi, niezależnymi od człowieka prawami. Oto Ryszard W. zakochał się i postanowił ożenić. Przy dzisiejszej drożyźnie nawet najskromniejsze wesele kosztuje niemało. Ryszard W. nie myśli jednak oszczędzać: niech ludziska wiedzą, kto się żeni! Pewnej lipcowej nocy 1985 r. Marek R., Paweł Ś. oraz pan młody in spe dostają się do sklepu GS w Chorkach, skąd zabierają wódkę, papierosy i cukierki na sumę 267 tys. zł. A jak wspominają uczestnicy wesela było ono nadzwyczaj udane i nikt nie wyszedł trzeźwy i głodny.

Miesiąc później, już w innym składzie, bo młody żonkoś przeżywał miodowy okres, Marek R., Paweł Ś. i Janusz B. kradną „Żuka" w Zgierzu i jadą nim do Grabowa Właściwie Marek R. jedzie za nimi własnym „mirafiori", gdyż łup, jakiego się spodziewają, może nie zmieścić się na jednym samochodzie. Na miejscu Januszowi B. przytrafia się przygoda, która o mało nie kończy się dlań tragicznie: oto wciskając się przez otwór wentylacyjny do sklepu wali się w dół wypełniony wodą. Dwaj wspólnicy z trudem go ratują. W śledztwie potem przyznają, że tej nocy prześladował ich wyraźny pech. Praca załadowcza na oba samochody trwała dość długo, bowiem wynosili maszyny do szycia, futra, kołnierze, czapki. Potem okaże się, że zabrali towaru na 2.340.000 zł. Niestety, „Żuk" nie może wyjechać: jest przeładowany, a koła buksują w miejscu. Na to by go wyciągać nie ma czasu. Przenoszą więc co się da do „mirafiori", część rzeczy pozostawiając w „Żuku", część gubiąc. Z „Żuka" zabierają akumulator, by nikt nie mógł go uruchomić od razu. W skrzyni „Żuka" pozostawiają także narzędzia służące do włamań, a także kawałki drutu kolczastego, tzw. jeże. W śledztwie wyjaśnili, że trzymali to na wszelki wypadek. Gdyby się zdarzyło, iż milicja zaczęłaby ich ścigać, wówczas wysypaliby na drogę owe „jeże".

Jeden z ostatnich „skoków" był w październiku 1985 r. Wiesław R. właśnie otwierał swój zakład stolarski, ale potrzebował parę pił tarczowych. Więc chłopcy „skoczyli" do stolarni zakładu mechanicznego Spółdzielni Pracy „Metap" i przynieśli mu 5 pił tarczowych widiowych: masz i nie narzekaj!

Zresztą nie gardzili właściwie niczym: włamywali się do domków w ogródkach działkowych i zabierali co się dało: kuchenki, butle, meble, naczynia, narzędzia itp. Teraz organa śledcze mają pełne ręce roboty, a akta liczą kilka tomów. Czy wszystkie ich „skoki" zostały ujawnione? Należy wątpić, bowiem drobne kradzieże poszły w niepamięć, poszkodowani jakże często nie zgłaszali ich na milicję, sami podejrzani także zapewne już nie pamiętają wszystkiego. Jedno wszakże jest pewne: trzej podejrzani: Wiesław R. oraz bracia Janusz W. i Ryszard D. oprócz włamań i kradzieży mają przede wszystkim na swoim sumieniu owe katastrofy kolejowe, które tylko na skutek zbiegu szczęśliwych okoliczności nie pociągnęły za sobą śmiertelnych ofiar.

Proces niebawem.

Ki diabeł, ta cała inflacja?

Spotkałem go na skwerku przy Piotrkowskiej, gdzie spoczął na od lat nie malowanej ławce, wystawiając twarz do wiosennego słońca. Herr Miller, Niemiec z Rio de Janeiro, co najciekawsze, urodzony w mieście Łodzi. Wpadł na dwa tygodnie, żeby się rozejrzeć i odświeżyć wspomnienia młodości. Zresztą podróżuje z zamiłowania. To jego konik. I wszędzie, gdziekolwiek trafi, zaskakuje go plaga inflacji. Ma już zasięg globalny.

— Zastanawiam się — wejrzał na mnie spod oka — gdzie tkwią korzenie inflacji. A zjawisko nader jest tajemnicze. Przed dwoma laty przestudiowałem dzieła najwybitniejszych ekonomistów, Adama Smitha, Ricardo, także Keynesa. Dodawałem, mnożyłem, dzieliłem, przeglądałem statystyczne roczniki, a klucza do rozwiązania tej zagadki nie znalazłem. Rzuciłem książki w kąt, do diabła z teorią, trzeba przepytać handlarzy, oni pewnie wiedzą najlepiej, co w trawie piszczy. Punktem wyjścia mych dociekań stała się cebula. Dlaczego, pytam, przekupnia na Copacabana, ciągle podnosi pan cenę na cebulę, wstyd, wzmaga pan inflację i tym sposobem ograbia gospodynie domowe. Co takiego, warknął straganiarz, chciałby pan może, żebym poszedł z torbami, kupuję drożej to i drożej sprzedaję, z czegoś muszę żyć, no nie, dostawca śpiewa już jak skowronek, nic tylko ceny winduje, przyjeżdża z cebulą przed świtem, jemu trzeba wygarnąć, co panu siedzi na wątrobie. Nazajutrz zaczepiłem dostawcę i od razu byka za rogi, do czego to podobne, co za chciwiec i zdzierca, czemu śrubuje pan ceny na cebulę? Bo transport podrożał, on na to, przecież nie będę dopłacał do interesu. Jak to, przecież cena baryłki ropy spadła z 30 do 15 dolarów, a pan opowiada koszałki. A tak spadła, popukał się znacząco w czoło, benzyna wszędzie jest tańsza, a i owszem, ale nie u nas, po drugie, plantatorzy cebuli już sami nie wiedzą, ile żądać, to już jakieś opętanie. Wczoraj znowu zawyżyli cenę o 20 procent, niech pan jedzie do Sacramento, przydusi tych łobuzów, a mnie zostawi w spokoju. Pojechałem, a tam plantacja przy plantacji, morze cebuli, okiem nie ogarniesz. Niewiele myśląc, zaatakowałem pierwszego z brzegu plantatora, cóż pan wyrabia, u licha, sumienia pan nie masz, czy jak, ciągnie pan ceny w górę i ciągnie, nie widać temu końca, naród co, ma żreć łodygi po kukurydzy, cudzą nędzą się pan tuczy, co za krwiopijca, że też nie ma kija na takich.

— A plantator? — spytałem — jak zareagował.

Herr Miller skrzywił się.

— Wskazał kciukiem niebo, jak panu podoba się pogoda? Wspaniała, odpowiedziałem. A tak, dla was mieszczuchów wspaniała, ale nie dla cebuli, bo cebula lubi deszcze, proszę szanownego pana, inaczej plony lecą na łeb na szyję i tyle się zbierze, co kot napłakał. Ale największy szkopuł z nawozami, nowy sezon i nowe ceny, jasne, że dużo, dużo wyższe, prawie o 30 procent, a jaka cebula wyrośnie bez dobrego nawożenia, no jaka? Niech pan zajrzy do signore Apollini w Buenos Aires, to ten drań, co śrubuje ceny na nawozy, jego trzeba spytać.

— Pojechał pan do Argentyny?

— Ma się rozumieć, skoro złapałem nitkę, postanowiłem dojść nią do samego kłębka. Signore Apollini wsiadł na mnie ostro, a kto zaczął z podwyżkami, przecież nie ja, zaręczam, wysyłam towar drogą morską, a tu koszty frachtów wciąż się podnoszą, rachunki wprost puchną, już dostaję kołowacizny, bo surowce do produkcji nawozów też sprowadzam drogą morską, za wszystko płać, banda spekulantów, mówię panu, armatorzy rozsiedli się w Panamie i rządzą się na morzach jak szare gęsi. No i ruszyłem do Panamy, tam armator poklepał mnie po ramieniu, źle pan trafił, Herr Miller, nie ten adres, niech pan wpierw zapyta o ceny statków w hamburskiej stoczni, dopiero włosy zjeżą się panu na głowie, oni tam potrafią rachować, łupią, że skóra cierpnie, statki podrożały o 15 procent. No i poleciałem do Hamburga, lubię włóczyć się po świecie, to moje hobby. Dyrektor stoczni nawet nie raczył mnie przyjąć. Powiadomił przez sekretarkę, że stal drożeje, tak drożeje, że ceny stały się już niemal prohibicyjne, a to musiało odbić się na cenie frachtowców. Stal sprowadza się z Grecji, siła robocza jest tam tania, więc dlaczego grecka stal drożeje? Teraz już się sam zdenerwowałem, co pan wyrabia, wypaliłem szefowi stalowni prosto w twarz, wskutek pańskiej polityki rosną koszty przewozów, drożeją nawozy, a cebula nawet w Brazylii staje się z wolna rarytasem. Szef, jak to Grek, kuty na cztery kopyta, machnął mi przed nosem ręką, jakby się opędzał od natrętnej muchy. Głupstwa pan plecie, panie Miller, bez węgla nikt nie wyprodukuje stali na okrętowe blachy, a węgiel kupuję w Afryce Południowej, stamtąd nic, tylko napływają wciąż wyższe faktury, więc co mam robić, stać w miejscu, żeby dać się jak święty Sebastian zakłuć strzałami, nie ruszając palcem w obronie? No... pomyślałem, moje dociekania dobiegają końca, doszedłem wreszcie do źródeł inflacji, wszystkiemu są winne surowce. Ale żeby mieć pełną satysfakcję z dobrze wykonanej roboty, ruszyłem jeszcze do Południowej Afryki. Pragnąłem znaleźć tam ostateczne już potwierdzenie słuszności mych wniosków. Przyjął mnie Afrikaaner, prawdziwy Bur, gęba czerwona, oczy jak u buldoga, ruchy władcze jak u tureckiego baszy. W ogóle nie dopuścił mnie do głosu. Sprawa jest bardziej powikłana niż pan sądzi, panie Miller, wy w Brazylii macie cebulę, my tutaj mamy węgiel, ale węglarki sprowadzamy z Japonii, tymczasem Japończycy tak wywindowali ceny, że to już przechodzi wszelkie wyobrażenia, więc i my musieliśmy stosownie zaripostować, bo jak węglarki drogie, to i transport węgla drożeje, co musi mieć odbicie w kosztach zakupu.

— Do Japonii też pan poleciał? — zapytałem z lekkim niedowierzaniem.

— Pewnie, że tak, jak już coś zaczynam, to i kończę. W Nagasaki przyjął mnie pan Yokomuru, ugościł, poczęstował herbatą i hawańskim cygarem. Panie Yokomuru, zacząłem, jest pan właściwie międzynarodowym złoczyńcą, windując bez przerwy ceny na węglarki, sieje pan inflację po świecie. Pan Yokomuru uśmiechnął się pobłażliwie, ależ, Herr Miller, strzela pan od razu z grubej Berty, ale do niewłaściwego celu, szkoda, bo jestem ogromnie zaszczycony pańską wizytą i czuję się niezmiernie zobowiązany, ale może mi pan wytłumaczy, dlaczego tak podrożała brazylijska cebula, za co mielibyśmy kupować waszą coraz droższą cebulę, gdybyśmy równocześnie nie podnosili cen na nasze węglarki?

Herr Miller wyciągnął dłoń na pożegnanie.

— No i w ten sposób kółko się zamknęło. Przejechałem cały świat i nadal jestem ciemny jak tabaka w rogu. Skąd się bierze inflacja, no niech pan powie skąd? Przecież u was też kwitnie, że hej, w jednym tygodniu, jak zauważyłem cena cebuli podskoczyła dwukrotnie. I nie tylko cebuli, nie tylko.

Przyznam, że po tej rozmowie i mnie problem zaintrygował. Ki diabeł, ta cała inflacja. Tyle lat po wojnie i żeby nami szarpała? Kto nią steruje, naciskając w tajnych gabinetach sekretne guziki?

A najdziwniejsze, że inflacja nakręca się sama wewnątrz właśnie kraju. Cebula jest spod Łowicza, nawozy z Puław, statki ze Szczecina, stal z Nowej Huty, węgiel z Katowic, a węglarki od Cegielskiego w Poznaniu.

Więc skąd inflacja?

Niech pan ucho przyłoży do mennicy, panie Janie, gdzie popędza się do spiesznego biegu maszynki do robienia papierowych pieniędzy. Dudni tam, dudni, jak w głębokiej inflacyjnej studni.

JAN BĄBIŃSKI

1

Sport

Areszt domowy

Jak donosi złośliwa prasa łódzka przed meczami o europejskie puchary w piłkę kopaną, wuje z Centrali Sportowej w Warszawie znowu dyskryminują nasz Widzew. Chodzi o to, że jakiś stołeczny urzędas zezwolił wywiadowcom Legii rozpracować przyszłego rywala bezpośrednio na jego stadionie, a szpiegom Widzewa kazał siedzieć w domu. Dlatego agent wojskowych, Lucjan Brychczy oglądał sobie spotkanie Spartak (Moskwa) — Dniepr (Dniepropietrowsk), zaś trener Waligóra tylko pocztówki z dalekiej Austrii. Czyli w Warszawie wiedzą już wszystko o przeciwniku, a w Łodzi wszystko o zabytkach miasta Linz.

Tu niestołeczni żurnaliści sportowi podnieśli raban, że jest niesprawiedliwie, bo dlaczego jednym wolno, a drugim nie, bo każdemu wedle zasług, bo to właśnie Widzew, a nie Legia, nabija dewizową kabzę Centrali, więc też ma prawo, i temu podobne dyrdymały siejące niepokój społeczny.

Panowie, precz ze zgniłym prowincjonalizmem! Trzeba patrzeć szerzej i obiektywniej, albowiem naszej kopanej piłce po meksykańskim laniu nic nie jest tak potrzebne, jak zdrowa, serdeczna i konstruktywna atmosfera — oraz ksiądz z kadzidłem. W tym duchu biorę na siebie łatwy obowiązek umotywowania słusznej skądinąd decyzji Centrali:

Po pierwsze. Nie jest prawdą, jakoby z niskich pobudek zdyskryminowano Widzew. Racje są wyższego rzędu.

Po drugie. Nie jest prawdą, jakoby łódzki klub miał największe zasługi dla sportu krajowego z tytułu dostarczania mu twardej waluty za transfery własnych pracowników do drugiego obszaru płatniczego. Owszem, parę milionów „zielonych" za Bońka, Smolarka, Żmudę i Młynarczyka do kasy Centrali spłynęło. Ale znacznie większe dokonania ma na swym koncie Legia. Największą zasługą Legii dla przyszłości rodzimej piłki oraz dla zdrowia kibiców jest posłanie w diabły (czytaj: FC Homburg) kopacza jednonożnego Buncola Andrzeja, zwanego „stójkowym". Dzięki temu trafnemu posunięciu gwałtownie zmalał wskaźnik zawałów i samookaleczeń w populacji wielbicieli jego talentu, zaś gospodarze stadionów mogli wreszcie zdjąć stalowe siatki chroniące publiczność od następstw groźnych strzałów wyżej wymienionego.

Po trzecie. Zakaz wyjazdu łodzian do Linzu był podyktowany wyłącznie troską o człowieka. Niestety, wielu osobom jeszcze myli się Austria z Australią, a w tej drugiej jak powszechnie wiadomo grasują krokodyle, węże jadowite oraz ten skurczybyk Sanders.

Po czwarte. Trzeba oszczędzać dewizy. Będą nam one pilnie potrzebne w momencie, kiedy działacze klubu FC Homburg połapią się, co za towar im upchnęliśmy i zażądają słonych odszkodowań.

Po piąte. Trzeba oszczędzać dewizy. Kupcy ze strefy dolarowej ostatnio jakby nie byli zainteresowani nabywaniem naszych świetnych futbolistów, co wymownie świadczy o głębokim kryzysie wartości w zachodniej Europie.

Po szóste. Lista zasłużonych działaczy chętnych do odbycia misji zagranicznej w celach obserwacyjnych na przykład, jest bez wątpienia długa, więc należy dawkować rozsądnie, tym bardziej, że do końca obecnego stulecia reprezentacji też nie kroi się żaden dalszy wypad niż do Bańskiej Bystrzycy na Mistrzostwa Tatr Środkowych.

Po siódme. Niechta chłopaki z Warszawy pooglądają sobie świat, skoro pisane im odpaść w pierwszej rundzie pucharu.

Na tym kończę swą misję mediacyjną, uprzejmie prosząc wujów z Centrali, by w razie zwolnienia etatu rzecznika prasowego — który wiąże się z pięknymi podróżami, a ja podróżować lubię bardzo — raczyli nie zapomnieć...

REZERWOWA II

2

Spojrzenie znad szachownicy

Bitwa na pojemność pamięci

Dziś porozmawiamy sobie o szachach. To aż dziwne, że ostrzegam o tym już w pierwszym zdaniu, jest wszelako tak, że człowiek obyty towarzysko czuje się zobowiązany rozróżniać dorobek Bońka od dorobku Kierkegaarda (wystarczy wiedzieć, że ten drugi nie strzelał bramek, przynajmniej ostatnio), natomiast spokojnie może pomylić intuicjonizm Bergsona z hypermodernizmem Nimzowitscha i bynajmniej nie zostanie okrzyczany nieukiem.

Mam przyjaciela o wyjątkowo uporządkowanej głowie i systematycznego aż miło. Otóż gdy jego synowie poczęli wchodzić w piękny wiek przedszkolny, biedak ten poczuł się zmuszony pobierać korepetycje z footbolu w obawie, że Wojtek z Maćkiem zapytają go, co niby znaczy „spalony", a on nie będzie wiedział i straci u dzieci wszelki autorytet. Gdyby zapytali o przymus, opowiedziałby im o przymusie ekonomicznym, choć mogło przecież również chodzić o wymuszone posunięcie, czyli z niemiecka zuzgzwang.

2.

Starym sposobem zacznę wszelako od pieniędzy, bo na tym, co to są pieniądze, statystyczny Polak rozumie się ostatnio coraz lepiej i wprost błyskawicznie przelicza wszystko po czarnorynkowym kursie. Otóż bilety do pierwszych rzędów salki, w której rozgrywana była londyńska część meczu o tytuł mistrza świata pomiędzy Garri Kasparowem a Anatolijem Karpowem, kosztowały 40 funtów, a do trochę dalszych — 30 funtów.

Gdyby komuś było mało, dodam, że fundusz nagród — wciąż chodzi o pierwszą połowę meczu, w drugiej, która rozgrywana jest w Leningradzie, nagrody są podobne — wynosił 300 tysięcy funtów szterlingów, z czego 10 proc. zabiera FIDE (międzynarodowa organizacja szachistów), a pozostała suma w pewnej proporcji dzielona jest między zwycięzcę i zwyciężonego. Przeciwnicy zgodnie co prawda przeznaczyli całą sumę na fundusz pomocy ofiarom katastrofy w Czernobylu, stać było ich jednak na ten piękny gest, gdyż obaj — co tu ukrywać — są autentycznymi milionerami i to nie złotówkowymi bynajmniej!

Podejrzewam, że tylko część honorarium, jakie weźmie Kasparow za współudział w skonstruowaniu programu szachowego dla komputerów „Atari" spokojnie wystarczyłaby na zakupienie „Odgłosów" razem z najbardziej rasowymi psami najbardziej rasowych koleżanek, a gdybym pośredniczył w tej operacji, mógłbym byczyć się do końca życia. Niestety aż tak dobrze się nie zapowiada, piszmy więc dalej, może coś zarobimy osobiście.

3.

Nietrudno zgadnąć, że aby zostać mistrzem świata, trzeba mieć tak zwany talent, nieco mniej proste jest wszelako rozłożenie tego talentu na elementy pierwsze.

Przy wszystkim innym — ale o tym opowiemy za tydzień, albo kiedykolwiek — szachy są tedy bitwą o pojemność pamięci i dlatego wstępną fazę gry, zwaną debiutem, komputery opanowały najlepiej. Potem się gubią, nie posiadają bowiem intuicji.

Rzecz w tym, iż wedle obowiązujących do dziś zasad w szachy grywa się ładnych paręset lat, kanony nowożytnej strategii zaczęto wypracowywać w XVIII i XIX wieku, nic więc dziwnego, że rozpoczynające grę ruchy były wykonywane miliony i miliardy razy, a możliwe odpowiedzi na te ruchy — podobnie. Praktyka wykazała, że niektóre z tych posunięć są z całą pewnością złe, inne siakie takie, jeszcze inne dobre. Tych dobrych, równoważnych, jest niezwykle wiele, a najlepszych nie zna nikt, może Pan Bóg, ale i to nie jest takie pewne.

W konsekwencji dobre ruchy — i dobre odpowiedzi na te ruchy, i dobre odpowiedzi na te odpowiedzi — trzeba umieć po prostu na pamięć, po cóż wymyślać bowiem proch, który zbiorowym wysiłkiem dawno został już wymyślony?! Nawet bardzo przeciętny i nie startujący już w turniejach szachista jak ja na przykład, ma wbitą tedy do głowy przynajmniej jedną średniej wielkości książkę, zapisaną fidrygałkami w rodzaju *1. e4 e5 2. Sf3 Sc6 3. Gc4 Gc5 4. c3 Sf6 4. d4 c:d4 5. c:d4 Gb4+ 6. Sc3 S:e4 7. 0-0 S:c3 8. b:c3 G:c3 9. Hb3 G:a1 10. G:f7+ Kf8 11. Gg5*, no i tak dalej (przytoczony wariant pochodzi z partii Gioachimo Greco granej w połowie XVII wieku).

Próbując grać w turniejach o mistrzostwo Polski — a poziom u nas słabiutki — wypadałoby mieć opanowanych pamięciowo z pięć takich książek, no a Kasparow mógłby chyba podyktować w wolnych chwilach podręcznik objętości czterotomowej Encyklopedii Powszechnej PWN. Perfidność tej pamięciowej bitwy polega na tym, że na nasz dobry i powszechnie uznany ruch przeciwnik bynajmniej nie musi odpowiadać równie dobrym ruchem, a może wybrać posunięcie uchodzące za siakie takie, wątpliwe i ryzykowne. Przygotowując się do walki łobuz ten mógł bowiem odświeżyć sobie w pamięci odpowiedni rozdzialik, a jeżeli nam on akurat ze łba wywietrzał, musimy teraz radzić sobie sami.

No i wymyśl tu przez piętnaście minut to, co inni — wcale nie głupsi, a może i mądrzejsi nawet — wymyślali przez lat z okładem dwieście! Teoretycznie wymyślić niby można, ale praktycznie jakoś nikomu podobna sztuka się nie udaje. Kropka.

JERZY P.

3

Człowiek w lesie

Jeśli chcesz poznać prawdziwą naturę człowieka — idź do lasu! W lesie człowiek czuje się sam — tak mu się przynajmniej wydaje — może więc postępować bez żadnego skrępowania. Zrzuca maskę i odsłania swoją prawdziwą naturę. A jest to natura raczej brzydka, grzeszna i pełna wad. Wybrałem się pod koniec sierpnia wczesnym rankiem do lasu dość oddalonego od większych skupisk miejskich. Las huczał ludzkimi krzykami. Nawoływano się wzajemnie. Korygowano kierunek poszukiwań i penetracji. Pytano o lokalizację, gdyż nie wszyscy dobrze orientują się wśród gąszczu drzew. Gwarno było jak w niedzielne popołudnie na ulicy Piotrkowskiej. Biedne sarny i zające w popłochu uciekały przed nacierającą na las ludzką hurmą. Nawet dziki pochowały się dokładnie przed ludźmi.

Ludzie idą do lasu jak na spacer. Widziałem panie dokładnie umalowane, w srebrnych klipsach czy kolczykach — mniejsza o nazwę — wielkości pudełka zapałek. Widziałem panie w najmodniejszych dziś czarnych obcisłych spodniach i jaskrawych bluzkach. Widziałem w pończochach i eleganckich butach. Ale, aby być sprawiedliwym, to muszę przyznać, że widziałem też ubrane tak, jak powinno się ubierać do lasu: w dresach, dżinsach, gumowych butach...

Ludzie idą w las całymi rodzinami. Kończył się sierpień — za kilka dni rok szkolny — wszyscy, którzy mają dzieci w wieku szkolnym już zjechali do domu, ale dzieci do szkoły jeszcze nie poszły, więc można wybrać się do lasu. Nieszczęściem dla naszych lasów jest rozwój motoryzacji. W czasach, gdy nie było samochodu, albo gdy był mniej dostępny, ludziom nie chciało się jechać do lasu pociągiem czy autobusem. Subiekcja to ogromna. Można się nie zabrać na przykład na ostatni autobus i zostać na noc w lesie, a prawdziwy mieszczuch boi się nocy w lesie niczym samego diabła. Bo sam diabeł tylko wie, co się dzieje w nocy w lesie. Teraz, gdy ludzie mają samochody, można wstać wcześnie rano, ruszyć kawalkadą do lasu, wrócić też dość wcześnie. Zadowolenie ogromne i lasu zniszczenie podobne.

Ludzie wybierając się do lasu zabierają ze sobą najdziwniejsze przedmioty: plastykowe wiadra ogromnej wielkości, kolorowe torby również plastykowe, torby skórzane, walizki niemal. Podjeżdżają samochodami jak najbliżej lasu, a są tacy, którzy łamią wszelkie zakazy i wjeżdżają samochodami do lasu. Zabierają też z sobą ukochane zwierzątka — przede wszystkim psy różnej wielkości, rasy, płci i bez rasy również.

Idzie przez las starsza pani z rodziną i pieskiem. Pani jest w pretensjach. Wydaje się jej, że jest pachołęciem płci żeńskiej. Mówi więc — drzewko, grzybek, chmurka, piesek, zajączek...

— O! — woła cała w radości — zajączek biegnie! Jaki ładny! Jaki milutki. Pikuś bierz zajączka, bierz!!!

Pikuś, który wielkością równa się jednej trzeciej zająca, patrzy na swą panią zdziwionym wzrokiem. Chętnie schowałby się przed tym potworem z długimi uszami. Ale pani zachęca Pikusia, aby wziął zajączka. Pikuś szczeknął dwa razy, gdy zajączek był już daleko. Pani była dumna: — jaki bojowy pieseczek!

Po co ludzie wykonują tyle różnych czynności, aby znaleźć się w lesie? Otóż jest to bardzo proste. Ludzie jeżdżą do lasu po grzyby. Czyszczą lasy z grzybów w sposób doskonały. Po przejściu człowieka nie zostaje nic.

Spotykają się w lesie grzybiarki.

— Jak tam, są grzyby? — pyta pierwsza drugą.

— Gdzie tam są — odpowiada druga pierwszej — kiedy mają wyrosnąć jak tu tyle ludzi!

Idzie przez las wesoły grzybiarz w wesołym towarzystwie.

— Cholera! — mówi — źle ten las jest urządzony. Borowiki powinny rosnąć na drzewach na wysokości człowieka, aby wygodnie było je zdejmować. Mnie już krzyż boli od tego schylania się.

A kto mu każe zbierać grzyby?

Spotyka się dwóch starszych grzybiarzy.

— Dało co? — pyta ten w żółtej czapeczce.

— Co miało dać — niemal płacze łysy — znalazłem 16 borowików i wszystkie były robaczywe. A inni mają po pół wiadra i zdrowe.

Rozsiadła się przy drodze utalentowana grzybiarka, bo do zbierania grzybów trzeba mieć talent i... wiedzę. Obok postawiła dwa kosze pełne grzybów i patrzy na innych grzybiarzy z pewnym zdziwieniem:

— Co tych ludzi gna do lasu?

Ja też się nad tym zastanawiam. Co ja robiłem w lesie? Chodziłem i patrzyłem. Do zbierania grzybów nie mam najmniejszych zdolności. Dwa grzyby w czasie leśnego spaceru — to już niebotyczny sukces. Ale po dwa grzyby nie warto się schylać. Niech rosną na chwałę lasu! Tylko czy inni dadzą im rosnąć?

WITOLD BOROWY

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(16)

Na pół oślepiony pan Leinster tego nie widział. Gnał w stronę koryta wyschniętego strumienia, bijąc o grunt parą swoich pękatych, owłosionych nóg — w rytm dyktowany przez sygnałową trąbkę grającą w jego umyśle. Tra-ta-ta-tam! Wrzeszczał, ponaglał się do biegu i wymachiwał rękoma, jakby chciał strząsnąć z siebie parzący pył. Prędzej, prędzej! Tra-ta-ta-tam! Florence w tym dziwkarskim łachu, a tam w mieście rozpieprzyło naprawdę cholernie dużą rzecz, i wypozowana jak dziwka ze studia fotograficznego, lada moment zaświszczą tutaj odłamki w powietrzu, żeby różni zboczeńcy w rodzaju zgnitka Murraya malowali jej ciało w esy-floresy, te zarośla i te drzewa dające nieco cienia i niezłą osłonę też są w esy-floresy, dziwne, cały widnokrąg jest w esy-floresy, ale — tra-ta-ta-tam! — na razie nie ma czasu, żeby zbadać to podejrzane zjawisko.

I pan Leinster, Współczesny Bohaterski Awanturnik Spod Znaku Zorro, wykonał skok z brzegu koryta strumienia — niczym godny następca Douglasa Fairbanksa, chociaż z drobnymi komplikacjami. Wylądował na zdradziecko ruchomym zboczu, jeszcze raz wrzasnął, jeszcze raz zamachał rękoma, po czym runął z chrzęstem na kamienie i stoczył się w dół ze skręconym karkiem. Jego dusza Obrońcy Pana Meyo — tra-ta-ta-tam! — uniosła się ku niebu jak obłoczek pary wodnej z murawy.

Pięcioletni Powell, oślepiony bardziej niż jego przybrany ojciec, nie widział tego jednak — co za szkoda! Szkoda, bo gdyby w odpowiedniej chwili, kiedy pan Leinster wykonywał skok Tarzana, pociągnął za spust Smitha i Wessona, mógłby we własnym świecie fantazji zapisać na swoim koncie pierwszego prawdziwego, najprawdziwszego trupa. Ale Powell nie widział nic a nic, oprócz białych i różowych płatów, które rzęsiście fruwały mu przed oczyma bez względu na to, czy miał je otwarte, czy zamknięte. Rany kowuta — myślał — słońce wybuchło naprawdę i teraz rozsypuje się na ciupeńkie drobiny i te drobiny opadają na mnie i okropnie pieką.

Kolana ugięły się pod nim i skulony Powell, wypuściwszy z dłoni elektryczny pistolet, otoczył głowę ramionami. Podkoszulka na jego plecach zmieniła kolor z białego na jasnobeżowy, a wszelkie zmeszkacenia powstałe w praniu — ulotniły się pozostawiając materiał wygładzony do połysku.

Prawie osiemnastoletnia Florence nie mogła jednak tego zobaczyć: była za daleko. I była zbyt zajęta sobą. Wydostała się już spod gorącej jak piekielny kompres płachty brezentu i na czworakach pełzła w kierunku bliżej nieokreślonym, kwicząc i szlochając na przemian. Ten, Który Ją Stworzył poskręcał w miniaturowe spiralki złocisty puszek na jej rękach i nogach Nowonarodzonej Wenus i pokrył jej ciało rumianą opalenizną. Opaleniznę tę Florence nosić będzie przez lata i nie rozstanie się z nią do śmierci. Tak, przez lata, bo z całej rodziny Leinsterów ona jedna mimo wszystko przeżyje ten nuklearny konflikt. Nikt z pozostałych nie ocaleje. Pan Leinster — tra-ta-ta-tam! — już wyzionął ducha. Powell — traaach! — zginie przed upływem dwudziestu minut, a pani Leinster — a c h, N e v i l l e u! — skona za kilka sekund. Teraz leżała ona na przednim siedzeniu w swoim samochodzie, charcząc z nadmiaru dwutlenku węgla, i żywcem płonęła.

Mnóstwo ludzi żywcem spłonie. Więcej niż zostanie żywcem pogrzebanych.

Pani Margaret Leinster znajdowała się nieledwie w tej samej odległości od punktu „0" co Lucy — pa, pa Ronnie — stojąca za drzwiami motelowej łazienki, i chociaż wszystko w okolicy tliło i dymiło, i to z groźną hojnością, aż powietrze przesłoniła siwa mgiełka, to tylko jej samochód palił się płomieniem rzeczywiście pełnym, żywym i trzaskającym. Margaret skona więc za kilka sekund, kilka sekund wcześniej natomiast uśmierciła ona trzy (3) osoby, których zresztą i tak nic nie mogło uratować. Oślepiona błyskiem wybuchu atomowego, podobnie jak Michael Tomashek — posągowo klasyczna twarz śląca uśmiechy z Pontiaca — właśnie dopalający się dwadzieścia pięć kilometrów bliżej centrum, straciła panowanie nad kierownicą. Jej rozhukany samochód zjechał na pobocze i zagarnął kołami pod siebie (1) młodą matkę razem z wózkiem, w którym spało (2) ośmiomiesięczne niemowlę, potem wpadł na kiosk z hot dogami i rozniósł go na poszczególne elementy konstrukcyjne, nadziewając (3) szynkarza na pręty rusztu, rozgniatając mu głowę zeliwnym paleniskiem i obsypując go żarzącym się węglem drzewnym. Z pękniętej skorupy gaźnika, z zerwanych przewodów paliwowych chlusnęła benzyna, materiał mający — jako jeden z nielicznych w tym miejscu — temperaturę zapłonu niższą od temperatury panującej tu teraz wszędzie dokoła. Buchając płomieniami benzyna ta spłynęła pod samochód i ogień wżarł się w jego podwozie, jak lew we wnętrzności zabitej antylopy. Niewiele co widząc, niewiele co myśląc Margaret popełniła błąd logiczny w ocenie sytuacji i postąpiła w sposób mało rozważny i niekonsekwentny. Wpierw wyskoczyła z wozu, by bełkotliwą mową, pantomimą i szlochem dać wyraz swojemu przerażeniu i okazać gotowość do pośpieszenia z pomocą ofiarom wypadku, następnie, kiedy płomienie łakomie liznęły jej łydki, kiedy bijący od kuli ognistej żar smagnął jej skórę, wskoczyła do wozu z powrotem. I wówczas eksplodował bak zawierający około czterdziestu litrów wysokooktanowego paliwa.

— Mamo! — krzyknęła Florence rozdzierająco, poprzez dzielące ją od pani Leinster ponad jedenaście kilometrów. — Jeeezu, mamo!

38 kilometrów od punktu „0".

Kałuża benzyny zapaliła się również przed motelem, w którym Lucy stojąc za drzwiami łazienki i mrużąc oczy, znów niedorzecznie zakryła swoje piersi, nadal jędrne, i wełniste włosy niegdyś zdobiące jej cnotę utraconą dwadzieścia lat temu, w szesnastym roku życia. Kałuża benzyny nie jest czymś rzadkim na stacji benzynowej; człowiek obsługujący dystrybutor ma prawo się zagapić i trochę jej rozlać, zwłaszcza jeśli opodal niego niespodziewanie wybuchnie bomba termojądrowa, kiedy on w spokoju sumienia napełnia bak samochodu: ma prawo osłupieć na dłuższą chwilę i nie czuć nawet, że spieczony naskórek na jego twarzy, szyi i dłoniach kurczy się i bieleje, ani że po drelichu w który jest ubrany, pełzają smużki dymu.

Przetykane iskierkami, jak brokat złotymi nićmi, smużki dymu pełzały także po kotarach w motelu, snując się przy plamach zwęgleń rozlanych na tkaninie malowniczo. Gdzieś w sąsiedztwie, we frontowych oknach znów pękły szyby i Lucy drgnęła za drzwiami łazienki.

— Mój Boże! — powtórzyła. — To pożar!

To pożar, a ona znajduje się w samym środku tego pożaru i stoi jak głupia, jakby czekała, aż pochłoną ją płomienie, podczas gdy tupot i krzyki u góry i za ścianą — tam i tam, i tam — świadczą, że wszyscy wieją stąd w dzikim popłochu. Naga i mokra Lucy stawiając czoła temu światłu palącemu każdą przeszkodę, stawiając czoła gorącu wpadła do pokoju, porwała torebkę i sukienkę, i z lamentem wyprysnęła na korytarz. Pędzący z wyższego piętra w dół po schodach łysy grubas o głowie jak nadpsuty melon, potrącił ją w biegu, nawet jej nie zauważywszy, i popędził dalej. Miał jasną koszulę niezupełnie wsuniętą w spodnie i rozpiętą, szelki zwieszone po bokach, a wałki tłuszczu na jego brzuchu trzęsły się żwawo. Niósł małą czarną walizeczkę, której rączkę ściskał troskliwie i mocno.

— Tam się pali! — zawołał do kogoś w recepcji. — W moim pokoju się pali!

Potrącona Lucy okręciła się jak manekin o sto osiemdziesiąt stopni wokół własnej osi i spostrzegła, że jest boso. Potem spostrzegła, że stoi obrócona przodem do ściany, tuląc do mokrych piersi torebkę i zwiniętą w kłąb sukienkę, i udostępniając swoje, nagie, renesansowe zaplecze oczom każdego, kto chciałby je podziwiać. Z piskiem, tyłem i w półprzysiadzie cofnęła się do swojego numeru, zatrzasnęła za sobą drzwi i wbiegła do pokoju. Wprawiona w ruch słabym przeciągiem kotara wyłgła się i rozdarła w miejscach zwęgleń na sypiące iskrami szmaty, które upadły na dywan, blisko tapczanu, jakby z podłym zamiarem przerzucenia na niego ognia. Przez pozbawione osłony, stłuczone okna wtargnęło rozpalone powietrze i Lucy, kryjąc się za rozpostartą sukienką, przycupnęła w kącie. Była zdezorientowana, osaczona i bezradna.

— Pali się! — pisnęła do siebie. — Wszędzie się pali!

Wszędzie się pali, a ona nie wie, co ma robić, nie starczy jej czasu, żeby włożyć sukienkę i nie ma dokąd uciec, więc spłonie razem z tym motelem. Jej ciało strawią płomienie. Ciało kobiety atrakcyjnej, seksownej i stosunkowo młodej. Trzydziestoletniej — bo na więcej nie wygląda.

„Pa, pa, Ronnie..."

Bezbronna czy nie Lucy, której nagle przypomniał się napisany przez nią krótki pożegnalny liścik: jego treść urastająca w tych okolicznościach do rozmiarów symbolu — nie miała jednak spłonąć. Będzie ona żyła jeszcze przez siedemdziesiąt sześć sekund i zginie śmiercią mniej okrutną.

„Pa, pa, Ronnie..."

Tymczasem trup Ronnie'ego, tak samo jak trup Connie, tak samo jak dziesiątki tysięcy innych trupów tam, w dzielnicy oddalonej o dziewięć kilometrów od punktu „O", z grubsza przybrał już pozycję kolankowo-łokciową. Wprawdzie — leżąc na podłodze restauracji — jeszcze podrygiwał w płomieniach od czasu do czasu, na skutek dalszego kurczenia się niektórych grup mięśni, ale jego widok, tak samo jak widok trupa Connie, tak samo jak widok dziesiątków tysięcy innych trupów w tej dzielnicy, z pewnością nie zawiódłby obducentów, gdyby mogli go teraz zobaczyć. Niestety, będą musiały minąć stulecia, zanim obducenci ośmielą się wkroczyć na ten teren, a wtedy wszystkie te trupy od dawna zamienią się w proch. Zresztą w przypadku Ronnie'ego nastąpi to znacznie szybciej. Już w osiemnastej sekundzie runą na niego szczątki stopionych belek stropowych i rozbiją go na brykiety, zaczynając dzieło zniszczenia. Wkrótce też zawalą się kolejne stropy. Wiele wali się właśnie w tym momencie.

Pa, pa, Ronnie. Pa, pa, Connie. Pa, pa, dziesiątki tysięcy mieszkańców tej dzielnicy.

26 kilometrów od punktu „0".

Kapitan wojsk lądowych Norman McLorren sprawujący czasowo funkcję RSA, czyli Ruchomej Syreny Alarmowej, w którą został przemieniony wpadł z wyciem do łazienki, rozszamotany uderzył łokciem w coś boleśnie twardego i wyhamował na ściennej glazurze, po czym uległ nowej przemianie. Był teraz żywą pochodnią. Wyrastające z jego uprzęży warkoczyki ognia, dotychczas rozwiane niesubordynowanie, jak na komendę uporządkowały swoje szeregi i stanęły w postawie zasadniczej, prężąc się i wyciągając ku górze. RSA kapitan McLorren zawył raz jeszcze, chrapliwie, zamłócił ramionami w powietrzu i po omacku odkręcił kurki natrysku, z którego skąpe strumyczki wody wyciekły zalęknione i nieśmiałe, jak przybywająca po długiej wędrówce do raju maszyn zbiorowa dusza pomp głębinowych właśnie dopompowujących gdzieś pod ziemią. Miała to być jego ostatnia kąpiel, a zarazem pierwsza, którą weźmie ubrany w nadpaloną odzież.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Dom kapitana McLorrena i sąsiednie domy, i sąsiednie domy, te skurwysyny trafiły nas! nie domy sąsiednich domów sąsiednich domów — wszystkie te domy, nie wyłączając domu pułkownika Dowda, porastał bluszcz płomyków. W istocie całą tę willową dzielnicę porastał bluszcz płomyków i zapewne zasłużyłaby ona na miano Dzielnicy Bluszczu Płomyków, gdyby zarówno bluszcz połymyków jak i dzielnica okazały się trwalsze. Jednakże bluszcz płomyków zniknął już po paru sekundach. Pozostawił po sobie osmalone ściany i czarne jamy okien, skąd wystawały teraz języki ognia, szerokie i rozedrgane, sięgające aż po okapy dachów. Wszędzie, we wszystkich tych domach tutaj i wokół wszystkich tych domów tutaj odbyło się to podobnie i równocześnie — jak w dobrze zgranym balecie. Wszędzie pojawił się bluszcz płomyków, wszędzie popękały i wypadły szyby, wszędzie zatańczyły w powietrzu palące się papiery, zeschłe liście i śmiecie, wszędzie szczerniały ściany, wszędzie zniknął bluszcz płomyków, wszędzie z jam okiennych wysunęły się rozedrgane ogniste języki. Równocześnie i harmonijnie — jak w rosyjskim balecie.

Ale mały Eddie nie widział tego pożarowo-baletowego widowiska. Poprzez wirujące mu przed oczyma tęczowe koła oszołomiony patrzył na dziadka, który przed chwileczką wtoczył się do schronu, wyjąc modulowanie... prawie tak, jakby naśladował syrenę alarmową... i — ojej! — cały w iskrach i w dymie. Oho, musiało rzeczywiście coś strasznie emocjonującego stać się tam na zewnątrz, chyba dosyć blisko stąd. Jakiś wybuch? Ale przecież nie było nic słychać, jest zupełnie cicho, nawet słuchawka przestała skrzeczeć. A dziadek tarza się po ziemi, klnie i ryczy. D o l i c h a, n a p r a w d ę tam się stało coś s t r a s z n e g o. No, jest zupełnie cicho, tylko to światło, żeby ono przygasło odrobinę... i chyba już przygasa?... i żeby to gorąco nie biło stamtąd takie... takie... można by wyjść na trochę i się rozejrzeć. Nie, wcale nie jest zupełnie cicho, słychać bardzo dziwny hałas, jakby polana trzeszczały w ognisku, i czuć swąd spalenizny... Ta spalona bluza dziadka? To też, ale tam ten swąd jest jakiś inny. No, tam się wyraźnie coś hajcuje, o raju, na to wygląda, że hajcuje się bez picu.

— Drzwi, chłopcze! — ryknął pułkownik Dowd z posadzki, tłumiąc na sobie ogień.

R a n y b o s k i e, oberwaliśmy, te skurwysyny trafiły nas! Oberwaliśmy, oberwaliśmy, bo to nie może być nic innego, r a n y b o s k i e! Zaraz tu rozpęta się piekło, j u ż się rozpętało, pojedyncza rakieta MX z odległości dziesięciu kilometrów potrafi drewniany dom zamienić w stos gorejący, a człowieka usmażyć razem z kawiami. Co za idiotyzm, żeby tak sterczeć w odkrytym terenie, jak fajfus wystawiony na słońce! O r a n y b o s k i e, moje muzeum! Zaraz te wszystkie pociski wylecą w powietrze z wielkim hukiem i zaraz nadejdzie tutaj fala uderzeniowa...

— Drzwi, Eddie! Zamknij te drzwi, do psiej nędzy!

— Tak jest... sir! — odpowiedział Eddie.

Poderwał się z taboretu, wbiegł do przedsionka i z urywanym krzykiem wyskoczył stamtąd, zatrzaśnięty, odepchnięty ścianą skwaru, którego drżenie zdawało się udzielać konstrukcji schronu. Pułkownik Dowd zdarł już z siebie nadpaloną bluzę od munduru i spodnie; zadeptując ogień zobaczył, że jego wnuczek, bliski płaczu, z trudem łapie oddech i nie może wykrztusić słowa, więc chwycił jeden z leżących na pryczy pledów, rozpiął go przed sobą i rzucił się ku wyjściu, by samemu wykonać wydany przez siebie rozkaz.

17 kilometrów od punktu „0".

Buch! Buch! Buch! — jak odgłosy strzelającej artylerii rozległy się nagle głośne, ciężkie pluśnięcia nad nim i Adam, podpływając w zanurzeniu do Derricka Danube'a znowu spojrzał do góry, na to klębowisko rąk, nóg i tułowi. Zobaczył ruchome sklepienie z ludzkich ciał, pełne dziur i szczelin przepuszczających promienie światła wprost przerażająco jasne. Może tak wygląda niebo? — pomyślał. — Tłum grzesznik ów szturmuje bramę, żeby dostać się do środka, a gwardia anielska uzbrojona w ogniste miecze odpiera ataki i strąca zuchwalców do piekieł. Oto trafiony takim mieczem młody Danube, och, a to ktoś jeszcze jeden... — raptem w polu jego widzenia pojawiły się dwie, trzy, cztery nowe osoby wzorem dziesięcioletniego Derricka opadające w otoczeniu roju bąbelków na dno. — No, do diaska, co oni wyprawiają?

Jak na utworzone z ludzkich ciał, sklepienie nad Adamem było dosyć szczelne, mimo to rozlana w atmosferze łuna swobodnie przenikała masy wody, przeobrażając ten basen w olbrzymi klosz zapalonej lampy, w której blasku każdy szczegół uwydatniał się z osobliwą siłą i wyraziście. Blask ten zmiękczał rysy Derricka Danube'a i nadawał mu uroine cechy. Adam dopiero teraz zauważył, że chłopiec nie ma brwi ani rzęs i że prawie całkowicie stracił owłosienie głowy, za wyjątkiem potylicy, gdzie rzadkie kosmyki kołysały się niczym mech porastający denny kamień. W pobliżu, łysa jak Derrick, stopniowo opadała w dół Sophy, z jednym ocalałym lokiem przypominającym rozpuszczony samurajski warkocz. Oczy miała zamknięte, a jej ciało przebiegały skurcze i wykonywała nim nieskoordynowane ruchy. Tuż przy niej, szczerząc zęby w grymasie cierpienia, kotłował się w wodzie pan Jarvis (także łysy, ale to było normalne, nienormalna była jednak bladość i zrogowacenie jego łysiny) i jakaś kobieta ze szczątkami fig oplatającymi lewe jej udo i z resztką stanika zwisającą na jednym ramiączku.

Jezu, co się tam właściwie dzieje? — zdjęty lękiem Adam znów zadarł głowę. Walczył z siłą wyporu i starał się przebić wzrokiem wzburzoną, pienistą i kipiącą powierzchnię wody. — Czy to jakaś zabawa, czy co? Ci ludzie tam tak jazgoczą i piszczą... Nie, to nie może być zabawa. Ale wobec tego, c o t o j e s t?

W instynktownym odruchu samozachowawczym Adam złapał Derricka za kostki u nóg i pchnął go do góry, dzięki czemu sam poszedł w głębsze zanurzenie. Chyba nie powinien na razie wypływać. Najpierw musi się rozeznać, o co w tym wszystkim chodzi.

C.D.N.

Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stan zagrożenia".